

ŁUKASZ SWOJAK

**NOTATNIK SZCZĘŚLIWEGO CZŁOWIEKA.
2008-2009.**

Łukasz Swojak mieszka z żoną i trójką dzieci w podwarszawskiej wiosce. Dawno temu studiował psychologię, a tuż potem wpadł w środowisko biznesu. Przez osiem lat mieszkał w uroczej alpejskiej wiosce w centralnej części Szwajcarii. Na przełomie roku 2007 i 2008 podczas rodzinnej narady rodzina Swojaka podjęła decyzję o powrocie do Polski. Kilka dni po tym spotkaniu Swojak rozpoczął prowadzenie swojego notatnika. Blog wyrósł na doświadczeniach ponownego odkrywania Polski i stał się notatnikiem zapisków o szukaniu sposobów na dobre i szczęśliwe życie.

Najwyraźniej zobaczysz tekst jak przełączysz e-booka do pracy na pełnym ekranie (Ctrl+L).

Potem możesz oczywiście wrócić do zwykłego widoku (Esc).

<http://blog.swojak.info>

Zbiór tekstów z blogu Swojak.info
**NOTATNIK SZCZĘŚLIWEGO
CZŁOWIEKA
2008-2009**

ŁUKASZ SWOJAK

Spis rozdziałów:

Co ja tu robię?

Fajne wydarzenie wczoraj widziałem...

Holistycznie, czyli na całość.

Karmienie ducha.

Światowe życie.

Oni.

Z ziemi helweckiej do Polski.

© Swojak.info 2010

<http://blog.swojak.info>

Drogi Czytelniku,

Z okazji drugich urodzin niniejszego blogu zrobiłem Tobie i sobie prezent: wydałem e-booka ze wszystkimi wpisami z lat 2008-2009.

W ramach każdego rozdziału zachowałem układ chronologiczny blogowych artykułów. Pozwoli Ci to śledzić zdarzenia w kolejności, w jakiej miały miejsce.

E-book jest wydany w formacie PDF. Ułożyłem tekst w taki sposób, aby był czytelny na ekranie komputera. Wielkość liter powinna być wyraźna nawet na mniejszych ekranach laptopów.

Czytając e-booka możesz klikać na linki w tekście i przejść do wersji online tekstu. Tytuł każdego artykułu jest linkiem do strony, gdzie spoczywa oryginalny wpis. Dzięki temu możesz przeczytać komentarze lub dopisać kilka zdań od siebie.

E-book można też wydrukować, ale szkoda marnować papieru i odbierać sobie możliwość korzystania z linków w tekście.

Jeśli uznasz, że e-book jest godny podarowania komuś bliskiemu lub znajomemu to wyślij mu plik PDF e-mailem lub prześlij link:

http://blog.swojak.info/Swojak_ebook.pdf

Przesyłam serdeczne pozdrowienia i życzę Ci inspirującej lektury,

Łukasz Swojak

6 stycznia 2010

Spis treści

Co ja tu robię?	4
1. PKP	4
2. Dzień z CB-radiem	6
3. U lekarza bez “dzień dobry”	9
4. Wyłącz telewizor, odłóż gazetę	10
5. Wódka	13
6. Virginity	15
7. Wstydliva praca ojca?	16
8. Złoto na ciężkie czasy	17
9. Świat się kończy, Świat się zaczyna	20
10. Rozwój duchowy jak budowa domu	25
11. Wzniesienie ognia	26
12. Porozmawiaj z nimi	29
13. Aborygeni to ludzie drugiej kategorii?	30
14. Siła propagandy	32
15. Kto mi zgasił internet?!	33
16. Przewodź jak Attyla	35
17. Po polsku do Anglika	37
18. Niemcy i ich język	38
Fajne wydarzenie wczoraj widziałem	40
19. Oswojony Sándor Márai	40
20. Viva Polonia, czyli Polska niemieckimi oczami	42
21. TED - wykłady na każdy temat	43
22. Muzeum Powstania Warszawskiego	44
23. Dom nad rozlewiskiem	46
24. The Secret	48
25. Małe jest piękne	49
26. Charaktery emigrantów i reemigrantów	53

27. Książka o intuicji, energii i synchroniczności	55
28. Basia koncertowo	57
29. Kierunek, a nie intencja, decyduje o osiągnięciu celu	59
30. Pewność siebie	63
31. Piramida stoi na głowie	64
Holistycznie, czyli na całość	66
32. Niecodzienny taksówkarz	66
33. Wiek średni, marzenia, motor i dzieci	69
34. Jak to jest jechać motorem?	70
35. Niech Twoja piła będzie ostra	75
Karmienie ducha	76
36. Where is the wisdom we have lost in knowledge?	76
37. Jak gaduła został pustelnikiem	77
38. The Merton Prayer	79
39. Prostota, cierpliwość, współczucie	80
40. Drogowskazy	81
41. Mantra katolickiego umysłu	83
42. Zwolnij i ciesz się życiem	86
Światowe życie	88
43. Zegarki, a sprawa stosunków polsko-niemiecko-rosyjskich	88
44. Przypadek?	91
45. Leczenie dziecka pod przymusem	92
46. Stworzone przez inżynierów dla inżynierów	94
47. Mordercza praca	97
Oni	99
48. Inne kraje	99
49. Wycieczka dla dziecka	102
50. Spacerkiem po Szanghaju	104
51. Chiński pociąg	108
52. Hangzhou	110
Z ziemi helweckiej do Polski	114
53. Zamiast wstępu: powrót do Polski po kilku latach na Zachodzie	

.....	114
54.Dom: kupić czy zbudować?.....	117
55.Wirtualna wycieczka do podwarszawskiej gminy.....	117
56.Szwajcarska wioska.....	119
57.“Powrót” - program polskiego rządu.....	123
58.Polska widziana ze Szwajcarii.....	124
59.Miejsce stałego zamieszkania.....	127
60.Polski cyrk meldunkowy c.d.....	129
61.Lewy półprofil.....	133
62.Jest metro, ale nie ma biletów.....	134
63.Umzug czyli polska przeprowadzka w Szwajcarii.....	136
64.Celnicy, TP SA i działalność gospodarcza.....	139
65.Twarde życie, twarde obyczaje.....	141
66.Usluga przeprowadzkowa.....	142
67.Jedno okienko Tuska.....	145
68.Szwajcarskie impresje.....	148
69.Radio.....	150
70.Jestem, żyję, mam się dobrze.....	153
71.Słońce.....	154
72.Komunikacyjne łamigłówki.....	154
73.Swiss Army Girls.....	157
74.Starsza córka.....	159
75.O dzieciach reemigrantów w Dzienniku.....	162
76.Ferie w Szwajcarii.....	166
77.Samochód, kurs franka, kredyty i morale mechaników.....	166
78.Kochane brzydactwo.....	168
79.Naiwna tajność danych osobowych.....	170
80.Niech żyje wolność!.....	172
81.Tour de Suisse.....	172
82.Swojak przebadany naukowo.....	174

Co ja tu robię?

W tym rozdziale zebrałem wynik mojego impulsywnego reagowania na codzienne sytuacje, obserwacje z ulicy, spotkań czy z mediów.

1. PKP

Piszę z Polski. Konkretnie z korytarza między wagonem 6 i 7 pociągu ekspresowego z Warszawy do Krakowa. Ostatnio ktoś znajomy wyliczał warunki jakie muszą być spełnione, aby rozważał powrót do Polski. Jednym z punktów były polskie koleje. Faktycznie działają inaczej niż w Szwajcarii. Ale jest poprawa w stosunku do sytuacji sprzed naszego wyjazdu.

Przede wszystkim jest porządny rozkład jazdy w Internecie. Wagony są dość czyste, konduktorzy pogodni, a na Centralnym jest masa punktów sprzedaży biletów.

Jednak odzwyczaiłem się od labiryntu korytarzy Dworca Centralnego. Kiedyś byłem tam bardzo często, a teraz jak wszedłem w podziemia to nie miałem pojęcia, w którym miejscu są schody do Hallu Głównego. Podziemia dworca wyglądają jeszcze bardziej bazarowo niż przed ośmiu laty. Moim zdaniem ta masa sklepików jest urokliwa. Widać tam namacalnie aktywność gospodarczą Polaków. Tylko fajnie by było porządnie oświetlić korytarze i oznaczyć kierunki. Bo strzałek jest masa, ale kierunek do holu kasowego pojawia się tylko raz lub dwa. Mniejsza o korytarze. Najważniejsze jest sedno sprawy czyli pociągi i ich rozkład jazdy. Wg olbrzymiej tablicy nad kasami są dwa pociągi do Krakowa po godzinie 18:00. Jeden o 18:05, a drugi o 18:27. W kasie usłyszałem, że jest tylko ten o 18:05, ale odjedzie o 18:27, a zresztą i tak nie było już na niego miejscówek. Nieufnie podszedłem do informacji kasjerki

uznając, że tablica ogłoszeń jest bardziej miarodajna. Potem podszedłem do papierowego rozkładu jazdy, a tam... był tylko pociąg o 18:05. Czyli tak jak podawała kasjerka. Poszedłem na peron czwarty i czekałem na pociąg do Krakowa decydując się na jazdę na korytarzu. Minęła 18:05, minęła 18:15 i nic. Aż ok. 18:20 pojawiła się zapowiedź, że o 18:27 odjedzie ekspres do Krakowa! Dostałem lekcję, żeby wierzyć kasjerce, a nie rozkładowi jazdy. Tym sposobem siedzę na swojej torbie z ubraniami, za plecami mam ściankę pomiędzy toaletą, a wielkim kołem hamulca ręcznego. Chyba niecodziennie wyglądam w swoim garniturze w takiej pozycji, bo przechodzący obok konduktor powiedział do mnie po angielsku "excuse me". Po pół godzinie takiego siedzenia poczułem, że gniecie mnie książka w mojej torbie, a jej tytuł to "Viva Polonia":-)

Przy okazji tablic ogłoszeń i ich wiarygodności nasunęły mi się skojarzenia z RPA. Kiedyś utknąłem w Johannesburgu z powodu strajku obsługi naziemnej. Skończyłem już swoją robotę i mogłem wracać do Szwajcarii, ale nie było wiadomo czy samolot do Zurychu odleci. W pewnym momencie, po południu ktoś przyniósł nieoficjalną informację, że jedynym samolotem, który odleci będzie ten do Frankfurtu. Zatem natychmiast pojechałem na lotnisko, żeby zamienić mój Zurych na Frankfurt.

Na lotnisku spotkałem olbrzymi tłum podróżnych czekających do odprawy, zaś na tablicy informacyjnej były wymienione wszelkie możliwe loty z ich godzinami odlotu tak jak to powinno być wg rozkładu lotów. Nie będę tu opowiadał całej przydługiej historii jak szczęśliwie dostałem miejsce do Frankfurtu, który faktycznie odleciał jako jedyny. Chcę tylko przytoczyć moją rozmowę ze Szwajcarem

napotkanym wtedy na lotnisku. Otóż facet czekał na samolot do Zurychu. Podzieliłem się z nim wiadomością, że nic poza Frankfurtem nie polecą. On wtedy wskazał na tablicę i stwierdził, że Zurych polecą bo tak jest napisane. No i został na tym lotnisku, a ja sobie załatwiłem Frankfurt.

No i dzisiaj na Centralnym zachowałem się trochę jak ten Szwajcar 😊

Postaram się pamiętać, aby stosować raczej schematy działania z RPA, a nie ze Szwajcarii.

11 kwietnia 2008

2. Dzień z CB-radiem.

Przed tygodniem przejechałem po Polsce kilkaset kilometrów z włączonym radiem CB.

Wiedziałem, że CB przeżywa w naszym kraju renesans popularności. Widywałem sporo samochodów z charakterystycznymi, długimi antenami. Były to zarówno leciwe wehikuły ściągnięte z Zachodu, jak również wystawne

auta terenowe prosto z salonów.

Moja przygoda z CB zaczęła się zupełnie przypadkowo. W tym tygodniu Ojciec przekazał mi kluczyki do auta, a w środku było CB radio. Prosił, żebym sobie zatrzymał radio. On je dostał w prezencie, ale nie będzie używał.

Czekała mnie długa trasa z Warszawy nad Bałtyk, potem następnego dnia na południowe krańce Wielkopolski i od razu powrót pod Warszawę.

Drugiego dnia podróży urozmaicałem sobie jazdę słuchając dziewiętnastego kanału CB.

Byłem bardzo pozytywnie zaskoczony. Główną niespodzianką był poziom języka. Z radia korzystają głównie kierowcy ciężarówek. Wyobrażałem sobie typowego kierowcę jako gościa, który klnie obficie i siarczyście. Prawda jest taka, że w ciągu kilkunastu godzin usłyszałem tylko kilka razy kierowców, którzy rzucali do mikrofonu przekleństwa. We

wszystkich przypadkach inni użytkownicy zwrócili im uwagę.

Na kanale dziewiętnastym większość rozmów dotyczy ruchu drogowego. Ludzie dopytują, gdzie jest kontrola policyjna i informują innych o korkach na trasie.

Jest to przeplatane sympatycznymi i - muszę powiedzieć - serdecznymi rozmowami.

W drodze na Jarocin ktoś ogłosił, że na przystanku wysadził dwie autostopowiczki jadące na festiwal i prosi, aby im pomóc w dalszej jeździe. Z daleka zobaczyłem podróżniczki i miałem się zatrzymać, ale jadący przede mną kierowca olbrzymiej piaskarki był szybszy. W sumie dziewczyny nie czekały nawet pięciu minut.

Z innych historii warto przytoczyć informowanie o braku tylnych świateł. Ktoś wywołał kierowcę wywrotki i powiedział mu o przebiciach przy włączonym kierunkowskazie.

Udzieliła mi się atmosfera wzajemnej pomocy i odbyłem swoją pierwszą rozmowę przez radio. Przedemną jechało BMW z rejestracją LLU, które nie miało lewego światła. Na dachu była długa antena, więc złapałem mikrofon i wypaliłem: “BMW z Lubartowa czy jesteś na radiu?”

W odpowiedzi usłyszałem: “Z Lubelskiego, nie z Lubartowa. Jestem, a co?” “No dobra. Chciałem Ci powiedzieć, że nie masz lewej lampy” “Dzięki! Zjadę na CPN to wymienię.” “Szerokiej!”

Po kilku kilometrach faktycznie zjechał na stację benzynową. Oczywiście jako nowicjusz popełniłem gafę. Bo inni nie mówili “szerokiej”, lecz “życzę szerokości”. Muszę jeszcze trochę pojeździć, że osłuchać się ze slangiem CB.

Jakieś podstawowe zwroty znalazłem w gazecie motoryzacyjnej. Np. “misiaczki z suszarką” to patrol policyjny z radarem. Ale nie mogłem

zrozumieć o co chodziło w zdaniu “suszareczka na 172”. Komunikat padł w okolicy, gdzie faktycznie stał patrol. Ale co to 172? Może numer drogi? Nie. Ta droga miała numer 11. To pewno jakiś punkt orientacyjny. Zrozumiałem o co chodzi jak byłem już na trasie na Warszawę. Tam usłyszałem, że “misiaczki stoją na 380 w kierunku Warszawy”. Wtedy mnie oświeciło. To przecież kilometr oznaczony na przydrożnych słupkach! Byłem przy słupku z numerem 350, czyli policja będzie za 30 kilometrów!

Faktycznie, za kilkanaście minut zobaczyłem patrol z radarem.

Tego dnia dojechałem do domu z przekonaniem, że większość użytkowników dróg to fajni ludzie. Np. raz byłem świadkiem, gdy ukraiński kierowca zabłądził w Szczecinku i pytał o wskazówki jak dojechać do trasy na Barwinek. Na początek usłyszał stek przekleństw. Lecz natychmiast po klnącym

frustracji odezwał się inny kierowca, który poprosił o spokój i wezwał kolegów do pomocy. Dość szybko zgłosił się ktoś kto widział jak Ukrainiec zjeżdżał z ronda. Poinformował go, która droga prowadzi na wschodnią granicę, a zagubiony kierowca serdecznie podziękował.

Znajomi mówili mi o fatalnych obyczajach kierowców ciężarówek, o chamstwie, o zwieraniu szyku, aby utrudnić innym wyprzedzanie, o złośliwym zajeżdżaniu drogi itp. Pewno są wśród kierowców także ludzie o tak prymitywnych obyczajach. Lecz to co ja słyszałem brzmiało sympatycznie.

25 lipca 2008

3. U lekarza bez “dzień dobry”.

Żona wróciła od pediatry i rozrzewniła się na wspomnienie naszego szwajcarskiego lekarza. Każdy mały pacjent i jego rodzic był witany przez doktora poprzez podanie dłoni. Krótkie

nawiązanie kontaktu, a potem przejście do spraw zdrowotnych.

A tutaj? Pani doktor była zajęta porządkowaniem papierów na swoim biurku. Żona cierpliwie czekała zakładając, że lekarka za chwilę wstanie, podejdzie do niej i przywita się. Ależ skąd?! Pani doktor tylko burknęła znad papierów “Z czym Pani przychodzi?”.

Droży lekarze skarżycie się, że Wasze pensje są daleko w tyle za pensjami kolegów z Zachodu? Niestety Wasze obyczaje zdają się mieć podobny dystans do zachodnich kolegów jak Wasze pensje.

Inny kwiatek. “Gdzie to dziecko było szczepione? W Szwajcarii? Ach, tak, słyszałam tam jest kompletny bałagan. Tam rodzice mogą decydować o niektórych szczepieniach.”

Droga Pani Doktor, to co Pani nazywa bałaganem jest określane jako podmiotowe traktowanie pacjenta. Tam pacjent ma rozumieć jakie są pomysły na uzdrawianie jego

organizmu i uzdrawianie organizmu jego dzieci. Lecz tutaj pacjent jest chyba jedynie zbiorem objawów chorobowych w rękach wszechwiedzącego i wszechmocnego rycerza przemysłu farmaceutycznego. Tutaj od rozumienia spraw choroby jest lekarz. A pacjent? Czasem zdroworozsądkowo zapyta czy trzeba dziecku dać kolejną serię antybiotyków w tym samym roku. Cóż za nietakt! Przecież gdyby nie trzeba było to by lekarz nie zapisał antybiotyku (za który najprawdopodobniej dostanie prowizję w postaci zaproszenia na kongres w miłym miejscu w tym czy innym zakątku globu, ale to dyskretnie pominie odburkując na pytanie zatroskanego rodzica). Tutaj małe wyjaśnienie: także w Szwajcarii liczba przepisanych antybiotyków ma wpływ na dochody lekarzy. Ta marketingowa choroba draży przychodnie na Zachodzie, jak i na Wschodzie.

Drodzy lekarze jesteście potrzebni i szanuję

poświęcenie i ciężką pracę wielu z Was. Lecz proszę, zejście z piedestału na który wdrapaliście się dawno temu. Jesteście naszymi partnerami w poszukiwaniu zrozumienia naszych organizmów i utrzymania ich w zdrowiu. To co się wtacza do Waszego gabinetu to nie jest jednostka chorobowa, lecz żywy człowiek ze swoją mądrością życiową, z pewną znajomością swojego organizmu, z którym przebywa 24 godziny na dobę oraz z wolą zrozumienia tego co się dzieje z jego ciałem i jak wspólnie się z tym uporacie.

09 października 2008

4. Wyłącz telewizor, odłóż gazetę.

Przestałem oglądać telewizję, nie czytam gazet. Nie interesują mnie najświeższe wiadomości z kraju i ze świata.

Parę lat temu patrzyłbym ze sporą dezaprobatą na osobnika wygłaszającego podobny manifest. Lubiłem wiedzieć co się dzieje. Wciąż mocno

interesuje mnie to co się wydarzyło w naszej wiosce. Z uwagą słucham, że pojemnik na makulaturę jest notorycznie przepełniony, że na pobliskim skrzyżowaniu jest sporo kolizji i trzeba uczulić na to starostę.

Lecz nie interesuje mnie informacja z ostatniej chwili o tym, że Pan Dorn jest obrażony na Pana Kaczyńskiego, który brzydko powiedział o jego zaległościach w płaceniu alimentów. Takie bzdury mogą dotrzeć do mnie, gdy będę czytał podsumowanie jakiegoś zjawiska w tygodniku lub miesięczniku. Gdy uznam, że temat nie jest wart mojej uwagi to przekartkuję magazyn. Jednak kartkowanie Gazety Wyborczej, Dziennika czy Rzeczpospolitej daje mi tyle korzyści ile ćwiczenie gimnastyczne nadgarstka przekładającego kartki. Kiedyś co wieczór oglądałem TVN24, który wciąż uważam za najlepszy pakiet informacji w polskiej telewizji. Lecz moje zerwanie z tym zwyczajem jakoś

zbiegło się w czasie z wypadkiem polskiego autokaru z pielgrzymami we Francji. Nagle zamiast analiz tego co ma wpływ na polską codzienność pojawiły się tasiemcowe relacje z wypadku drogowego. Dramat kilkudziesięciu osób, które osierociły swoich bliskich zasługiwał na moment zadumy. Lecz zrobienie z tego głównego widowiska na kilka dni wyglądało dla mnie żałośnie. Każdego tygodnia ginie na drogach kilkudziesięciu Polaków. Zostają po nich osamotnione dzieci oraz załamani bliscy. Lecz ich śmierć nie odcina widzów od spraw tego świata. Zabici pielgrzymi to był “news” i wszelkie inne sprawy musiały być temu podporządkowane. Nieodwołalnie uznałem upadek poziomu TVN24, gdy kilkadziesiąt minut czasu antenowego było poświęcone na... transmisję z lądowania samolotu z rannymi pielgrzymami. Oko kamery śledziło ambulans parkujący na płycie lotniska, z oddali obserwowaliśmy

pogawędkę biskupa z oficjelami czekającymi na lotnisku. To wszystko rozgrywało się na ekranie telewizora, który był włączony u krewnych. U nich zawsze gra telewizor, więc mimowolnie byłem świadkiem osiągnięcia przez TVN24 dna merytorycznej pracy dziennikarskiej. Zamiast dziennikarzy mieliśmy jakiś “webcam” zainstalowany na lotnisku. Do tego doszła refleksja nad rozmiarem czasu traconego przez moje dzieci na głupawe seriele telewizyjne.

W konsekwencji, na początku roku sprzedałem telewizor, a w dużym pokoju postawiłem 27. calowy monitor komputerowy. Monitor podłączyłem do komputera z zainstalowanym oprogramowaniem Media Center - pozwala to zobaczyć filmy na DVD lub z internetu. Część ciekawych programów (np. “Boso przez świat” Wojciecha Cejrowskiego) jest dostępna w sieci za darmo, inne kosztują kilka lub kilkanaście złotych.

Wypowiedziałem umowę Cyfra+ i odbyłem kilka rozmów telefonicznych z ich przedstawicielami. Był to pewno wynik pożytecznej skądinąd procedury przytrzymania uciekającego klienta.

Jednak po drugiej stronie słuchawki słyszałem zakłopotane zawieszenie głosu, gdy na wszelkie propozycje nowej, lepszej umowy odparłem, iż uznałem telewizję za toksyczne medium, które ma zły wpływ na nasze życie, a telewizor już sprzedałem, więc dekodery leżą pod łóżkiem i czeka na wysłanie. Cóż handlowiec telewizji satelitarnej może sprzedać takiemu beznadziejnemu klientowi?! Sprzedawali potem tylko życzenia, abym do nich zadzwonił, gdy zmienię zdanie.

Myślę, iż nie zdążę zmienić zdania nim resztki tradycyjnej telewizji zostaną wchłonięte przez internet lub jego następcę. Moim zdaniem nastąpi to jeszcze za naszego życia, prędzej niż właściciele holdingów telewizyjnych tego

oczekują.

Jak otoczenie reaguje na nasze życie bez telewizji? Najciekawsze są historie przynieszone przez córki ze szkoły. Rozmiar zaskoczenia jest ogromny. Wiele dzieci nie potrafi sobie wyobrazić życia bez kilku telewizorów. W rozmaitych pomieszczeniach w swoich domach mają telewizory. Oglądają telewizję w każdym nadarzającym się czasie. Lecz nie wydaje się, aby moje dzieci ominęło coś ważnego, co pomaga w rozwoju ich rówieśników.

Dotychczas najgwałtowniejsza była reakcja znajomego moich rodziców. Pewien emeryt zgorszonym głosem wyraził opinię, że brak telewizora to powrót do poziomu życia ludzi pierwotnych.

Na marginesie tego tekstu warto postawić pytanie ile w Cywilizacji Zachodu mamy wciąż demokracji, a ile mamy “telewizjokracji”? Na ile wybory obywateli wynikają z faktycznego

rozumienia problemów ich otoczenia, a na ile wynikają ze sposobu przedstawienia rzeczywistości przez dziennikarzy dokonujących - zgodnie z głównym zadaniem swojego zawodu - selekcji informacji i interpretacji rzeczywistości? Pozostawiam Was z tymi pytaniami i życzę “dobrego odbioru”.
31 października 2008

5. Wódka.

Dobra zabawa i alkohol chodzą w parze na całym Świecie. W Szwajcarii w czwartkowe wieczory masa ludzi wylega na miasto. Po kolacji idą do barów i klubów. Wielu kończy noc w stanie dalekim od zdolności prowadzenia samochodu. W Londynie w piątkowy wieczór znajomi Anglicy zdecydowanie oznajmili, że idą pić. Bez kolacji, bo chodziło o to, aby się upić. Z kolei podczas wizyty w Helsinkach widziałem sporo mocno pijanych osób - Finowie z lubością piją mocne trunki.

Jednak w polskim piciu jest jakieś szaleństwo. Mimo, iż nie stronię od alkoholu to przez te kilka lat za granicą zapomniałem jak powszechny i chorobliwy rytuał jest związany z piciem wódki w naszym kraju. Pierwsze miesiące spędzone w Polsce błyskawicznie odświeżyły moją pamięć. Opowiem Wam kilka historii, które dały mi do myślenia w kwestii pijaństwa.

Wódka weselna.

Ruszyło mnie, gdy usłyszałem opowieści trzynastoletniej córki, która siedziała na weselu wśród rówieśników potajemnie pijących wódkę. Przypomniałem sobie salę na sto kilkadziesiąt osób, gdzie jedynie moja żona i ja piliśmy wino. Pozostali dorośli kultywowali wódczany rytuał. Zatem wzorcem dorosłości jest człowiek z butelką wódki i dzieci wiernie idą śladem rodziców.

Wyluzowana klasa średnia.

Innym razem pojechałem wygłosić referat na

ogólnopolskim spotkaniu sprzedawców zegarków. Podczas kolacji, po wykładach, zobaczyłem morze wódki i podekscytowane komentarze, że przy wódce zegarmistrzowie mogą zobaczyć kto może ile wypić. Ostatecznie nie przekonałem się kto miał silną głowę - po ostatnim daniu pojechałem do domu. Lecz wcześniej, w drodze na parking spotkałem kobietę, która bełkocząc i słaniając się na nogach wyjaśniała recepcjonistce zagubienie klucza. Ona nie handlowała zegarkami, ona uczestniczyła w organizowanym w sąsiednim lokalu spotkaniu kadry kierowniczej jednej z wiodących firm farmaceutycznych. Wykształcenie, pozycja społeczna, odpowiedzialne stanowisko nie stanowią bariery w zwierzęcym upodleniu się w miejscu publicznym.

Nieśmiali sprzedawcy.

Zaś kilka dni temu oglądałem na stronie TVP archiwalny program “Warto rozmawiać” o

upijaniu się młodzieży. Były tam apele o respektowanie zakazu sprzedaży alkoholu nieletnim. Była prośba do klientów sklepów, aby wspierali sprzedawców w sytuacjach odmowy, gdy dziecko chce kupić piwo. Okazuje się, że sprzedawcy uskarżają się na protesty dorosłych klientów, gdy dziecko jest odsyłane z kwitkiem ze stoiska monopolowego.

Wnioski?

Szwajcar, Anglik i Fin bywają pijani. Czasem nawet bardzo pijani. Lecz to Polacy mają solidnie wypracowaną etykietkę pijaków. Picie z umiarem, korzystanie z alkoholu jako z dodatku do posiłku jest w Polsce rzadkością. Jednak nie potrafię dokonać głębszej interpretacji, nie wiem o co w tym polskim pijaństwie chodzi. Mogę tylko powiedzieć: ludzie, szanujcie się; to jak pijecie i jak się upijacie wygląda po prostu dziko!

06 stycznia 2009

6. Virginity.

Wczoraj, czekając na swoją kolej w banku, zauważyłem starszą panią, skromnie i elegancko ubraną, która trzymała w ręce reklamówkę z dużym napisem VIRGINITY (ang. dziewictwo). Zestawienie konserwatywnej klientki z prowokacyjną reklamówką wyglądało w moich oczach mocno komicznie. Przypuszczam, że Pani nie zastanawiała się co jest napisane na siatce, którą brała na zakupy, pewno też nie znała angielskiego.

Okazuje się, że historia ma szerszy, interesujący kontekst, o którym wczoraj nie wiedziałem. W archiwum RP.pl znalazłem artykuł pt. "Promują odzież czy szydzą z dziewictwa"

<http://www.rp.pl/artykul/103210.html>

Chodziło o prowokacyjną kampanię reklamową typu billboard oraz stronę internetową firmy odzieżowej House.

Potem Komisja Etyki Reklamy uznała, że kampania była obraźliwa

<http://www.radareklamy.org/uchwala,68.html>

Wszystko to działo się przed moim przyjazdem do Polski. Sprawa niefortunnej kampanii reklamowej już pewno odeszła w zapomnienie, ale dzięki torbie reklamowej wciąż żyje w swojej nietypowej formie.

Paradoksalnie, pani, która nosiła reklamówkę Virginity wyglądała raczej na słuchaczkę ortodoksyjnego toruńskiego radia księdza Rydzyka niż na klientkę marki House.

09 stycznia 2009

7. Wstydliva praca ojca?

Kolega zobaczył w moim pokoju plakat zrobiony przez córkę. Na dużym arkuszu papieru były informacje o mojej pracy, zdjęcia z biura, szczegóły moich obowiązków zawodowych.

Plakat był zrobiony dwa lata temu w szwajcarskiej podstawówce. Wszyscy drugoklasiści odwiedzali zakłady pracy swoich rodziców, przygotowywali prezentacje, które wygłaszali na forum klasy, zaś plakaty zostały powieszone na szkolnym korytarzu. Po zakończeniu wizyt i prezentacji otwarto podwoje szkoły dla rodziców i znajomych chętnych do obejrzenia plakatów, skorzystania z małego poczęstunku i porozmawiania o wystawie.

Kolega E. z warszawskiego biura zapytał: “A co jeśli ojciec jeździ na wózku widłowym? Przecież to wstyd dla takiego dziecka!” Potem powyciągał historie jak dzieci nabijają się z pracowników MPO.

Wcześniej nawet o tym nie myślałem. Faktycznie to jest ta różnica kulturowa. W naszej szwajcarskiej mieścinie jeśli rodzice uprawiali ziemię to dzieci z dumą mówiły o pracy na rodzinnym gospodarstwie.

Wykształcenie i charakter wykonywanej pracy wydawał się mieć znikome znaczenie w relacjach między dziećmi w centralnoszwajcarskiej szkole. Jestem przekonany, że było to wynikiem stosunków panujących wśród dorosłych. Żona śpiewała w lokalnym chórze gospel, gdzie wspólnie spotykała się szefowa z banku i kasjerka z supermarketu. Moje córki trenowały karate, gdzie obok dzieci rolników ćwiczył chłopak, którego rodzina ma jedną z największych firm tytoniowych w USA - jego mama zwykle siedziała na ławeczce i czytała książkę oczekując na koniec zajęć.

To jest właśnie fenomen Szwajcarii. Osoby, które mogłyby za kieszonkowe wykupić całą setkę najbogatszych Polaków spędzają czas z tymi, którzy rozpoczynają dzień od dojenia krów i dobrze się czują w swoim towarzystwie.

04 marca 2009

8. Złoto na ciężkie czasy.

Ubiegłotygodniowe spotkanie z kolegą S. było dla mnie ekonomicznym zimnym prysznicem. Kolega żyje spokojnie, pogodnie i wydaje się być daleki od rozgorączkowania tłumy komentatorów podekscytowanych sytuacją gospodarczą.

Co ciekawe zachowuje zimną krew, mimo że jego podstawowym źródłem utrzymania jest inwestowanie na rynkach kapitałowych. Gdy nasza rozmowa zeszła na temat gospodarki amerykańskiej S. rzeczowo odparł, że jego zdaniem czeka nas praktyczny upadek amerykańskiego rynku, co pociągnie za sobą dramatyczną sytuację społeczną. Po spotkaniu przysłał mi kilka linków do stron, które radził odwiedzić. Był tam m.in. wywiad z Geraldem Celente, który wieszczy zamieszki uliczne w amerykańskich miastach jeszcze w tym roku. Zresztą sami możecie wysłuchać tych kilku minut (na ekranie są napisy po polsku, więc

materiał jest dostępny także dla osób nieznających angielskiego: [cz. 1.](#), [cz. 2.](#)).

Czas pokaże jak rozwinie się sytuacja za oceanem i na ile Polska poczuje amerykańskie tarapaty.

Jednak mam coraz mocniejsze przekonanie, że majstrowanie przy amerykańskich instytucjach finansowych przy pomocy publicznych pieniędzy i szczodre dodrukowywanie dolarów dla chwilowego ratowania sytuacji może się okrutnie zemścić na Amerykanach.

Widzę, że na horyzoncie zbierają się ciemne chmury. Może burza “przejdzie bokiem” i zostawi nas w dobrym stanie. Jednak nie jestem ani meteorologiem, ani ekonomistą i mam ograniczone kompetencje w przewidywaniu kataklizmów.

Mój zdrowy rozsądek mówi mi, aby przygotować sobie plan działania “na wszelki wypadek”.

Moje oszczędności spoczywają w euro, na lokatach terminowych, w BZ WBK. Może euro jest pewniejsze od dolara i może BZ WBK wypłaci moje euro kiedy tylko sobie zażyczę. Jeśli jednak jest cień obawy, że wielkie “bum” za oceanem pomiesza europejskie szyki to chciałbym mieć coś “na czarną godzinę”. Pomyślałem o złocie. Uncja złota to ponad dziewięćset dolarów, trzykrotność tego co przed kilku laty!

Kupując drogie złoto raczej nie zarobię, ale poczuję się bezpieczniej mając w kieszeni kilkadziesiąt gramów błyszczącego metalu.

Chyba nie jestem odosobniony w gromadzeniu złota, bo jego zakup okazał się wyzwaniem.

NBP zwykł sprzedawać małe sztabki złota, które dobrze pełniłyby rolę lokaty na ciężkie czasy. Ktoś ostatnio mówił, że od jakiegoś czasu NBP nie sprzedaje sztabek i nie wiadomo kiedy je będzie oferował. Popyt mocno przerósł podaż. Z pomocą przyszedł mi autor [blogu APP](#)

[Funds](#), który bezskutecznie szukał złota w NBP. Skoro nie było sztabek to jego myśli przesunęły się na złote monety. NBP uszczęśliwia numizmatyków okolicznościowymi monetami ze złota. Cena kruszcu w monetach jest o kilkanaście procent wyższa niż na międzynarodowych rynkach, ale wciąż monety wydają się atrakcyjnym kąskiem dla amatorów kilku uncji cennego kruszcu. Szczególnie dotyczy to krążków o znikomej atrakcyjności kolekcjonerskiej. Okazała się nim np. moneta z wybita z okazji 400. lecia polskiego osadnictwa w Ameryce. Brzmi to komicznie, że wspomnienie dawnych Polaków w USA ma mnie zabezpieczyć przed nieobliczalnością współczesnych amerykańskich oligarchów tańczących chocholi taniec z prezydentem i jego kolegami. Zatem część swoich euro zamieniam na złotówki i w mojej szufladzie będzie brzęczeć kilkanaście stułotowych monet z wizerunkiem siedemnastowiecznych

polских rzemieślników wykuwających fundamenty amerykańskiej potęgi. Monety kupuję w internetowym sklepie numizmatycznym po 875 złotych za sztukę. Jest w nich po osiem gram złota Au 900, czyli 7,2 grama czystego złota. Jakbyśmy doszli do etapu handlu wymiennego to może za taką monetę zorganizowałbym ze dwa świniaki lub pół tony jabłek. Może nigdy do tego nie dojdzie, może gospodarczy armagedon Ameryki nie będzie ani tak straszny, ani tak uciążliwy dla nas jak to niektórzy prorokują.

Dla pokrzepienia serc życzę sobie i Wam, drodzy czytelnicy, aby moje złote monety na zawsze pozostały w sejfie i abym za kilkanaście miesięcy skonstatował, że złoto potaniało, recesja mija, a nasza gospodarka rośnie i kwitnie. Obiecuję, że nie będę płakał, gdy okaże się, iż była to najbardziej nieopłacalna inwestycja w moim życiu. Co więcej, przypuszczam, że będę z rozczeniem patrzył

na złote monety i wspominał jakie to panikarskie obawy chodziły mi po głowie wiosną 2009. Mimo to zachęcam Was, kupcie sobie trochę złota. Jeśli kryzys rozejdzie się po kościach to będziecie mieć błyszczącą pamiątkę z recesji. Zaś jakby Świat dostał chwilowej zadyszki to kilka gramów złota w skarpecie może się do czegoś przydać Wam lub Waszym rodzinom.

01 kwietnia 2009

9. Świat się kończy, Świat się zaczyna.

Czytając wypowiedzi ekonomistów i oglądając materiały na bloomberg.com mam mocne przeświadczenie, że kończy się jakiś etap naszej cywilizacji. Z grubsza zdaję sobie sprawę z tego co się kończy, lecz chyba nikt nie ma pojęcia jak będzie wyglądał świat, który powstanie na gruzach starego porządku. Co więcej, wiele wskazuje na to, że upadek

będzie trwał długo, a nowy układ będzie się stopniowo umacniał w miarę pogłębiania zapaści w “starym świecie”.

Nieodmiennie jestem dobrej myśli na temat przyszłości Polski. Myślę, że to co upada dotyczy nas tylko pośrednio. Pozwólcie, że rozwinę powyższą myśl.

Otóż mamy na świecie katastrofalną sytuację banków. W dwudziestym wieku wypromowano styl życia na kredyt. Banki uwielbiały ludzi zadłużonych. Człowiek oszczędny i wydający mniej niż zarabia był podejrzanym typem. Pamiętam jak przed ośmiu laty znajomy Australijczyk opowiadał, że będąc już w średnim wieku poszedł do banku po kredyt w związku z rozpoczęciem działalności gospodarczej. Pochodził z porządnej protestanckiej rodziny, gdzie wydawano tylko to co zarobiono. W banku koniecznie chcieli, aby wykazał się swoją historią kredytową. Kiepsko i nieufnie przyjęli jego deklarację, że

nigdy nie brał kredytu. Po przejściu bolesnej procedury dostał niewielki kredyt. Pozostało mu poczucie, że uczyniono dla niego jakiś wyjątek, bo cała jego historia słabo wyglądała w oczach bankowców. Już jako kredytobiorca zaczął dostawać kartki świąteczne i drobne upominki od banku. Był zadłużony, więc bank go lubił. Po spłaceniu pierwszego kredytu poszedł po następny, większy. Tym razem bez problemu dostał to co chciał. Kwota była poważna, więc zaczęto go zapraszać na imprezy organizowane dla ważnych klientów. Im bardziej się zadłużał tym lepiej i z większym namaszczeniem był traktowany. Ta historia daje do myślenia nad konstrukcją mechanizmów kredytowych.

Ogólnie w całym świecie zachodnim gra w życie na kredyt była świetną zabawą dla większości jej uczestników. Wydawało się, że gramy na wysokich obrotach wciąż będąc w bezpiecznym układzie.

Banki były faktycznym właścicielem dóbr używanych przez klientów, a jednocześnie klienci oddawali bankom każdy zarobiony grosz spłacając ogromne odsetki i kawałek swojego zadłużenia. Klienci wprowadzali się do coraz droższych domów, których nigdy nie zamierzali spłacić. Banki były z tego faktu zadowolone, bo coraz większa część dochodów rodzinnych szła na spłatę odsetek. W razie wyprowadzki rodziny, bank i tak był w stanie zaoferować ten sam dom innej rodzinie, bo w międzyczasie cena nieruchomości wzrosła i poprzedni kredytobiorca zwrócił dom o wartości dużo wyższej niż kiedyś nabył. Nieruchomości to tylko jeden wycinek rzeczywistości. Codzienna konsumpcja też była niebezpieczną jazdą na kredyt. Upadek tej zabawy właśnie śledzimy na łamach prasy i na ekranach swoich monitorów.

W naszej zaściankowej Polsce byliśmy zbyt

zacołani, obieg informacji międzybankowej był upośledzony, a ludzie ekonomicznie analfabetyczni, aby banki mogły beztrudno sprzedawać kredyty. Większość ludzi żyje skromnie i wielu używa słowa “zarobić”, np. zarobić na nowy samochód, zarobić na wakacje itd. Odróżnia ich to od amerykańskiego “wziąć na kredyt”.

Rzecz jasna świat ma też swoje światłocienie. Tak jak w USA jest trochę oszczędnych mieszkańców, tak też w Polsce bywają rodziny zadłużone pod sam sufit. Lecz w ogólnym bilansie widzę w Polsce zupełnie zdrowe podejście do życia.

Wprawdzie, jak to przystało na kraj na dorobku, mamy swoich nowobogackich demonstracyjnie obnoszących się z przedmiotami, które kupili. Lecz chyba trudno nawet mówić w tym przypadku o “nowobogactwie”, bo to często są kierownicy na dobrze opłacanych stanowiskach, którzy czują sens życia w

wystawnym stylu bycia. To zwykle nie są ludzie bogaci, bo za takich uważam osoby posiadające wolność finansową - czyli takie które nie mają ekonomicznego przymusu pracy. Ci nasi nadwiślańscy nadmiarowi konsumenci zasuwiają od rana do nocy w cudzych firmach, otrzymując pod koniec miesiąca swoją zapłatę, z której pokrywają swoje szalone rachunki. Czy to wygląda na styl życia osoby bogatej? Moim zdaniem jest to takie samo niewolnictwo, jak niewolnictwo pracownika przy taśmie produkcyjnej otrzymującego tysiąc złotych miesięcznie. Różnicę widzę w tym, że dobry pracownik fizyczny będzie nam zawsze potrzebny, a najemni kierownicy niezaangażowani bezpośrednio w dostarczanie produktów lub usług zostaną chyba w pierwszej linii sprowadzeni do parteru przez kryzys. Ktoś prorokował, że w Polsce kryzys uderzy właśnie w nieprodukcyjną kadrę kierowniczą. Jeśli miałyby się tak stać to może wiele osób

odzyska balans w swoim życiu. Może zacząć myśleć o pracy, którą będą robić z radością i zgodnie ze swoimi talentami. Każdy z nas ma unikalne talenty, których nie ma nikt inny na Ziemi. Ich rozwijanie przynosi radość i sukces. Lecz przywiązanie do konsumpcji blokuje rozwój. Ostatnio spotkałem kolegę, który szuka pracy. Znamy się od kilkunastu lat. Kiedyś był dyrektorem w jednej z największych firm związanych z mediami, potem pracował na stanowiskach kierowniczych w różnych miejscach. Nigdzie nie miał szczęścia na dobre zagrześć miejsca. Dobry, ciepły facet, który nie pasuje do wizerunku drapieżnego szefa. Jego pasją jest astrologia. Jako astrolog mógłby brać 100-200 złotych za godzinę konsultacji. Dlaczego zatem desperacko szuka pracy jako dyrektor zamiast żyć z tego co lubi robić? Otóż jednym z istotnych powodów jest to, że taki poziom dochodów jest zbyt niski. Czyli zakładając cztery konsultacje dziennie po 150

złotych przez 20 dni w miesiącu daje to 12000 złotych brutto. Po opłaceniu podatku zostaje ponad dziewięć tysięcy złotych. Zamiast być najlepszym w Polsce astrologiem chce być bardzo przeciętnym dyrektorem, aby mieć dochody zapewniające wysoki status społeczny. Z mojego punktu widzenia jest to dramat przywiązania do drogich zakupów. Recesja ma szansę sprowadzić wielu ludzi na wspólny mianownik finansowy. Zaś z tego punktu wielu otrzyma drugą szansę na zbudowanie swojego życia zgodnie ze swoimi talentami dając sobie szansę na wielkie sukcesy i radość życia. Czyli zadyszka w gospodarce może być ciekawą okazją do przewartościowania życia. Tak to widzę w skali indywidualnej. W skali globalnej obraz wydaje się niesamowity. Sądzę, że Ameryka już nigdy nie powróci do swojej dwudziestowiecznej potęgi. Pewno ich gospodarka będzie szła odrobinę w górę i potem trochę w dół, a potem

znowu w górę itd. czyli normalnie jak to w cyklach gospodarczych. Jednak te wzrosty będą mniejsze niż spadki, tak, że koniec końców będzie widać regularny długofalowy spadek amerykańskiej siły. Uważam, że kończy się porządek świata zdominowanego przez USA. Nie wiem kto zajmie miejsce Amerykanów i będzie rósł w siłę. Nie wiem w jakiej walucie będziemy się rozliczać za kilkadziesiąt lat. Nie wiem jakie sektory gospodarki będą dominować. Bez wątpienia będzie to świat, gdzie ludzie po raz kolejny będą musieli sobie zadać pytanie po co żyją i co jest dla nich najważniejsze.

Jim Rogers, 66. letni bogaty amerykański inwestor, absolwent Yale i Oxfordu, który niedawno przeniósł się do Singapuru, stwierdził iż będzie odradzał swoim dzieciom pomysłów na studia MBA, jeśli takowe wpadłyby im kiedyś do głów. Na pytanie dziennikarza co zatem warto studiować odparł: "Tell them to be

a farmer and do a real job." ("Powiedz im, aby zostały rolnikami i wykonywały jakąś konkretną, realną pracę."). Zażartował też z dziennikarza radząc mu, aby sam został rolnikiem.

Czy świat dojdzie do takiego ekstremum, że tylko praca na roli, posiadanie towarów, surowców naturalnych i źródeł energii będą dawać szansę na przeżycie? Może się i tak zdarzyć. Tak jak pisałem na początku tego tekstu, uważam, że przyszłość świata jest wielką niewiadomą.

Moim zdaniem warto żyć porządnie, robić to w czym jesteśmy dobrzy, wypracować w swoich rodzinach umiejętności skromnego życia i odnajdywać radość w tym, że są wokół nas inni ludzie. Bez względu na rozwój wypadków taki "pakiet przetrwaniowy" wydaje się być dobrym fundamentem na nowy początek świata.

25 kwietnia 2009

10. Rozwój duchowy jak budowa domu.

Dzisiaj rano wstąpiłem do osiemnastowiecznego kościółka w górskiej wiosce, w której spędzam mój szwajcarski weekend. W pierwszej chwili pomyślałem, że trwa remont ołtarza. Boczna ściana była odgradzona barierkami jakie zwykle stoją na budowie. W półmroku zobaczyłem porozrzucane deski, trochę cegieł i narzędzia budowlane. Obok stał znak drogowy ostrzegający o robotach drogowych. Znak tam nie pasował, więc zrozumiałem, że to dekoracja. Faktycznie był to wystrój kościoła z okazji Pierwszej Komunii tutejszych dzieci. Za barierkami zbudowano makietę domku, którego budowa jest na ukończeniu. W oknach były fotografie pierwszokomunijnych dzieci.

Porównanie rozwoju duchowego z budową domu zrobiło na mnie miłe wrażenie. W obrzędowości katolickiej Pierwsza Komunia symbolizuje zakończenie procesu

przygotowania do wejścia do wspólnoty religijnej, a dowodem potwierdzającym ukończenie tych prac w jest dopuszczenie dziecka do pełnoprawnego uczestnictwa w życiu Kościoła.

Zostawmy na boku kwestię tego na ile współczesne parafie katolickie mają jeszcze znamiona wspólnot duchowych, i na ile drugoklasiści mają pojęcie do czego przystępują.

Mnie zainteresował sam pomysł porównania budowania duchowości do wznoszenia budowli. Rozwijając się wewnętrznie, wzrastając w naszym poczuciu sensu bycia na Ziemi budujemy swoje wnętrza, cegła po cegle. Ewentualne zaniedbanie procesu budowy wymaga odgruzowania rumowiska, a potem trzeba na nowo przystąpić do wznoszenia budowli swojej duszy. Układanie cegieł naszego wnętrza jest inwestycją, która nigdy się nie zakończy. Podobnie jak w przypadku tego

szwajcarskiego domku zatknijemy na dachu wiechę, aby oznajmić, że doszliśmy do domknięcia jakiegoś etapu budowy. Lecz budowa trwa i z założenia ma iść dalej. Potem budujemy dla innych, aby im się lepiej mieszkało na naszej planecie. Budujemy ten lepszy świat dla tych co są wśród nas jak i dla tych co przyjdą po nich. Skoro ludzie mają ciągle przychodzić na świat to trzeba będzie dobro budować w nieskończoność. Jak każdego dnia dorzucimy jakąś cegiełkę dobra i serdeczności to budowla będzie coraz sympatyczniejsza.

09 maja 2009

11. Wzniesienie ognia.

Czy wzniesialiście kiedykolwiek ogień społeczny? Zapalaliście innych do działania? Budowaliście grupę, która miała osiągnąć jakiś cel? Tworzyliście nowy biznes? Kierowaliście inicjatywą, która miała trwać nawet bez Waszej

ciągłej troski i uwagi?

Właśnie dostrzegłem jak wiele ma to wspólnego z... paleniem w kominku. Zrozumiałem co oznacza zwrot "rozpalać w innych ogień". Siedząc w domu na zachodnim stoku góry mam sporo cienia, więc uprzyjemniam sobie czas paląc w kominku. Rozniecając ogień widzę, że bardzo podobne zasady stosuję w działaniach społecznych i biznesowych, które podejmowałem i podejmuję.

Zapraszam Was do zabawy z wyobraźnią. Nim zaczniecie czytać poniższy tekst pomyślcie, że drewno i łatwopalne papiery to ludzie, z którymi pracujecie. Zaś ogień to Wasza idea, Wasze przedsięwzięcie, Wasza organizacja, zaś powietrze to otoczenie, które jest wokół.

Teraz zapraszam do lektury opisu wzniesienia i doglądania ognia w kominku.

Chcemy, aby ogień ogrzewał nas długo, dawał

przyjemne ciepło i nie wymagał nadmiernej uwagi. Najlepiej do tego celu nadają się grube kawałki drewna przygotowane przynajmniej kilka miesięcy wcześniej. Duże kawałki drewna są dla nas podstawą, ale ich znalezienie wymaga trochę zachodu. Zadbajmy z wyprzedzeniem o wystarczającej jakości drewno. Im lepsze drewno tym lepsze będzie ognisko.

Nim duże kawały drewna zaczną oddawać żar i ciepło, będziemy potrzebować rozpałki. Do tego przyda się trochę papierów i szczapy drewna. Bowiem grube drewno nagrzewa się powoli i dlatego najlepiej aby pracowały przy nim mniejsze kawałki, które szybciej zajmą się od podpałki, a potem będą pracować nad przebudzeniem wielkich klocków.

Palenie samych papierów jest krótkowzroczne. Papierowy płomień chętnie rozpala inne papierowe płomienie. W rezultacie możemy mieć wielki, chaotyczny ogień pełen

rozbrykanych bez ładu płomieni, które zgasną równie szybko jak się rozpałyły. Z tymi papierami musimy być ostrożni, bo wprawdzie łatwo się zapalają, ale podmuch wiatru może je rzucić w inne miejsce. Więc pilnujemy, aby rozpałyły ognisko w tym miejscu gdzie chcemy i aby nie było ich za dużo, bo mogą wtedy doprowadzić do większego ognia niż chcemy, a wtedy stracimy panowanie nad ogniem.

Generalnie ognisko wymaga więcej uwagi na początku niż w późniejszych fazach. Wynika to zarówno z potrzeby pilnowania rozbrykanych papierów, jak i z niepewności czy wielkie kawałki drewna mają dobre warunki, aby zapłonąć. Często doglądamy ognia, aż będziemy pewni, że duże kawały drewna palą się pewnym i spokojnym ogniem. W późniejszej fazie jest łatwiej, bo duży kawałek drewna szybciej rozpali się od płonącego dużego kawałka niż od małego kawałka. Wtedy praktycznie nie potrzebujemy małych

kawałków, ani papierów. Co więcej, zauważyłem, że duże kawałki lepiej się palą jak są w grupie niż pojedynczo.

Na początku ogień może przygasać. Być może brakuje mu powietrza. Warto sprawdzić czy wszystko jest w porządku z otoczeniem, czy wentylacja dobrze działa, a komin jest otwarty. Być może układając drewno położyliśmy je zbyt ciasno i ogień się dusi. Warto zostawić trochę przestrzeni między kawałkami ułożonymi na palenisku. Łatwiej zrobić to przed rozpaleniem ognia, lecz i później możemy poprzestawiać kawałki, tylko wtedy jest to trudniejsze bo się możemy poparzyć i pobrudzić.

Może się okazać, że ogień przygasł na zewnątrz, lecz w drewnie jest rozpalony żar, który chętnie odda swoją energię jak dostarczymy mu powietrza. Podmucharajmy. W trakcie dmuchania możemy nie widzieć ognia, nie zniechęcajmy się. Raz na jakiś czas róbmy

przerwy w dmuchaniu, aby zobaczyć czy ogień jest gotów ponownie wystrzelić.

Osobiście bardzo lubię widzieć jak w końcowym etapie po wielkich kawałkach drewna pozostaje rozpalony, majestatyczny żar, który jeszcze długo po ustaniu płomieni daje ciepło. Żar jest depozytariuszem ognia; jeśli na żar położymy kawałek drewna to szybko się zapali. Żar i jego moc są dla mnie ważniejsze od wielkości płomieni. Wielki płomień może pochodzić od papierów, które szybko się wypalą i nie pozostanie po nich ślad. A my liczymy na to, że ogrzejemy się od żaru, a nie od płomieni.

Na koniec kilka luźnych obserwacji:

- Gdy już ogień dogasa to warto zgarnąć pojedyncze rozgrzane kawałki w grupę - to podtrzyma żar na dłużej.
- Gdy na palenisko położymy drewno strzelające iskrami to bezpieczniej będzie

się od niego oddzielić ognioodporną szybą i przeczekać.

- Jeśli z jakiś powodów potrzebujemy zabłysnąć płomieniami to zawsze można do ognia dorzucić trochę gałęzi i papierów, które szybko wystrzelą ognikami.

10 maja 2009

12. Porozmawiaj z nimi.

Wiele lat temu moim szefem był starszy Włoch. Podczas jednego ze spotkań pytał czy zebrałem informacje, o które prosił. Wyjaśniłem, że wysłałem emaile i pewno wkrótce dostanę odpowiedzi. Dottore wykrzywił twarz i oznajmił, iż lepiej zadzwonić i porozmawiać z ludźmi zamiast wysyłać im pytania pocztą elektroniczną.

Przyjąłem to jak przejaw dziwactwa tego starszego pana, który ma problemy z docenianiem wygody komputeryzacji.

Teraz przyznaję, że moje sprawy idą dużo sprawniej, gdy sięgnę po słuchawkę zamiast po email gdy mam coś do załatwienia.

W przypadku oficjalnych reklamacji lub skarg zaczynam od śladu na piśmie. Lecz późniejsze etapy staram się załatwiać telefonicznie.

Podobnie z kupowaniem na aukcjach internetowych. Gdy chodzi o coś wartego kilkaset złotych to wybieram sprzedawców, którzy poza tym, że mają nieposzlakowaną opinię, podają numer kontaktowy. Przed złożeniem oferty kupna chcę chwilę porozmawiać ze sprzedawcą.

Moim zdaniem nawiązanie serdecznej rozmowy bardzo dobrze działa w załatwianiu wszelkich spraw.

20 lipca 2009

13. Aborygeni to ludzie drugiej kategorii?

Zniesmaczyła mnie wypowiedź w reportażu TVN-Warszawa (szczegóły poniżej). Traf chciał, że był to jedyny materiał jaki ostatnio obejrzałem na stronie TVN. Może takie wypowiedzi to codzienność na ich antenie. Lecz jak to zobaczyłem to wysłałem email do redaktora firmującego program, a kopię przekazałem jego redakcji i Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Mam nadzieję, że wzbudzę w ten sposób refleksję nad bezrefleksyjnym poniżaniem tych, których osobiście nie znamy, którzy są daleko i którzy w języku potocznym są symbolem kogoś gorszego od nas. Jeśli jakimś trafem dostanę odpowiedź, to Was o tym poinformuję. Oto mój list, z którego dowiedzie się więcej:

*Panie Redaktorze,
Serdecznie apeluję o więcej delikatności w doborze cytatów w redagowanych przez Pana*

materiałach.

W TVN-Warszawa był materiał “Tyle hałasu i nic”, gdzie osoba podpisana jako “Ewa Szulc (przedstawicielka mieszkańców Okęcia)” powiedziała o mieszkańcach okolic lotniska: “... oni też mają prawo do życia w jakiś ludzkich warunkach; to nie są ludzie drugiej kategorii, to nie są Aborygeni, to są mieszkańcy Warszawy...”

Być może Panu wiadomo, że Aborygeni to lud o pięknej i długiej historii. Żyli i rozwijali swoje tradycje na kontynencie australijskim przez co najmniej 40 tysięcy lat, do czasu przybycia białych osadników. Wtedy faktycznie zostali potraktowani w przykry sposób. Na szczęście od drugiej połowy ubiegłego wieku podejmowane są działania mające zamknąć ten przykry rozdział w historii rdzennych mieszkańców Australii.

Dodam, że tradycje artystyczne, muzyczne i religijne Aborygenów są o wiele tysięcy lat

starsze, niż występujące na terenie Warszawy. Zatem z oburzeniem przyjmuję tolerowanie na antenie TVN tekstu obraźliwego wobec ludu tak bardzo pokrzywdzonego w zetknięciu z cywilizacją zachodu.

Jako dziennikarz jest Pan osobą opiniotwórczą. Pańskie wypowiedzi i dobór cytowanych tekstów ma wpływ na widzów i ich postrzeganie świata.

Z materiału o hałasie w okolicy Okęcia widzowie mieli okazję zapamiętać, że loty nad domami są uciążliwe dla ludzi, którzy w odróżnieniu od Aborygenów nie są ludźmi drugiej kategorii.

Jeśli Pański materiał miał uwrażliwić widzów na uciążliwy hałas w okolicach Okęcia, to uznaję za bardzo kiepską metodę budzenie mojego współczucia poprzez dzielenie narodów na kategorie. Nie rozumiem celowości publikowania tak dziwnej wypowiedzi na Państwa antenie.

Jeśli moje argumenty są trudne do przyjęcia to proszę o odpowiedź na pytanie, czy opublikowałby Pan wypowiedź Pani Szulc, gdyby brzmiała tak: “... oni też mają prawo do życia w jakiś ludzkich warunkach; to nie są ludzie drugiej kategorii, to nie są Żydzi, to są mieszkańcy Warszawy...”? Jestem przekonany, że natychmiast taka wersja wypowiedzi trafiłaby do redakcyjnego śmietnika. Zatem dziwię się dlaczego ten sam mechanizm nie zadziałał, gdy obrażani są Aborygeni.

Zresztą art. 18 ustawy o radiofonii i telewizji zabrania propagowania dyskryminacji ze względu na rasę lub narodowość. Myślę, że wydawcy zabrakło ludzkiej delikatności, ale dlaczego nie zdobył się na refleksję jakie treści propaguje cytując Panią Szulc?

Wobec powyższego jako oczywiste wydaje mi się oczekiwać wyrażenia przez Pana Redaktora, lub przez Pańskiego gościa (tj. Panią Szulc), wyjaśnienia w tym samym paśmie

antenowym, że Waszym zdaniem Aborygeni są tej samej kategorii ludźmi co mieszkańcy Warszawy.

*Z poważaniem,
[...]*

01 września 2009

14. Sila propagandy.

Pani E. jest energiczną osobą, która potrafi zdecydowanie zareagować, gdy sytuacja tego wymaga. Jadąc pociągiem zapadła w drzemkę. Przebudziło ją nerwowe zamieszanie na korytarzu. Był tam spory tłumek podekscytowany łobuzem, który od co najmniej godziny siedzi w toalecie. Nie reaguje na pukanie. Po prostu ignoruje innych pasażerów, którzy też chcą skorzystać z ubikacji. Pani E. postanowiła rozwiązać problem. Przepchnęła się pod same drzwi i rozkazującym tonem poleciła, aby ukrywający się intruz wyszedł.

Skoro nie było odzewu to odszukała konduktora, aby on przełamał opór zatwardziałego amatora izolatki. Jakież było zdziwienie E., gdy konduktor powiedział, że toaleta jest pusta, a on sam ją zamknął z powodu awarii.

Gdy usłyszałem opowieść E., która była zawstydzona, że wygłupiła się w pociągu to pocieszałem ją, iż jest w całkiem przyzwoitym klubie osób o niemal identycznym problemie. Podobnym “kibelem” był Irak, w którym miała być okropna broń. Zatem polski premier z prezydentem przepchnęli się przez tłum rozgniewanych państw i ogłosili, że wysyłają tam polskich żołnierzy, aby pomóc Amerykanom w przegonieniu łobuza uprzykrzającego życie spokojnego świata. Jak się później okazało, ich interwencja opierała się na równie wątplych podstawach co akcja Pani E. Tłum krzyczał, że jest wielki problem, a niektórzy nawet poświadczali, iż

mają dobre dowody na to o czym mówią. Morał z tej historii taki, że nim złapiemy za karabin warto sprawdzić ile prawdy jest w pełnych emocji relacjach naszych informatorów.

Pani E. dała się zmanipulować grupie zwykłych ludzi, którzy spontanicznie nakręcili się na walkę z wyimaginowanym przeciwnikiem. Co więcej, poza kolejowymi korytarzami mamy czasem do czynienia z manipulatorami, którzy celowo pobudzają tłumy do buńczucznych aktów agresji wobec równie fantazyjnych wrogów.

23 października 2009

15. **Kto mi zgasił internet?!**

(Uwaga: poniższy tekst jest fikcją literacką. W rzeczywistości mój internet dobrze działa i wyczytałem tam, jaką chorą panikę wywołano na Ukrainie w sprawie grypy. Zobaczcie co się

może stać, gdy damy się coraz bardziej zwariować.)

Siadam przed ekranem komputera, wpisuję adres ulubionego portalu i widzę informację, że strona nie może być załadowana.

Próbuję inny adres. Taki sam komunikat.

Jestem zły, bo zdarza się to właśnie teraz, gdy mam trochę czasu, aby poszperać w sieci, bo firma wysłała mnie do domu na przymusową kwarantannę w związku z sezonem grypowym. Chciałem się dowiedzieć jak wygląda sytuacja w kraju, poczytać co ludzie o tym wszystkim piszą na blogach i forach internetowych.

W końcu udaje mi się otworzyć oficjalne strony rządowe. Tam jest trochę informacji. Wszystko takie drętwe i urzędowe.

Postanawiam zdobyć informacje przez email. Piszę list do jednego ze znajomych, o którym sądziłem, że miał daleko posuniętą manię prześladowczą. Właśnie on przyszedł mi na myśl, bo w swoim szaleństwie gromadził masę

ciekawych informacji, których część po jakimś czasie była potwierdzana przez wydarzenia i oficjalną prasę. Klikam “Wyślij” i po kilku minutach dostaję odpowiedź. Dziwne, że tak szybko odpisał. Lecz odpowiedź pochodzi z serwera rządowego. Informują mnie, że w związku z szerzeniem przeze mnie paniki i rozpowszechnianiem treści mogących zakłócić sytuację w kraju zostaję na 24 godziny odcięty od komunikacji elektronicznej. Dalsza niesubordynacja będzie powodować eskalację sankcji.

Jeszcze raz czytam swój list do kolegi, żeby wyłapać nieostrożne zwroty. Faktycznie napisałem “to władze już nawet zabraniają nam gadać na forach internetowych” oraz “jestem ciekaw jak Twoje spiskowe teorie mają się do tego co rządzący wyrabiają w sprawie grypy”. To wszystko co system kontroli emaili mógł wyłapać jako szkodliwe treści.

Rozumiem, że stan wyjątkowy ma swoje

specyficzne prawa, ale cenzurowanie emaili i kneblowanie ust źle na mnie działają. Skoro nie mogę korzystać z internetu to przynajmniej pogadam przez komórkę. Moja matka ma zwykle masę informacji, więc chciałem się czegoś od niej dowiedzieć. Od czasu wprowadzenia komórkowych ograniczeń dla prywatnych użytkowników, dostałem numer z firmowej puli mojej mamy. Dzięki temu mogliśmy obchodzić przepis zakazujący korzystania z telefonów do prywatnych rozmów (zakaz podobno wynika z konieczności zapewnienia przepustowości sieci dla klientów biznesowych, których pracownicy wykonują robotę z domów - tez sam argument co przy blokadzie internetu). Dodzwoniłem się za pierwszym razem - czyli sieć ma się dobrze i nie widać tłoku. Po powitaniu i pytaniach jak idzie handel, wypaliłem z komentarzem, że mamy jakąś cholerną cenzurę. W tej sekundzie połączenie zostało przerwane, a w słuchawce

usłyszałem głos na tle uspokajającej melodii: “Uprzejmie informujemy, że Twój rozmówca korzysta z pakietu Firma w Kryzysie. Zainstalowany filtr ogranicza rozmowy do spraw biznesowych dla zapewnienia optymalizacji zasobów. Prosimy ograniczyć rozmowę do spraw firmowych.”. Po chwili znowu słyszałem Mamę. Nim cokolwiek wydukałem ona powiedziała: “Zaaranżuj meeting z Dyrektorem Skowronem i opracujcie plan komunikacji marketingowej. Dobrego dnia i do usłyszenia!”. Rozłączyła się. Co za cyrk? Jakim “Dyrektorem Skowronem”? Jedyne Skowron jakiego znam to nasz sąsiad, porządny starszy pan, emerytowany pilot wojskowy. Chwila zawahania i zrozumiałem! Matka radziła, abym pogadał z sąsiadem, bo rozmowa twarzą w twarz jest jedynym sposobem, aby się czegokowiek dowiedzieć. Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Skowron mieszka za rogiem, ale ulice są patrolowane

przez wojsko, które pilnuje, aby osoby odbywające kwarantannę nie opuszczały domu co ma ograniczyć roznoszenie choroby...

03 listopada 2009

16. Przewodź jak Attyla.

Odkąd firma, w której pracuję jest w rękach Amerykanów to nabieram przekonania, że Attyla na czele Hunów podbił Stany Zjednoczone. Ciężko to udowodnić, bo bezwzględny Attyla wyzionął ducha grubo ponad tysiąc lat nim północnoamerykańscy osadnicy postanowili, że każdy mieszkaniec ich kraju (z wyjątkiem gościnnych Indian) będzie demokratycznie współrządził Ameryką.

Ostatnio naczelny wódz naszej globalnej korporacji podsumował mijający rok. Wyraził najwyższe wyrazy uznania dla dokonań zespołu szefów kierującego stosunkowo niewielką komórką, w której pracuję. Kilka miesięcy

wcześniej ktoś z kolegów rozmawiając ze mną narzekał, że jeden z naszych dyrektorów rządzi bezwzględnie, nie liczy się z uczuciami podwładnych i traktuje pracowników jak bezmyślne narzędzia. Zręda z cicha liczył, że prezesi zorientują się w sytuacji i unieszkodliwią szkodnika. Wtedy zasugerowałem, że wiceprezes wydaje się być zadowolony z wyników naszego dyrektora i wróżyłem pochwały, a nie reprymendy. Teraz usłyszałem coś więcej, to był pean CEO na cześć naszych dyrektorów. Zachodziłem w głowę jakich przywódców (ang. "leaders") widział w nich wódz. Oświecił mnie inny kolega, który chodzi po Ziemi kilka lat dłużej ode mnie i pracował w firmach na kilku kontynentach. Jego zdaniem prezes zasadnie określił naszych pryncypałów mianem przywódców, bo np. Attyla był zadziwiającym przywódcą, ale był niemiłym człowiekiem (tutaj mój kumpel użył innego, mocniejszego

określenia).

Attyla to wódz Hunów, który w piątym wieku zasłynął z niezwykle sprawnego i skutecznego rządu. Poprowadził on swoje plemię na wojny, na których zasłynął z militarnych sukcesów, bezwzględności i okrucieństwa. Im dokładniej studiuję amerykański wpływ na współczesny świat tym lepiej rozumiem dlaczego Attyla jest tam uznawany za wzorzec polecany do naśladowania. Kwintesencją tego podejścia jest tekst jaki wygłosił amerykański coach: "Jeśli potrzebujesz zespolić swoich ludzi, aby pokonali dobrze zorganizowanego i wyposażonego przeciwnika to któż lepiej niż Attyla nauczy nas kilku rozwiązań?".

Attyla urodził się zbyt wcześnie, aby podbić amerykańskie miasta, ale z powodzeniem podbił masę amerykańskich serc. Widzę, że czasy recesji i zaciskania pasa wzmagają popularność pragmatycznej i skutecznej polityki zagranicznej sprytnych Hunów.

27 listopada 2009

17. Po polsku do Anglika.

Znika bariera językowa w internecie. Może niedługo będziemy mogli wymieniać emaile, polecać strony internetowe i czatować z obcokrajowcami, których język jest dla nas zupełnie obcy. Dzieje się to za sprawą firmy Google i jej narzędzi do automatycznego tłumaczenia.

Pomyśl czy ten blog może być czytany przez osoby, które nie znają po polsku ani słowa? Okazuje się, że tak. Moja koleżanka ze Szwajcarii przeczytała ostatnio kilka wpisów i potem rozmawiała ze mną dzieląc się swoimi refleksjami na blogowe tematy. Skorzystała z opcji automatycznego tłumacza Google umieszczonego na stronie [swojak.info](http://blog.swojak.info). Tłumaczenie było dość toporne, ale znajoma doskonale zrozumiała sens moich tekstów.

Bariery językowe znikają na naszych oczach. Firma Google zaprezentowała niedawno projekt Wave łączący rozmaite elementy internetu. Podczas prezentacji zobaczyłem dwie osoby, które czatowały na jakiś temat. Jedna z nich pisała tylko po francusku, a druga po angielsku. Dialog był płynny i rozmówcy doskonale się rozumieli. Angielski czytelnik widział na swoim ekranie wypowiedzi Francuza przetłumaczone w trybie rzeczywistym na angielski. Analogicznie, Francuz miał wszystko podane w swoim języku.

Wracając do spraw blogowych, zauważyłem, że teoretycznie Google oferuje tłumaczenie polskiej strony na kilkadziesiąt innych języków. Lecz odnoszę wrażenie, że wszelkie tłumaczenia są najpierw sprowadzane do języka angielskiego, a potem następuje ich dalsze tłumaczenie. Koleżanka wspomniana na początku tego artykułu, poza językiem angielskim, próbowała czytać mój blog po

hiszpańsku. Tekst wyglądał fatalnie i trudno była wyłapać sens poszczególnych zdań. Zatem póki co mamy używalne tłumaczenie na angielski. Mimo błędów i braku niektórych polskich słów w googlowym słowniku jestem pod wrażeniem tego przedsięwzięcia.

Czy wierzysz, że wkrótce znikną bariery językowe w internecie?

08 grudnia 2009

18. Niemcy i ich język.

Lubię spotykać Niemców. Czy to w samolocie, czy w hotelach cieszę się, gdy mogę trochę lepiej zrozumieć życie naszych zachodnich sąsiadów. Rozmawiamy po angielsku - dobrze się czuję na neutralnym gruncie językowym. Mój średniozaawansowany niemiecki w zasadzie wystarczyłby na takie pogawędki, ale trochę to uciążliwe, gdy niemal każde moje zdanie jest korygowane przez rozmówcę.

W ubiegły piątek siedziałem w samolocie obok biznesmena ze Sztuttgartu. Rozmawialiśmy po angielsku. Podzieliłem się z nim swoimi obserwacjami o poprawiactwie Niemców.

Mój rozmówca oznajmił, że osoba wytykająca błędy wyświadcza przysługę, bo w ten sposób udoskonala umiejętności osoby uczącej się języka.

Niemcy chyba mają w sobie jakąś naturalną potrzebę doskonałości i jest ona dużo silniejsza niż u mnie.

Natomiast wśród Szwajcarów nie mam tego problemu i załatwiam sprawy po niemiecku. Na codzień Szwajcarzy używają dialektu, a niemiecki jest dla nich językiem obcym. Lecz niemiecki jest zarazem ich językiem urzędowym, więc prawie wszyscy dobrze go znają. Helweci chętnie przechodzą na niemiecki w mojej obecności. Lecz, gdy na horyzoncie

pojawia się rodowity Niemiec, Szwajcarzy stawiają go do pionu odzywając się w Schwyzertütsch. Ten dialekt to spore wyzwanie dla Niemca, bo mimo, że wiele szwajcarskich słów ma niemieckie źródło to wymowa i gramatyka są mu dramatycznie inne.

Szwajcarska koleżanka powiedziała mojej żonie, że rozmawia z nią po niemiecku, bo jest Polką. Zaś do Niemki nie odezwałaby się w jej języku. Wygląda to jak wola pokazania przybyszom z “dużego kantonu na północy” (jak nazywają RFN), że przybywają w Alpy na prawach gościa.

Tak też bywa w urzędach. Kiedyś żona była świadkiem sytuacji, gdy Niemiec próbował nadać paczkę w okienku pocztowym koło Lucerny. Urzędniczka odpowiadała na jego niemieckie pytania w swoim dialekcie. Niemiec nie rozumiał. Zatem kobieta przeszła na angielski. Niemiec zapienił się i domagał się, aby mówiła po niemiecku.

Wybór języka rozmowy staje się narzędziem w potyczkach kulturowych z Niemcami. Czy pojedą na południe czy na wschód to prędzej usłyszą mowę Szekspira niż Goethego.

Jakie są Twoje doświadczenia? Czy uważasz, że faktycznie Niemcy mają specyficzny stosunek do swojego języka używanego przez obcokrajowców?

15 grudnia 2009

Fajne wydarzenie wczoraj widziałem...

Tutaj zebrałem recenzje wydarzeń, w których uczestniczyłem. Opinie o publikacjach, które mnie zainspirowały lub napotkanych ludziach.

19. Oswojony Sándor Márai

Uważni czytelnicy bloga pewno wyłapali strzępy mojego dialogu z komentatorem Maćkiem na temat dziennika Sándora Márai. Zainspirowany przez Maćka zamówiłem ten sześćset stronicowy “Dziennik” w Merlinie. Właśnie dzisiaj, wylegając się w hotelowej wannie w Kuala Lumpur dotarłem do ostatnich kart książki. Już dawno nie miałem w rękach tak przyjemnej lektury.

Márai to pisarz emigracyjny. Większość opublikowanych notatek pochodzi z drugiej połowy jego życia, czyli z okresu, gdy mieszkał we Włoszech i Stanach Zjednoczonych. Jednak już od pierwszych stron zrozumiałem, że nie mam w rękach zapisków codziennej niedoli

emigranta. “Dziennik” to felietony opisujące świat widziany oczami tego mądrego, doskonale wykształconego i dojrzałego publicysty, który pod koniec wojny zerwał swój związek z dziennikarstwem.

Oczywiście w książce jest też sporo osobistych obserwacji, czasem ocierających się o uniwersalne odczucia emigrantów. Na przykład poniższa notatka z 1956 roku:

“W Ameryce - we wszystkim, nie tylko w instytucjach, lecz także w przedmiotach, w sprzętach codziennego użytku, w całym urządzeniu tutejszego życia - istnieje coś specyficznego, opór, tajemnicza i niespodziewana, niepoznawalna inność. Prawdopodobnie w ludziach też ona istnieje.” Mimo sporej różnicy wieku i odległości miałem podobne odczucia. Márai przybył do USA mając pięćdziesiąt dwa lata, ja wylądowałem w Szwajcarii jako trzydziestolatek. Zatem zderzyliśmy się z innym krajem, w innej epoce

i z innym bagażem doświadczeń życiowych. Lecz poczucie tej ulotnej inności mamy wspólne. Márai wraził je cztery lata po osiedleniu się w Stanach. Rok później przyjął obywatelstwo amerykańskie, lecz pozostał wyobcowanym Węgrem z amerykańskim paszportem. Szwajcaria, mimo bliskości geograficznej, dała mi odczuć swój opór równie mocno. Tutaj nawet instytucjonalne przejawy osvajania odbieram jako wyzwania stawiane przybyszowi. O ile Ameryka zaprasza imigranta do udziału w swoim życiu publicznym po pięciu latach, to Szwajcaria izoluje przybysza przez dwanaście lat, nim pozwoli mu poprosić o obywatelstwo i udział w wyborach do gminy, kantonu czy parlamentu federalnego. Mimo sąsiedzkiej serdeczności, czy wręcz przyjaźni, opisywanej przeze mnie przed paroma tygodniami, jest w Szwajcarii ta ulotna inność, którą opisał Márai obserwując życie Nowego Jorku.

Inny zapisek, z 1964 (czyli po dwunastu latach od przybycia do Stanów):

“Imigranci. Rozmowy są monotonne, bo najczęściej przechwalają się albo skarżą. Rzadko spotyka się wśród nich kogoś, kto stan własnej obcości pojmuje jako możliwość rozwoju - tak Goethe widział starość, która jest nie tylko osuwaniem się, lecz może być też *Steigerung*, spotęgowaniem.” Faktycznie poznałem takie “samochwały” oraz “pechowców”, lecz muszę przyznać, że mam szczęście utrzymywać przyjazne kontakty ze licznymi szwajcarskimi Polakami, którzy bez zadęcia realizują swoje pasje, oraz skromnie i serdecznie cieszą się małymi radościami codziennego życia.

Nie sposób zaprzeczyć ponadczasowej notatce Máraia z 1971:

“W Szwajcarii przyjemnie odbiera się porządek i czystość. Ale taki sposób życia jest już niemal muzealny, sterylny. W tej atmosferze człowiek

twórczy prawdopodobnie nie otrzymuje bodźca, fermentu. (...) W czystym, pozbawionym kurzu powietrzu szwajcarskim czegoś brakuje: może Świętego Niepokoju, wiecznego ozonu.” Sam uparcie głoszę tezę, że rozwój gospodarczy w Polsce jest o niebo ciekawszy niż w Szwajcarii. W odpowiedzi dostaję kąśliwe komentarze ze strony osób, które wysoko cenią sobie spokój, bezpieczeństwo i przewidywalność. Lecz znajduję zrozumienie u tych, którzy są osobami twórczymi i szukają w życiu wyzwań. Nasza Polska jest krajem ubogim, są w niej spore - niespotykane w Szwajcarii - różnice klasowe. Lecz drugą stroną tego samego medalu są ludzkie aspiracje, pęd do edukacji oraz duch ciągłej zmiany i udoskonalania.

Na zakończenie przytoczę jeszcze jeden - bliski mi - fragment (tym razem napisany przez Máraia tuż przed wejściem w osiemdziesiątą wiosnę życia): “+Patrioci+. Istnieje tylko jeden rodzaj patriotyzmu: gdy człowiek z

bezwarunkową wiernością i prawdziwym wysiłkiem dobrze wykonuje własną pracę tam, gdzie się właśnie znajduje. Skutki takiej postawy promieniują na jego ojczyznę.”

Maćku, dziękuję za polecenie tej książki. Informuję, że “Dziennik (fragmenty)” w przekładzie i opracowaniu Teresy Worowskiej wydał “Czytelnik” w 2007. Publikacja jest do nabycia m.in. w internetowej księgarni www.merlin.pl za 62,50 zł.

15 marca 2008

20. [Viva Polonia, czyli Polska niemieckimi oczami](#)

Ostatnio trochę podróżowałam i towarzyszyła mi książka, którą wyszperałam na Amazon.de w lutym. Jej tytuł to “Viva Polonia”, a napisał ją Steffen Möller - Niemiec, który dość przypadkowo trafił do Polski kilkanaście lat temu i już tam został.

Jest to swoisty leksykon tłumaczący polską

rzeczywistość niemieckiemu czytelnikowi. Wśród 360 stron rozmaitych impresji z naszego kraju, jest też siedem zasad prowadzenia oficjalnego spotkania niemiecko-polskiego. Oto skrót porad jakie Möller udziela swoim rodakom:

1. Zwracaj się do Polaków używając ich imion, np. “Drogi Panie Piotrze”, zamiast przyjętej w Niemczech formy “Drogi Panie Kowalski”. Czasem nawet warto użyć imion w formie zdrobniałej “Panie Piotru”.
2. Częstuj wodą, papierosami, paluszkami. Jeśli za pierwszym razem odmówią to próbuj drugi i trzeci raz.
3. Zwracaj uwagę na polskie przesady. Nigdy nie przekładaj torebki polskiej uczestniczki z krzesła na podłogę. Jak ktoś życzy Ci powodzenia to nie dziękuj.
4. Śmieję się z żartów, mimo iż niektóre z nich będą zupełnie absurdalne. Co więcej, pamiętaj, że w Polsce mówca nie uprzedza, że za pięć

minut opowie żart.

5. Unikaj bezpośredniości w mówieniu “nie”. Raczej powiedz: “Zobaczmy” albo “Nie jestem pewien”.
6. Unikaj zamykania dyskusji tanim optymizmem, który uchodziłby za amerykańską powierzchowność. Raczej bądź realistą do bólu, nawet z nutką pesymizmu.
7. Żegnając się z polskimi partnerami bądź serdeczny, tzn. pocałuj panie trzy razy w policzek, a z panami wymień uściski dłoni. Pożegnanie nie może być zdawkowe, Polacy żegnają się przez pięć minut.

17 kwietnia 2008

21. **TED - wykłady na każdy temat.**

Co można robić siedząc samotnie za kierownicą? Słuchać muzyki? Rozmawiać przez telefon? Uczestniczyć w wykładach? Ostatnio jeden z kolegów pokazał mi stronę <http://www.ted.com> Skrót TED to Technology,

Entertainment, Design.

Jest tam zbiór setek wykładów osób, które brały udział w dorocznych konferencjach organizacji TED i wygłosiły swoje 18 minutowe wykłady. Wystąpienia dotyczyły rozmaitych tematów. Wybrałem kilka prezentacji w interesujących mnie dziedzinach, skopiowałem je na telefon komórkowy (który pełni rolę mojego odtwarzacza mp3), podłączyłem do samochodowych głośników i słuchałem podczas jazdy.

Zacząłem od Jill Bolte Taylor, która jako naukowiec zajmuje się mózgiem, a mówiła o przeżytych przez siebie wylewie ("My stroke of insight"). Przeskoczyłem też do dziedziny bliskiej moim zainteresowaniom i posłuchałem o rywalizacji telewizji i internetu ("Peter Hirshberg: The Web and TV, a sibling rivalry"). Potem sięgnąłem po temat rozwoju gospodarczego w Nigerii (Ngozi Okonjo-Iweala: "How to help Africa? Do business

there"). Wysłuchałem też wystąpienia Stephen'a Petranek'a o 10 sposobach w jakim mógłby nastąpić koniec świata ("10 ways the world could end").

Fajnie spędziłem czas przemierzając dziesiątki kilometrów szwajcarskich autostrad w drodze do przyjaciół w różnych zakątkach kraju.

10 września 2008

22. Muzeum Powstania Warszawskiego.

Wraz z żoną i dziećmi zwiedziliśmy Muzeum Powstania. Bardzo mi się podobało zarówno muzeum, sposób ekspozycji eksponatów jak i solidne podejście do rzeczy przewodniczki, która nas oprowadzała.

Do muzeum poszliśmy wraz z naszymi przyjaciółmi, którzy przywieźli ze Szwajcarii grupę polskich dzieci uczących się w tamtejszej szkole polonijnej. Rozpoczęliśmy od spotkania z ludźmi, którzy przeżyli Powstanie: jeden jako dwudziestoletni żołnierz AK, a drugi jako

piętnastolatek obserwujący tamte wydarzenia. Jeden z nich to dziadek uczniów ze szwajcarskiej szkoły, a drugi to krewny ich nauczyciela. Spotkanie było rodzinnie serdeczne.

Kolejne zetknięcie z tematem Powstania Warszawskiego znowu obudziło pytania o sens wydania rozkazu ataku 1 sierpnia 1944. Wszystko co nastąpiło po wybuchu Powstania to piękna karta bohaterstwa, odwagi, miłości Ojczyzny. Młodzi żołnierze odpowiedzieli na rozkaz swoich dowódców i stanęli o walki o Polskę.

Lecz wydanie rozkazu prowadzenia walki na terenie miasta - i co za tym idzie narażenie na ogromne straty ludności cywilnej - to dla mnie wygląda jak brawurowe podejście do kwestii planowania działań wojennych. Młodzi Warszawiacy nie musieli wiedzieć, że losy Polski zostały już przesądzone, a Roosevelt i Churchill oddali Polskę Stalinowi. Lecz

wydający rozkaz wybuchu Powstania wzięli na swoje sumienia sporo zwykłych ludzi, którzy nie mieli (i chyba nie chcieli mieć) z tą akcją nic wspólnego.

Dyskusowanie o Powstaniu to wciąż drażliwe wyzwanie. Póki żyją Ci, którzy rzucili na szalę swoje młode życia, dopóty pytania o sens Powstania są mylone z pytaniem o ich bohaterstwo i miłość Ojczyzny. Mam nadzieję, że z czasem zdobędziemy się na zdroworozsądkowe podejście do sprawy Powstania i wyciągniemy z tego naukę na przyszłość. Jak uczą nasze dzieje, raz na jakiś czas pojawia się zakręt w naszej historii. Szkoda, aby wtedy u naszych liderów zdrowy rozsądek i odpowiedzialność za innych było zastąpione myśleniem rodem ze szkoły oficerskiej.

Patrząc na Muzeum Powstania pomyślałem, że ma ono duże szanse na dalszy rozwój. Chętnie zobaczyłbym Powstanie oczami Niemców i

Rosjan. Chciałbym posłuchać o osobistych tragediach żołnierzy Wehrmacht'u, którzy stanęli w obliczu rozkazów o mordowaniu ludności cywilnej i łamaniu zasad, który im wpajano. Poza degeneratami z rozmaitych specjalnych oddziałów było też na ulicach Warszawy sporo niemieckich żołnierzy, którzy przeżywali swoje ludzkie tragedie. Po obu stronach barykady byli ludzie ze swoimi dramatami. Może za wcześnie na takie pomysły? Póki co nad Wisłą jest chyba wciąż zapotrzebowania na czarno-białą historię...

Lecz życie pisze swoje historie niezależnie od piór publicystów. Podczas zwiedzania muzeum przeciskałem się przez kanały tuż za Panem Powstańcem i jego wnukami. Przedzierając się przez mrok wąskich korytarzy chłopcy nawoływali się po niemiecku. Życie potrafi pisać barwne scenariusze...

29 września 2008

23. [Dom nad rozlewiskiem.](#)

Spotkałem się z kolegą, znajomym z czasów, gdy jeździłem po agencjach reklamowych wprowadzając nowe produkty do badania mediów. On był wtedy po drugiej stronie reklamowego szaleństwa: siedział w agencji i z pasją pisał programy komputerowe zliczające jak i kiedy złapać przed telewizorem dzieci, a jak nowobogackich. Upłynęło trochę lat od tamtych zwariowanych czasów. Przy okazji obgadywania środowiska reklamowego zeszło nam na temat książki "Dom nad rozlewiskiem". Kolega zachwalał książkę i gorąco namawiał do przeczytania. Pewno, gdzieś tam w tle pojawił się u niego jakiś element utożsamiania się z książkową Małgosią. Zrozumiałem to po przeczytaniu książki, gdy sam podzielałem sporo opinii wygłaszanych przez narratorkę. Bohaterka powieści porzuciła reklamę (lub raczej reklama ją porzuciła wysyłając na bruk jako pięćdziesięcioletnią Mądrą Starowinkę) i

uciekła w mazurskie zacisze. Przejadło jej się to co faktycznie wygląda beznadziejnie głupio:

“Gigantyczne pieniądze na reklamę nowego proszku, który jest gówniany. Kampania reklamowa paraleku, który od dawna jest w aptekach, ale pod starą nazwą, więc trzeba wzmóc sprzedaż. Ogromna forsa ładowana w telewizyjną reklamę sieci sklepów, która wyzyskuje swoich pracowników, upodlając ich i poniewierając nimi niczym niewolnikami, stosuje niedozwolone chwytów handlowe, towar ma być tani, ale byle jaki. Jedno wielkie oszustwo, a ja dobrze sobie z tego oszustwa żyję.”

Narratorka powieści to chyba w wielu momentach sama autorka, Małgorzata Kalicińska, bo jej opinie o reklamie, opisy dworskich manier przy Woronicza, czy obyczajowość agencyjnej młodzieży trącą bliskim kontaktem z mediowo-reklamową rzeczywistością.

Kilka lat w “oku cyklonu” czyli w nierealnym środowisku reklamy i mediów mogą być dobrym bodźcem do szukania tego co w życiu prawdziwe, szczere i spokojne. Książkowa Gosia uciekła w mazurską głąsę, a mój przyjaciel zaszył się w jakiejś dużej państwowej firmie, gdzie pracuje na luzie, a po godzinach studiuje.

Jednak reklama i telewizja były jedynie punktem wyjścia do niemal pięćsetstronicowej książki. Większość to opowieść o zmaganiu się z tym co w życiu najważniejsze: z miłością, samotnością, szukaniem zrozumienia natury, więzią międzypokoleniową, rodzinach, dzieciach i pochylaniem się nad losem ludzi z bliższego i dalszego otoczenia. Przede wszystkim jest to powieść o polskich kobietach: organizatorkach, matkach, kochankach, biznesmenkach, opiekunkach, ofiarach i oprawcach. Pisze kobieta i opowiada o świecie widzianym kobiecymi oczami. Na przeciągu

tych kilkuset stron niejednokrotnie wycisnęła łązy z moich męskich oczu, czyli jej baśniowy świat trafił do mojej wrażliwości i wyobraźni.

Idą Święta, jak szukacie pomysłu na prezent to “Dom nad rozlewiskiem” może być dobrym kandydatem za 33 złote.

13 grudnia 2008

24. [The Secret.](#)

Wszedłem na stronę <http://www.theseecret.tv> i w końcu zobaczyłem film The Secret (Sekret). Przed rokiem znajoma gorąco zachęcała do zapoznania się z Sekretem, ale wtedy nie czułem takiej potrzeby. Ostatnio, przy kominku w szwajcarskiej chacie naszych przyjaciół, zobaczyłem niemieckie wydanie książki The Secret. Przerzuciłem kilka kartek i wiedziałem, że chcę obejrzeć film.

Staram się ciepło i pozytywnie podchodzić do Świata. Zatem myśli przekazywane w ciągu 90.

minutowego filmu współgrały z moim odczuwaniem tego co otrzymuję od życia. Film jest przede wszystkim barwnym samouczkiem jak osiągać w życiu to czego naprawdę pragniemy.

Sporo napisano o The Secret na papierze i w internecie, tutaj ograniczę się do podkreślenia tego co sam uważam za bardzo ważną część przekazu.

Każdy z nas jest unikalny, został wyposażony w niepowtarzalne talenty i ma do spełnienia na Ziemi swoją rolę. Skojarzyło mi się to z tym, co w Kościele nazywane jest odkrywaniem swojego powołania. Odkrycie tego w czym jesteśmy dobrzy i budowanie na tym działań jest też powszechne w poradnictwie zawodowym. Bez względu na motywację poszukiwania swoich talentów i ich pomnażania, uważam, iż warto ustawicznie odkrywać swoją niepowtarzalną drogę życia. Refleksyjna obserwacja tego co nas spotyka,

wyczuleniu na znaki jakie otrzymujemy każdego dnia pozwala widzieć więcej wymiarów codzienności.

Główny motyw filmu to prawo przyciągania tego co pragniemy, o czym marzymy. Moje osobiste doświadczenia mówią, że będąc na swojej właściwej ścieżce otrzymujemy od Losu wsparcie, które pcha nas w dobrym kierunku.

Zaś dywagacje o szczegółach tego metafizycznego wpływu na nas (tzn. jak? i kto?) pozostawiam teologom, religioznawcom, filozofom i publicystom. Nie wiem jak to działa, ale wiem, że działa.

Dla ścisłości dodam, że za obejrzenie wersji online The Secret zapłaciłem ok. 5 USD. Oglądałem wersję angielską, ale widziałem, że była także opcja wyboru języka polskiego. Jeśli lubicie entuzjastyczne wypowiedzi amerykańskich ludzi sukcesu to miło spędzicie półtorej godziny oglądając świetnie zmontowany dokument.

05 lutego 2009

25. Małe jest piękne.

Potwierdzam, że laptopy trafiają pod strzechy. W naszej chacie brakowało komputera do pisania rozmaitych tekstów, raportów i sprawozdań. Za 350 euro (1600 złotych) kupiłem urządzenie, które jest bliskie ideałowi: małe, wygodne, a do tego z dobrą baterią. Takie urządzenia są sprzedawane pod nazwą “netbook” dla podkreślenia, że są to wcielenia notebooków zaprojektowane dla amatorów internetu. Przed wyprawą na zakupy brałem pod uwagę klasyczne laptopy z 15-calowym ekranem. Przypuszczałem, że 10-calowe wyświetlacze netbooków to za mało jak na potrzeby mojej żony, która będzie głównym użytkownikiem nowego komputera. Oglądaliśmy kilka 15-calowych maszyn Fujitsu-Siemens, Toshiba, HP i Lenovo. Na półce z ceną ok. 1500 złotych (w sklepie

Saturn) był dość dobry wybór. Do naszego finału przeszła okazała maszyna Fujitsu-Siemens. Wtedy zaproponowałem żonie, aby przez chwilę popracowała na 10-calowym netbooku. Byłem dość sceptyczny. Sam od roku korzystam z 12-calowego laptopa i jak mam okazję to podpinam go do większego monitora. Po kilku minutach uderzenia w klawiaturę netbooka [Samsung NC10](#) małżonka uznała, iż taki mały komputer, nawet przy braku napędu DVD, pasuje jej najbardziej. Obok stał netbook Lenovo S10 z takim samym procesorem (Intel Atom N270), pamięcią (1GB) i dyskiem (160 GB), a przy tym był o dwieście złotych tańszy od Samsunga. Już miałem w ręce pudełko z Lenovo, gdy pojawił się sprzedawca. Jego zdaniem Samsung zasługiwał na większą uwagę, bo poza solidniejszą klawiaturą ma dużo mocniejszą baterię wystarczającą na sześć godzin pracy. Ulegliśmy tym argumentom i kojne kilka godzin

spędziłem w domu konfigurując Samsunga NC10. Lenovo zostało w sklepie. Późniejsza lektura recenzji internetowych w pełni potwierdziła słowa sprzedawcy. Brawo ten Pan z Saturna w Jankach!

Teraz poświęcę chwilę konfiguracji Samsunga NC10. W zasadzie komputer jest gotowy do użytku bezpośrednio po wyjęciu z pudełka. Po potwierdzeniu na ekranie podstawowych parametrów systemu Windows XP Home (tj. czas, nazwa użytkownika i język itp.) można rozpocząć pracę na tym netbooku. Ja spędziłem pięć godzin nim uznałem, że komputer nadaje się do codziennego użytku w naszej rodzinie. To co i dlaczego z nim wyrabiałem opisuję poniżej.

Program antywirusowy.

Komputer miał zainstalowaną wersję demonstracyjną pakietu McAfee SecurityCenter. Po kilku tygodniach testowania należałoby opłacić licencję lub usunąć program.

Nie czekałem i od razu zastąpiłem komercyjny McAfee, darmowym ClamWin www.clamwin.com. Na innych komputerach domowych korzystam z antywirusa avast! www.avast.com. Lecz avast! jest darmowy tylko do użytku prywatnego, zaś nasz nowy netbook jest na stanie naszej działalności gospodarczej. Zatem potrzebna była licencja komercyjna i stąd wybór ClamWin.

Pakiet biurowy.

Zainstalowałem OpenOffice www.openoffice.org, który od kilku lat jest standardem na komputerach w naszej rodzinie. Z powodzeniem zastępuje nam pakiet Office firmy Microsoft.

Firefox.

Potem ściągnąłem z sieci Firefox, bo wolę go zamiast Internet Explorer.

Instalacja Linux Ubuntu.

Tak, zainstalowałem też Linuksa i w założeniach ma on być najczęściej używanym

systemem operacyjnym. Przede wszystkim ma to związek z pracą żony. Jako pedagog szkolny korzysta z poważnie zaśmieconych komputerów szkolnych. Linux jest zdecydowanie mniej narażony na zainfekowanie co ma zapewnić komfort przy przenoszeniu dokumentów pomiędzy różnymi pecetami.

Od półtora roku korzystam z Linuksa Ubuntu. Zatem z wielu dostępnych wersji Linuksa wybrałem najnowsze Ubuntu www.ubuntu.com Instalacja Ubuntu na netbooku NC10 obfitowała w kilka wyzwań. Najłatwiej zainstalować Ubuntu z dysku CD. Lecz netbook nie ma napędu CD/DVD. Jednym wyjściem jest instalacja spod Windows z UNetbootin i pamięcią USB, innym jest podłączenie zewnętrznego napędu CD/DVD przez gniazdo USB i instalacja z płytki instalacyjnej. Wybrałem opcję z płytką instalacyjną. Płytkę nagrałem z pliku

dostępnego na stronie Ubuntu. Potem podłączyłem napęd CD/DVD kabelkiem USD, który kiedyś kupiłem do podpinania dysków do peceta. Zainstalowałem polską wersję Ubuntu 8.10 pozwalając programowi instalacyjnemu wydzielić dla Linuksa około 70 GB. Oczywiście system operacyjny potrzebuje tylko odrobinę miejsca, większość będzie przeznaczona dla użytkowników na ich pliki. Instalacja Linuksa przebiegła sprawnie i w ciągu pół godziny Linux działał. Współpraca Linuksa z komputerkiem NC10 jest ograniczona, ale najważniejsze rzeczy działają. Wprawdzie uruchomienie internetu bezprzewodowego wymagało przeinstalowania sterowników, a karta dźwiękowa wciąż ma jakiś problem, ale pisanie dokumentów, ich drukowanie i korzystanie z przeglądarki internetowej działa bardzo dobrze. Teraz po uruchomieniu netbooka użytkownik widzi ekran, gdzie wybiera czy wchodzi do

Windows XP czy do Linux Ubuntu.

Mały w wielkim świecie.

Po doprowadzeniu netbooka do używalności pod Windowsami i pod Linuksem zająłem się stawianiem mu wyzwań. Będąc pod Windowsami podłączyłem komputer do dużego, 27-calowego, monitora o rozdzielczości 1920×1200. NC10 pracuje na swoim 10-calowym ekraniku w rozdzielczości 1024×600 - byłem ciekaw jak sobie poradzi w dużym formacie. Praca w 1920×1200 poszła sprawnie i dobrze. Następnym krokiem była obsługa klawiatury Logitech przez bluetooth. Zarówno Windows, jak i Linux od razu poradziły sobie z zadaniem. Zatem mała Samsung może z powodzeniem pełnić rolę “mózgu” systemu potrzebnego do prezentacji. Skoro radzi sobie z 1920×1200 to z pewnością będzie pracował z projektorami, których większość i tak ogranicza się do 1024×768 punktów na ekranie.

Tyle szczęścia za jedyne 350 euro! (Na rynku jest tuzin marek oferujących netbooki w podobnej cenie - zatem proszę traktować ten komentarz jako opinię o tego typu netbookach, bez ograniczania się do firmy Samsung. Co nie zmienia faktu, że niniejszy tekst to recenzja komputera Samsung NC10.)

Pracuję z komputerami od kilkunastu lat. Na moich oczach technologia stawała się coraz bardziej dostępna dla każdego, kto potrzebuje komputera. Lecz tak mały, tak wszechstronny i tak niedrogi notebook potrafił mnie zadziwić.

26 lutego 2009

26. Charaktery emigrantów i reemigrantów.

W Empiku znalazłem czasopismo "Style i Charaktery" nr 1/2009 w całości poświęcone emigracji. Pobieźnie przekartkowałem periodyk i byłem pod sporym wrażeniem tego co znalazłem wewnątrz

(http://www.charaktery.eu/style_i_charaktery/2009/01/). Zatem wydałem 15 złotych i publikacja była moją główną lekturą w mijający weekend.

W "Stylach..." jest wiele tekstów, w których znalazłem sporo wiedzy i odrobinę mądrości dotyczących sytuacji osób opuszczających Polskę i do niej powracających. Kwestią gustu i osobistej sytuacji czytelnika jest ocena wartości poszczególnych artykułów. Moim hitem jest "Słoneczna strona powrotów" Anny Chodynickiej

(http://www.charaktery.eu/style_i_charaktery/2009/01/2872/Słoneczna-strona-powrotow/). Jej obserwacje zdecydowanie rezonowały z moimi migracyjnymi odczuciami i obserwacjami. Pewno ma tu swoje znaczenie doświadczenie autorki w pracy ze środowiskiem biznesu. Inspirujący był fragment o akceptacji swojej tożsamości:

Nasza tożsamość jest budowana po części w

relacji do ojczyzny. Dopóki jesteśmy w kraju, nie myślimy o tym, ale za granicą tożsamość staje się niezwykle ważna. Jeśli potrafimy zrozumieć i zaakceptować swoje korzenie, znaleźć pozytywne i negatywne aspekty zarówno własnej, jak i nowej kultury, to pobyt za granicą będzie łatwiejszy, a powrót bardziej satysfakcjonujący. Dobrym wskaźnikiem akceptacji tożsamości polskiej za granicą jest otwarte mówienie o swoim polskim pochodzeniu – przebywający za granicą wiedzą, jak wielu emigrantów ukrywa swoją polskość.

Mogę w pełni potwierdzić, że mój stosunek do Polski i polskości przeszedł sporą metamorfozę podczas mieszkania w Szwajcarii. W zasadzie dopiero na emigracji stanąłem przed pytaniem o swój patriotyzm i zacząłem zastanawiać się nad moją odpowiedzialnością za ojczyznę. Cieszę się z tego doświadczenia. Teraz jest mi stosunkowo łatwo akceptować Polskę taką jaka

jest. Jak już pisałem dobrze czuję się w tej naszej kosmatej ojczyźnie.

Wracając do recenzowanego periodyku, zwrócę uwagę, że poza Chodynicką, pismo zgromadziło wielu autorów o barwnych tytułach naukowych. Augustyn Bańka dokonał systematyzacji zjawiska emigracji; Halina Grzymała-Moszczyńska opowiedziała kilka barwnych i - w mojej ocenie - trafnych sądów o dość powszechnym zamknięciu naszych rodaków na inne kultury i rasy.

Tym z Was co mieszkają w Polsce polecam wycieczkę do Empiku lub kiosku z gazetami, zaś tych co na obczyźnie zapraszam do przeczytania wybranych tekstów na stronie internetowej "Charakterów".

08 marca 2009

27. Książka o intuicji, energii i synchroniczności.

“The Celestine Prophecy” to intrygująca książka napisana przez Jamesa Redfielda ponad piętnaście lat temu. Jej popularność umknęła mojej uwadze, także polskie tłumaczenie nigdy nie wpadło w moje ręce. Dopiero kilka tygodni temu, podczas rozmowy o publikacjach godnych uwagi, ktoś ze znajomych polecił mi powieść Redfielda. Już angielski tytuł brzmiał dla mnie dziwnie, potem dowiedziałem się, że polską wersję też nazwano oryginalnie: “Niebiańska przepowiednia”.

Przed zakupem książki zrobiłem wywiad w sieci i dowiedziałem się, że Redfield napisał powieść przygodową dość przeciętych lotów. Akcja książki miała być jedynie tłem do myśli autora dotyczących ludzkiej natury. Jego poglądy wywarły spory wpływ na wielu czytelników. Było to dla mnie dobrą zachętą, aby kupić wersję dźwiękową “The Celestine

Prophecy” i poświęcić kilka tras dom-biurodom na jej wysłuchanie.

James Redfield studiował nauki społeczne i przez wiele lat pracował jako terapeuta. Fragmenty książki dotyczące relacji międzyludzkich, walki o panowanie nad innymi oraz przepracowywaniu treści wyniesionych z rodzinnego domu brzmiały dla mnie przekonująco i współgrały z moim postrzeganiem świata. Lecz, gdy książka ocierała się o sprawy polityki społecznej i gospodarki tam czułem, że fantazje Redfielda odbiegają od mojego wyobrażenia ziemskiej przyszłości.

Przypuszczam, że niektórzy z Was sięgną po książkę i osobiście poznają szczegóły wtajemniczeń wymyślonych przez Redfielda. Lecz większość z kilkuset gości mojego blogu poprzestanie pewno na mojej recenzji. Napiszę dla Was kilka zdań zawierających myśli, które zapamiętałem z książki, co pomoże Wam lepiej

poznać treść powieści.

James Redfield podkreślał wielokrotnie, że ważnym celem wydania “The Celestine Prophecy” było zwrócenie uwagi na ludzką duchowość. Czyli miał to być sygnał dla czytelnika, że poza światem rozumu, ciała i emocji składamy się też z części duchowej, która wymaga odpowiedzi na pytanie po co jesteśmy na Ziemi, jaką rolę mamy do spełnienia i jaki jest sens naszej egzystencji. Faktycznie odebrałem tą lekturę jako apel o pochylenie się nad naszą duchowością.

Redfield umieszcza bohatera swojej powieści w sytuacjach, w których przytrafiają mu się zbiegi okoliczności. Im głębiej się nad nimi zastanawia tym mocniej dostrzega, że są one wiadomościami, które stają na jego drodze życiowej. Te zbiegi okoliczności wyglądają jak synchroniczności opisywane przed laty przez Carla Gustava Junga. Reakcja na te wiadomości wymaga wyczucia i w gruncie rzeczy opierania

się na intuicji w podążaniu za tym co ze sobą niosą.

Innym ważnym elementem jest podkreślanie przez autora wagi energii, jaka nas otacza i którą nosimy w sobie. Począwszy od relacji wpływu naszej energii na wzrost roślin, o które się troszczymy, aż po wzajemne wpływanie na energię ludzi z otoczenia. Pokazując zmagania ludzi z sytuacjami społecznymi Redfield barwnie opisuje przykłady, gdy ludzie dążą do dominacji na innych, aby wzmocnić swoją siłę. Dobrze współgra to z potocznymi obserwacjami, gdy czasem mówimy, że spotkanie z daną osobą wyssało z nas energię. Lub mówimy, że po spotkaniu z kimś poczuliśmy się pełni energii. Mamy też w książce trochę opisu technik jakimi posługują się osoby wyciągające energię od innych. Redfield opowiadał, że był zainspirowany pracami twórcy analizy transakcyjnej Erica Berne (autora “W co grają ludzie.”). Jako

dawny absolwent kursu analizy transakcyjnej przyznaję, że jest to bardzo ciekawa metoda opisu relacji międzyludzkich.

Spodobały mi się też odniesienia do znaczenia drzew i lasów. Redfield rozpisuje się nad lasami jako naturalnymi rezerwuarami energii. Sam bardzo lubię las i też mam intuicyjne przekonanie o energii drzew.

“The Celestine Prophecy” zawiera też elementy opisu przyszłości, która może nastąpić, gdy ludzkość masowo zwróci się w kierunku rozwoju swojej duchowości. Przyznaję, że miałem problemy z tymi fragmentami, bo są sprzeczne z tym jak sobie wyobrażam przyszłość Ziemi. U Redfielda były wizje społecznej sprawiedliwości, gdy każdy ma zaspokojone potrzeby materialne, bo automatyzacja procesów produkcyjnych sprawia, że ludzie zajmują się głównie kultywowaniem swej duchowości. Co więcej ludzkość świadomie ogranicza swoją

rozrodczość, aby nie było nas zbyt wielu na Ziemi. Zaś rodzice przyjmują do wiadomości, że jeden dorosły ma wychować tylko jedno dziecko, któremu ma poświęcić masę uwagi i czasu; równie dobrze może wychować cudze dziecko, gdy biologiczny rodzic zajmuje się pracą, a nie wychowywaniem potomka.

Na tym kończę recenzję książki. Przed kilku laty na ekrany kin wszedł film pod tym samym tytułem. Planuję go obejrzeć na DVD, lecz przeczytane recenzje potwierdzają to co zwykle w takim przypadku: książka jest nieporównanie ciekawsza od filmu.

03 czerwca 2009

28. [Basia koncertowo.](#)

W naszym szwajcarskim mieszkaniu, także podczas wizyt znajomych, pobrzmiwały piosenki śpiewane przez Basię. Czasem wywiązywała się rozmowa i nasi przyjaciele

byli mocno zaskoczeni, że utwory, znane im od lat, są śpiewane przez Polkę. Jedną z takich zabawnych sytuacji mieliśmy z naszym sąsiadem, lekarzem, któremu wpadła w ucho płyta Matt's Mood. Znał i lubił grupę Matt Bianco, ale długo nie mógł uwierzyć, że na Matt's Mood słyszy polski głos.

Prawie dwadzieścia lat temu, w piosence "Copernicus" Basia uświadamiała słuchaczy, że tak znakomici ludzie jak Kopernik, Chopin, Curie i Zamenhof to Polacy. Teraz ona sama jest tak mocno wpisana w globalną kulturę, iż widząc zasłuchanego obcokrajowca z dumą podkreślamy, że Basia jest z Polski.

Zresztą piosenki Basi od wielu lat towarzyszą naszej rodzinie. Ciepłe, dynamiczne utwory potrafiły rozchmurzyć każdy dzień. Wobec tego jej płyty mamy w domu, w samochodzie, a empetrójkowe kopie noszę w telefonie. Jak tylko usłyszałem, że w tym roku Basia nagrała płytę "It's That Girl Again" to natychmiast

znalazła się w naszej kolekcji.

6 października Basia zaśpiewała w Warszawie. Miesiąc wcześniej zamówiłem bilety, a gdy tylko dotarły do mojego biura, podzieliłem się radością z kolegami napotkanymi w kuchni. "Idziesz na koncert Basi? To Ty już taki stary jesteś?!" Faktycznie, artystka swoje lata młodzieńcze ma za sobą. W warszawskiej Sali Kongresowej dominowało pokolenie Marka Niedźwieckiego, czyli pięćdziesięciolatek, plus minusz dziesięć lat. Przed koncertem Niedźwiecki oznajmił, że ten wieczór był wyczekiwany przez piętnaście lat i (nawiązując do opóźnienia) piętnaście minut. Dodał, że materiał dźwiękowy będzie zarejestrowany i ukaże się płyta koncertowa.

Czas leci, a Basia ma masę energii, która doprawiona cudowną wrażliwością i poczuciem humoru sprawiły, że spędziliśmy na koncercie piękny wieczór.

Zapowiadając kolejne utwory Basia

wspominała okoliczności ich powstania lub przesłanie, jakie miała w sercu pisząc piosenkę. Dbiała o budowanie kameralnej atmosfery mimo występu w sporej sali.

Na scenie towarzyszył jej chórek bliźniaczek Annick i Veronique Clarisse, które Basia ściągnęła z Mauritiusa; przy klawiszach był wierny od lat Danny White; na gitarze przygrywał nowy nabytek zespołu odkryty na włoskiej Sardynii Giorgio Serci, a plejadę zamykał nadworny trębacz i praktycznie członek rodziny Kevin Robinson (znany też z Simply Red).

Artystka była wyraźnie wzruszona występem w Warszawie. Po końcowej owacji ze łzami w oczach pożegnała nas wyśpiewując, że jesteśmy jej nagrodą.

W przypadku Basi nagroda jest obopólna: ona się cieszy, że jest dla nas tak ważna, a ja mam wielką frajdę, bo swoim śpiewaniem Basia wnosi do Świata masę ciepła, dobra i

optymizmu, które płyną z jej polskiego serca.

07 października 2009

29. Kierunek, a nie intencja, decyduje o osiągnięciu celu.

Każde nasze działanie, praca, rola życiowa jest jak ścieżka, na którą weszliśmy i która ma swój przewidywalny koniec. Może wyraźniej to widać z boku, gdy patrzymy na znajomego i dostrzegamy, że zmierza w ślepią uliczkę. Wybrał kierunek prowadzący do fatalnego miejsca przeznaczenia choć sam może tego nie widzieć. Nasuwa mi to na myśl historię naszej dalekiej krewnej, która studiując psychologię działała społecznie w świetlicy dla osób o poplątanych charakterach. Zakochała się w facecie o psychopatycznej osobowości; uwierzyła, że jej miłość i oddanie cudownie zmienią jego powichrowaną psychikę. Sporo postronnych osób widziało, że ta droga może

doprowadzić do kiepskiego końca. Lecz zakochana B. miała piękne intencje i poszła ścieżką jaką dyktowały jej emocje. Skończyło się dramatycznie. Po kilkuletnich niebezpiecznych zakrętach złego życia małżeńskiego, B. jest za granicą, gdzie wraz z synami ukrywa się przed swoim (już byłym) mężem. Ten chory człowiek lekceważył sądowe zakazy i nachodził rodzinę grożąc wymyślnymi zbrodniami. B. jest u przewidywalnego celu swojej małżeńskiej drogi. “Reguła ścieżki” ma równie mocne zastosowanie przy wchodzeniu na szczęśliwe drogi życia. Mój dobry znajomy J. mieszkał w Polsce i był zakochany w Szwajcarii. Wiele razy zachwycał się alpejskim porządkiem, pięknem krajobrazu i tamtejszymi standardami życia. J. wszedł na drogę realizacji swojego marzenia. Rozpoczął starania o pracę w Szwajcarii. Najpierw szukał możliwości znalezienia się w szwajcarskim oddziale

swojego pracodawcy, gdy to nie wyszło poszukał w internecie ofert pracy. Wybranie tego kierunku i podążanie ścieżką swojego szwajcarskiego marzenia doprowadziło go do zamieszkania w malowniczej wiosce w kraju swoich marzeń. Patrząc na jego wędrowkę, jeszcze w dniach, gdy codziennie rano wsiadał do podmiejskiego autobusu i jechał do swojego warszawskiego biura, wiedziałem, że jest na ścieżce, która niemal na pewno doprowadzi go do Szwajcarii.

Czyż powyższa prawda nie jest truizmem? Czy stwierdzenie, że “kierunek, a nie intencja, decyduje o osiągnięciu celu”, wymaga aż całego artykułu na moim blogu? Myślę, iż najważniejsze prawdy są najprostsze. Zaś przez swoją prostotę czasem umykają naszej uwadze. Niniejszy wpis jest wynikiem książki, którą właśnie przeczytałem. Jest to niedawno wydany poradnik pt. [“The Principle of the Path: How to](#)

[Get from Where You Are to Where You Want to Be.](#)” (“Reguła ścieżki: jak się dostać stąd, gdzie jesteś do miejsca, gdzie chcesz być.”) Autorem jest Andy Stanley. Sięgnąłem po książkę z dwóch powodów. Pierwszym był wywiad ze Stanleyem jaki zobaczyłem we wrześniu. Dla rozumiejących po angielsku poniżej wklejam tą pięciominutową rozmowę - może również dla Was będzie inspirująca. Drugim powodem był fakt, że Michael Hyatt - szef wydawnictwa drukującego książkę - postanowił wysłać mi jeden egzemplarz. Przy okazji nadmienię, że sam Hyatt jest niezwykle ciekawym człowiekiem. Jest moim ulubionym blogerem. Poza świetnymi tekstami, raz na jakiś czas ogłasza, że rozda egzemplarze książki osobom, które przekonująco poinformują go dlaczego publikacja ma trafić w ich ręce. Po wysłuchaniu wywiadu wiedziałem, że prędzej czy później przeczytam książkę Stanley’a. Dzięki Michael’owi stało się to natychmiast.

Na chwilę wrócę do samej “Reguły ścieżki”. Książka w dziesięciu rozdziałach rozprawia się z tematem naszych życiowych dróg. Autor jest pastorem, więc w naturalny sposób przelewa na papier swoje doświadczenia z parafialnego poradnictwa oraz dzieli się biblijną perspektywą podążania właściwymi ścieżkami. Moim zdaniem książka jest równie czytelna dla osób wierzących jak i tych niezwykle odległych od ławek kościelnych. Znalazłem w niej obserwacje, którymi chcę się z Wami podzielić. Sprowadzając wszystko do prostego schematu można powiedzieć, że od wybranej drogi zależy czy zwyciężę czy przegram w swoim życiu. Oczywiście ocknięcie się ze świadomością, iż jestem na złej drodze niemal zawsze daje mi szansę zmiany kierunku. Lecz będąc na złym trakcie częstokroć mamy już bezpowrotnie stracone cenne lata, których nie odzyskamy. Mądre wybieranie drogi jest trudne. Nawet mądrym ludziom zdarza się dokonać głupiego

wyboru, gdy w jedną stronę wskazuje drogowskaz “Szczęście”, a w przeciwnym kierunku mamy strzałki z napisami “Mądrość, prawda, prawość i zdrowy rozsądek”.

Decydowanie w sytuacji mocno emocjonalnej sprawia niemal niemożliwym nabranie takiej perspektywy spojrzenia, która pozwoli nam wybrać drogę do celu, w którym chcemy być. Zwykle otoczenie, w którym decydujemy, nie jest emocjonalnie obojętne. Warto mieć tego świadomość nim zaspokoimy chwilową, kosztowną zachciankę, a później będziemy sobie i innych przekonywać post factum dobranymi racjonalnymi powodami mającymi zniwelować poczucie, że krok był nieprzemyślany.

To na co zwracamy naszą uwagę wpływa na kierunek, w którym pójdziemy. W konsekwencji wpływa to na to gdzie dojdziemy. Często rzeczy, które mają tendencję, aby zwrócić i złapać naszą uwagę są rzeczami,

których powinniśmy unikać. Zatem ostrożnie zwracamy uwagę na to na co zwracamy naszą uwagę. Uważajmy na rzeczy, które walczą o naszą uwagę (np. reklamy!). Zatrzymajmy się na chwilę nim poświęcimy cemukolwiek uwagę. Natomiast poświęcajmy szczególną uwagę tym sprawom, które zasługują na naszą uwagę (np. małżonek).

Rozwinięcie pełni swojego potencjału wymaga skorzystania z mądrości innych. Najsensowniej jest zwrócić się do osób, które już osiągnęły cel podobny do tego, który sobie stawiamy. Jeśli oni podzielą się swoim doświadczeniem, to nasza droga będzie rysować się w dużo wyraźniejszych barwach. Natomiast opieranie się wyłącznie na poradach przyjaciół, którzy stoją w tym samym miejscu co my jest ryzykowne. Bowiem oni mają mniej więcej tyle samo pojęcia co my o tym, gdzie ta droga prowadzi. Można wtedy popaść w pułapkę stada, gdy zakładamy, że skoro każdy kogo

znam działa w dokładnie ten sam sposób to musi to być dobry sposób.

Niektóre drogi są dla nas zamknięte. Przyczyną może być to, że czas na pójście taką drogą już minął. Może być też tak, że swoimi wcześniejszymi decyzjami spaliliśmy mosty, które prowadzą do takich dróg. Może być masa powodów. Jeśli zdamy sobie sprawę, iż jakiś cel jest poza naszym zasięgiem, możemy być wściekli, możemy rozpaczać, możemy próbować mimo wszystko to osiągnąć, możemy próbować wtłoczyć swoje marzenie dzieciom - ale koniec końców po tych wszystkich staraniach i manewrach nic się nie zmieni. Stanley odwołuje się w tym miejscu do Pisma i sugeruje w takiej sytuacji modlitwę słowami "nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie" i przyjęcie do wiadomości, że zrobiliśmy wszystko co mogliśmy i co powinniśmy.

Mam nadzieję, że ta masa oczywistości była dla Was cenną lekturą. Napiszcie, proszę, co z

kierunkami w Waszym życiu.

14 listopada 2009

30. Pewność siebie.

Pewność siebie (ang. confidence) jest paliwem raketowym Twojego życia zawodowego. Pewni siebie posiadają charyzmę podążania ich śladem, ta charyzma kreuje zwolenników. Gdy posiadasz pełnię pewności siebie to chcesz podejmować ryzyko. Gdy to masz, to pchasz siebie i swój zespół do przodu, w przyszłość.

Jest pewien problem: większość ludzi nie kształtuje pewności siebie - pewność siebie po prostu spada na nich w sprzyjających okolicznościach. Nazywam to punktową pewnością siebie. Dobre czasy tworzą ludzi pewnych siebie. Złe czasy łamią ich wraz z ich brawurowymi punktami widzenia.

Tajemnicą niezniszczalnej pewności siebie jest styl życia oparty o dietę

emocjonalną/umysłową oraz o ćwiczenia.

1. Karm swoją głowę dobrym materiałem
Przestań czytać negatywne informacje, słuchać negatywnych ludzi czy oglądać wiadomości telewizyjne. Naładowujesz się lękami. Zamień te informacje na analizowanie przyszłości lub udoskonalanie siebie. Wkrótce wyłoni się z Ciebie pomysłodawca rozwiązań zastępując Kurczaka Małego (Chicken Little).

2. Ćwicz swój mięsień wdzięczności
Wdzięczność jest mięśniem, a nie uczuciem. Musisz go ćwiczyć codziennie. Codziennie rano dziękuj dwóm ludziom, którzy pomogli Ci wczoraj, oraz jednej osobie, która pomoże Ci dzisiaj. To nastawi Twój umysł ma to co masz, a wkrótce zdasz sobie sprawę, że nie jesteś sam.

Tim Sanders, autor [Love Is The Killer App:](#)
How To Win Business & Influence Friends
(Miłość jest koniecznym narzędziem: Jak
wygrywać w biznesie i wpływać na przyjaciół).
Możecie śledzić jego [Twitter](#).

Niniejszy artykuł napisany przez Tima Sandersa pochodzi ze strony 54 eBooka [What Matters Now](#), do którego napisania Seth Godin zaprosił około siedemdziesięciu ciekawych ludzi. Każdy miał się zmieścić w 200 słowach opisując to co dzisiaj ważne. Jeśli czytacie po angielsku to gorąco zachęcam do przeczytania całości. Jest tam masa powiewu świeżości.

Co z Twoją pewnością siebie? Czy podzielasz zdanie Sandersa, że pewność siebie napędza Twoje sukcesy zawodowe?

22 grudnia 2009

31. [Piramida stoi na głowie.](#)

Piramida zintegrowanego odżywiania ma w swej najszerszej, dolnej części “Świadomość”. Idąc w górę: “Aktywność”; dalej “Węglowodany ze zbóż”; powyżej nich są “Owoce i warzywa”; nad nimi “Białka”, a na czubku niewielki trójkąt “Przyprawy, tłuszcze i oleje”.

Byłem przyzwyczajony do podobnych piramid, gdzie dietetycy publikowali zalecaną strukturę i procentowy udział rozmaitego pożywienia w naszej codziennej diecie.

Lecz ta piramida, którą ostatnio zobaczyłem, dosłownie “stoi na głowie”.

Fundamentem zdrowego odżywiania jest głowa, a ściślej praktyki, które uspokajają umysł i wzmacniają ducha. Dzięki temu uzyskujemy harmonię emocjonalną i mamy dobre nastawienie do prowadzenia zdrowego życia. Drugim fundamentem jest poświęcanie co najmniej jednej godziny dziennie na aktywność fizyczną. Dopiero na takiej bazie sięgamy po pełne, nierafinowane zboża.

Dodajemy owoce i warzywa; uzupełniamy białkiem z roślin strączkowych, orzechów, nasion, nabiału, jaj, ryb, drobiu i mięsa.

Przyprawy i nierafinowane oleje uzupełniają zarys piramidy.

Jeśli zaintrygowała Was koncepcja “piramidy stojącej na głowie” to sięgnijcie po książkę, którą przyniósł mi ekologiczny Mikołaj. Autor: [Paul Pitchford](#). Tytuł: [Odżywianie dla zdrowia. Tradycje wschodnie i nowoczesna wiedza o żywieniu](#). (ang. [Healing with Whole Foods: Asian Traditions and Modern Nutrition](#).) **Jakie są Twoje refleksje na temat odżywiania? Widzisz związek między swoimi emocjami, a wybieranymi pokarmami?**

31 grudnia 2009

Holistycznie, czyli na całość

Swój rozwój postrzegam w kilku wymiarach. Jest tu miejsce na ciało, na emocje, na umysł i na ducha. Wierzę, że jesteśmy jednością psychofizyczną. W tym rozdziale znalazły się wpisy łączące rozmaite wymiary samorozwoju, czyli „do tańca i do różańca”.

32. Niecodzienny taksówkarz

Wracam z trzydniowego pobytu w Polsce. Byłem porozmawiać o pracy, odwiedzić dentystę i przy okazji spędzić trochę czasu z rodzicami. W sumie sporą część wyjazdu spędziłem w podróży. To znaczy głównie w samolotach, w lotniskowych poczekalniach, w taksówkach i w warszawskim metrze. Czy coś z tego długiego weekendu zasługuje na wspomnienie? Oczywiście mógłbym napisać wiele zdań na temat rozmów o mojej przyszłej pracy, czy o bezcennym czasie z Rodzicami. Cóż w tym ciekawego dla postronnego

czytelnika? Pewno niewiele.

Chcę napisać o czymś innym. Spotkałem nietuzinkowego taksówkarza i jego historia była dla mnie inspiracją do zebrania kilku myśli.

Zacznijmy od początku, aby pokazać Wam tło sytuacji.

W czwartek wieczorem wylądowałem na Okęciu i tradycyjnie wypatrywałem w kolejce taksówek spod znaku MPT. Wśród moich przyzwyczajzeń jest korzystanie z tej korporacji. Zwykle za kierownicą aut spotykam starszych, spokojnych kierowców, którzy zamiast pędzić na złamanie karku spokojnie jadą do celu dzieląc uwagę między sytuacją na drodze i rozmową z pasażerem. Być może także w MPT są postrzeleni, nieodpowiedzialni rajdowcy. Lecz z moich sporadycznych wizyt w Warszawie wyniosłem naukę, że najlepiej się czuję w autach MPT. Szukałem MPT mimo, że w samolocie moja współpasażerka oznajmiła,

że ona woli zaoszczędzić i wybrać tańszą korporację. Fakt, MPT jeździ po 2,40 zł za kilometr. Cena niektórych konkurentów to 1,80 zł. Jednak lojalnie potuptałem do pierwszego auta MPT.

Nie zaskoczył mnie kierowca po pięćdziesiątce w dobrze utrzymanym, czystym samochodzie.

Lecz już po kilku minutach zdałem sobie sprawę, że jest on niezwykle. Jeśli pod tym słowem wyobrażacie sobie nieobliczalnego i niebezpiecznego typa to nic bardziej mylnego, bo jego szaleństwo wyrażało się jedynie w przekonaniu o widzeniu i czynienia dobra każdego dnia. Bardzo budujące dziwactwo.

Jechałem z nim dość daleko, ponad trzydzieści kilometrów, do domu moich przyjaciół po przeciwnej stronie metropolii.

Na mój komentarz, iż będzie to daleki kurs odparł, że cieszy się, ale nawet jakbym jechał tylko za róg lotniska to też byłby zadowolony, że może mnie zawieźć.

Nawiązała się rozmowa i usłyszałem sporo całkiem spójnych mądrości życiowych. Ten człowiek mówił o drobiazgach, które pozytywnie zmieniają naszą codzienność. Zebrałem dla Was te mądrości wysłuchane w drodze z lotniska:

1. Dobry uczynek wpuszczony wśród ludzi idzie dalej.

Nasz mędrzec za kółkiem ma przekonanie, że jak przełamie smutek czy złość swojego pasażera i natchnie go dobrymi myślami to dobro pójdzie dalej. Tak jak w sytuacji, gdy naburmuszona pasażerka kazała się wieść na Dworzec Centralny. Po rozmowie o jej troskach i zmartwieniach wysiadła u celu podróży uśmiechnięta i pogodna. Potem jak wsiadła do pociągu to pewno była sympatyczna dla współpasażerów zamiast rozsiewać smutek i zdenerwowanie. Ci z kolei też pewno lepiej się poczuli przy serdecznej osobie i tak dobre emocje poszły dalej w Polskę.

2. Każdego dnia dostrzegać małe radości. Jak zaczyna jakiś ponury i smutny dzień to stara się dostrzec coś radosnego co nastroi go pozytywnie. Jakiegoś wesołego ptaszka za oknem lub jakąś zabawną sytuację wśród młodzieży idącej do szkoły.

3. Jak okazać ludziom serdeczne zainteresowanie to ukazują wewnętrzne dobro. Bowiem jego zdaniem nie zdarzyło mu się mieć za pasażera złego człowieka. Każdy, kto wsiadał z maską złości i agresji w końcu okazywał się człowiekiem chcącym serdecznie porozmawiać.

4. Dojrzeć w oczach starszków blask życia i mądrości. Jak wsiadają do jego taksówki osoby starsze to on stara się im wejrzeć w oczy i wyciągnąć na rozmowę o życiu i wydobyć z nich mądrość życiową, która przychodzi wraz z jesienią życia.

5. Wzmacniać w dzieciach przyjaźń i miłość rodziców. Tak wobec swojej trójki dzieci, jak i

wobec obcych dzieci które wozi w taksówce stara się przekazywać rady życiowe stawiając się w roli ich przyjaciela, a nie zwierzchnika. Szczególnie zaleca pokazywanie miłości rodzicom, bo sam już nie ma rodziców i wie jaki to brak jak już odejdą.

6. Cieszyć się obecnym stanem posiadania mimo nigdy niezaspokojonego pragnienia posiadania. Jak ktoś go pyta jak mu idzie to mówi, że doskonale. Jak pytają o pieniądze to mówi, że ma ich tyle ile tylko potrzebuje. Lecz przyznaje, że zawsze jest coś co chętnie by kupił, lecz go stać. Jednak cieszy się tym co ma i więcej nie musi mieć, żeby być szczęśliwym.

Spotkałem tego niecodziennego taksówkarza na samym początku wizyty w kraju. Natchnął mnie swoim dobrym podejściem do innych. Dobrze i spokojnie upłynęły mi kolejne dni. Może chwila refleksji nad pomysłami dobrodusznego taksówkarza będzie także dla Was inspiracją do wiania w Wasze otoczenie

dobrego ducha.

24 lutego 2008

33. Wiek średni, marzenia, motor i dzieci.

Na horyzoncie kilkunastu miesięcy pojawiają się moje czterdzieste urodziny. Wiek średni ponoć wiąże się z kryzysem, bo po czterdziestce lepiej zdajemy sobie sprawę z przemijającego czasu.

Podszedłem do tematu twórczo: odkurzyłem marzenia, które czekają na realizację i postawiłem sobie cele do zrealizowania.

Pomogło mi w tym ćwiczenie wypisywania na kartce trzydziestu rzeczy, które chcę zrobić nim umrę, trzydziestu, które chcę mieć oraz trzydziestu ról, które chcę zająć w swoim życiu.

Lista jest długa i osobista - z tych powodów pozostaje dyskretnie w moim notesie, a tutaj podzielę się tylko kilkoma punktami. Niektóre

marzenia była dla mnie zaskakujące - nie zdawałem sobie z nich sprawy- inne są niemal podręcznikowym wykwittem czterdziestolatka. Do tej drugiej grupy należy posiadanie motocykla. Tak moi kochani, też widzę tych panów w średnim wieku, którzy nagle odkryli w sobie miłość do spalinowych jednośladów. Właśnie zostałem jednym z nich. Czekam jeszcze kilka kroków. Pierwszym jest prawo jazdy. Wielu internautów było zgodnych, że jak prawo jazdy na motor to tylko z Tomkiem Kulikiem (<http://www.kulikowisko.pl>). Właśnie kończę uczęszczać na wykłady w jego szkole i po świętach rozpocznę jazdy. Napiszę nieco więcej o kursie w osobnym wpisie, bo jest to doświadczenie, które chętnie uwiecznię na stronach blogu.

Teraz kilka słów o innych marzeniach. Na moje liście znalazło się kilka punktów, które miały związek ze zmianą Świata na lepsze. Szczególnie dotyczyło to dawania szansy

dzieciom, aby ułatwić im budowanie dobrego życia. W związku z tym uzgodniłem z żoną, że stworzymy fundusz “dziesięciny” - czyli 10% naszych dochodów będziemy przeznaczać na pomoc innym. Tradycyjnie dziesięcina to podatek płacony na rzecz kościoła, wynoszący dziesiątą część czyichś zbiorów lub dochodów. Moja dziesięcina zamiast do kościoła trafi na osobne konto bankowe, z którego wraz z żoną będziemy realizować swoje cele społeczne. Zaczynamy od ufundowania wycieczki do Krakowa dla grupy ubogich dzieci z podwarszawskiej wioski. Dziećmi zajmuje się zaprzyjaźniony z nami nauczyciel. Potem mamy jeszcze kilka innych pomysłów, które mają wlać trochę światła w serca dzieci, którym trudno i smutno.

Coraz bardziej podoba mi się moje wydanie kryzysu wieku średniego, o którego rozwoju będę Was systematycznie informował.

09 kwietnia 2009

34. Jak to jest jechać motorem?

Jeszcze kilka miesięcy temu słysząc tytułowe pytanie powiedziałbym, że nie mam pojęcia, bo nigdy nie siedziałem na motorze.

Jako nastolatek widziałem jak koledzy fascynowali się Simsonami lub Jawami. Pasje motoryzacyjne były mi ogólnie obce. W wieku siedemnastu lat zrobiłem samochodowe prawo jazdy, ale traktowałem to jak rzecz, którą z powodów praktycznych trzeba opanować i zaliczyć.

Mimo nauczenia się kierowania samochodem, moje zainteresowanie motoryzacją pozostało w głębokim uśpieniu. Mój ojciec, inżynier mechanik, potrafił swoje pierwsze samochody rozbierać na kawałki i ponownie składać. Mój dziadek w przedwojennym wojsku zawodowo opiekował się pojazdami i szkolił innych jak działają urządzenia mechaniczne. Ja miałem

zupełnie inne zainteresowania. Do czasu. Gdzieś na przełomie ubiegłego i bieżącego roku nasza mnie ochota na jazdę motorem. Pomysł spadł z nieba i trudno mi racjonalnie wytłumaczyć jak słowo “motor” znalazło drogę do mojej głowy. Żona z wyrozumiałością partnerki czterdziestolatka przyjęła do wiadomości, że będę jeździł motorem.

Gdy trawa się zazieleniła, a przymrozki ustąpiły miejsca wiosennemu słońcu, odnalazłem szkołę, w której miałem sprawdzić czy jazda na motorze jest fajna. Po prześledzeniu licznych wpisów na forach internetowych, trafiłem na kursy Tomka Kulika (<http://kulikowisko.pl/>). Wizerunek jaki kreowali jego uczniowie i koledzy bardzo mi odpowiadał. Rysował się obraz faceta, który wkłada w motory masę serca, jest osobą życzliwą, nawet po zakończeniu nauki można na niego liczyć we wszelkich sprawach motocyklowych, a przy tym uczy głównie jak jeździć na motorze, w

odróżnieniu od szkół, którym chodzi głównie o zdanie egzaminu. Ostrzeżenia o jego wybuchowym charakterze brzmiały jak dodatkowy koloryt.

Znalazłem numer pana Kulika i zadzwoniłem z pytaniem czy wyszkoli mnie bez względu na moje trzydzieści dziewięć wiosen. W odpowiedzi usłyszałem, że skoro nie miałem zwolnienia z wuefu i nie należę do “generacji playstation” to dobrze rokuję i mogę rozpocząć naukę.

Po przebyciu zajęć teoretycznych, stawiałem się na odgrodzonym kawałku płyty lotniska Bemowo, gdzie mieści się plac manewrowy. Byłem wyposażony w strój motocyklisty na miarę kieszeni skąpca. Czyli na stopach miałem nowe, lecz najtańsze, buty turystyczne z Decathlonu (wkońcu nawet jeśli motor będzie niewypałem, to zakup przyda się w góry); na nogi wciągnąłem dżinsy, które pamiętały moje kawalerskie lata (jak je potargam to strata

znikoma); na podkoszulek założyłem plastikową zbroję (którą kupiłem ucząc się jazdy na snowboardzie) i najstarszą z posiadanych kurtek przeciwdeszczowych; dłonie osłoniłem rękawiczkami na rower górski (były wyprzedawane za pół ceny, gdy szukałem w Decathlonie butów); pod kask potrzebowałem kominiarki i tu również przydał się sprzęt zimowy - miałem swoją starą kominiarkę pod kask narciarski.

W czasie pierwszych godzin nauki prawdziwym przekleństwem był mocno bolący nadgarstek. W zasadzie do samego końca nauki miałem problemy z przyzwyczajeniem mojej prawej ręki do operowania gazem, mimo że tydzień po tygodniu ręka coraz lepiej tolerowała te niecodzienne ruchy.

Zaś głowa była na pograniczu swojej wydolności, aby pamiętać o tej masie - jak to wtedy odczuwałem - szczegółów. Sam moment zmiany biegu był sporym wyzwaniem. Lewa

ręka czuwa nad sprzęgłem, prawa nad gazem, a w tym samym czasie lewa stopa operuje biegami. Mam bardzo ograniczoną podzielność uwagi, co więcej, koordynacja wszelkich członków mojego szczudłowatego ciała od lat młodzieńczych przysparzała mi trudności. Jak tu jednocześnie kontrolować trzy kończyny, a każda ma wykonywać inny ruch?! Do tego dochodziło pamiętanie o prostych plecach i kolanach ściskających bak. Zrobienie banalnie wyglądającej rundki po placu było okupione olbrzymim wysiłkiem mojej biednej głowy. Do tego ten bolący przegub prawej ręki!

Dobrze, że lekcje były w blokach nie dłuższych niż dwie godziny - po zejściu z motoru byłem wykończony.

Mimo to czułem radość z tego, że jadę i mniej więcej kontroluję to co robi maszyna, na której siedzę.

Oszczędzę Wam opisywania detali wszystkich lekcji. Nadmienię tylko kilka impresji. Bardzo

miło wspominać doświadczenie jazdy bez trzymania kierownicy. W pierwszym momencie, gdy Tomek oznajmił, że po rozpedzeniu motoru na prostym odcinku, mam puścić kierownicę, pomyślałem, iż mam gwarantowaną utratę równowagi i wywrotkę. Zakładałem, że śmiertelność w wyniku takiej zabawy musi być niewielka, skoro Tomek wciąż zaleca jazdę bez trzymanki - zatem oddałem mu w depozyt komórkę (szkoda byłoby ją zniszczyć) i ruszyłem. Motor jechał pewnie i nie było mowy o kraksie. W ten sposób miałem się nauczyć, iż moje ręce na kierownicy mają małe znaczenie w utrzymaniu maszyny jadącej prosto. Innym emocjonującym ćwiczeniem było zatrzymywanie motoru bez dotykania butami asfaltu. Sporo mnie kosztowało dojście do wprawy w wyczuwaniu momentu kiedy po chwilowym zatrzymaniu mam ruszyć nim stracę równowagę. Zabawa była świetna.

W drugiej połowie kursu jeździłem po mieście. Tutaj głównym tematem było moje szczere współczucie dla instruktorów, których woziłem jako pasażerów. Skupiony na ruchu wokół mnie, odrywałem uwagę od płynnej zmiany biegów i delikatnego hamowania. Szarpania i gwałtowne ruchy ostro dawały się we znaki moim pasażerom.

Po dwudziestu godzinach nauki poprosiłem o kilka dodatkowych godzin i potem zapisałem się na egzamin.

Potwierdziło się to co słyszałem jeszcze przed rozpoczęciem nauki, tzn. czułem, że Tomek i jego bajecznie cierpliwi pracownicy wyposażyli mnie w umiejętność czerpania radości z jazdy motorem. Wsiadając na motor czułem się dobrze i stosunkowo pewnie.

Na egzamin jechałem ze świadomością, że poradzę sobie z motorem, lecz mogę mieć problemy z detalami nawigacji u skrupulatnego egzaminatora. Przy pierwszym podejściu

oblałem egzamin na parkingu jeszcze przed rozpoczęciem manewrów. Wrzuciłem jedynekę, ruszyłem z miejsca, oderwałem nogi od ziemi i słyszę, że popełniłem pierwszy błąd.

Poprosiłem panią egzaminator o szczegóły błędu. Dowiedziałem się tylko, że nieprawidłowo włączam się do ruchu. Nie miałem pojęcia o czym mówi. Egzaminatorka nic więcej nie chciała zdradzić.

Wydedukowałem, że może jej chodzić o kierunkowskaz. Ruszyłem ponownie, tym razem z kierunkowskazem. Drugi błąd i koniec egzaminu. Błędem był brak upewnienia się o możliwości jazdy. Czyli nim ruszę w kierunku ósemek i slalomów miałem pokręcić głową, aby upewnić się, że plac jest pusty i bezpieczny.

Potem ludzie czekający na swoje egzaminy, jeden przez drugiego, mówili mi, że ich instruktorzy namolnie tłukli im do głów, iż przed ruszeniem na placu mają kręcić głowami. W mojej szkole nikt mi tego nie powiedział...

Jak to u Tomka. Pewno Tomek myślał, że mówiła o tym Ula, ona może myślała, że załatwił to Karol, a on mógł być przekonany, iż Adam albo Irek wspomnieli o tym jak mieli do czynienia z kursantem.

Miesiąc później ponownie byłem na placu egzaminacyjnym. Tym razem poszło dużo lepiej i egzamin mam zdany.

Zatem mogę wrócić do pytania ze wstępu artykułu o moje doświadczenie jazdy motorem. Myślę, że daje ono poczucie wyrwania z pancerza samochodu. Świat wokół jest wtedy bliższy, wręcz namacalny. Idzie za tym konieczność dużo większego napięcia uwagi, bo obok namacalności kwiatów, łąk i lasów mamy też bezwzględną bliskość blachy samochodów, twardości słupów, dziur i krawężników. Po za tym sama nauka jazdy była dla mnie niezwykle sympatyczną i wciągającą przygodą.

30 września 2009

35. Niech Twoja piła będzie ostra.

Dla ciała - załóż, że miałeś zawał serca; teraz żyj odpowiednio

Dla umysłu - załóż, że połowa Twoich umiejętności zawodowych znika w dwa lata; teraz przygotuj się odpowiednio

Dla serca - załóż, że inni słyszą wszystko co mówisz o nich; teraz wypowiadaj się odpowiednio

Dla ducha - załóż, że co kwartał masz rozmowę w cztery oczy ze swoim Stwórcą; teraz żyj odpowiednio

For the body—assume you've had a heart attack; now live accordingly

For the mind—assume the half-life of your profession is two years; now prepare accordingly

For the heart—assume everything you say about another, they can overhear; now speak

accordingly

For the spirit—assume you have a one-on-one visit with your Creator every quarter; now live accordingly

Powyższe słowa należą do [Stephen'a Covey'a](#). Covey zasłynął ze swojej książki [The Seven Habits of Highly Effective People](#) ([Siedem nawyków skutecznego działania](#)). Wśród wielu pomysłów na dobre życie, Covey poleca ostrzyć piłę. Chodzi o cztery ostrza piły, dokładnie takie jak w powyższym cytacie: fizyczny, umysłowy, emocjonalny i duchowy.

Zmagając się z wyzwaniem codzienności tniemy je swoimi ostrzami. Im lepsza ich kondycja tym skuteczniej sobie poradzimy w życiu. Zadbane ciało, bystry umysł, uporządkowane emocje i dobry duch to warunki konieczne, aby realizować to do czego jesteśmy powołani.

Nasze “ja” to spójna całość elementów. Każdy z nich wpływa na pozostałe. Każdy element to

jak pokój tego samego mieszkania. Pewno jednemu poświęcamy większą uwagę, w innym spędzamy mniej czasu. Lecz warto codziennie zajrzeć do każdego z nich - przynajmniej po to, aby przewietrzyć pomieszczenie.

Jakie są Wasze refleksje na temat dbania jednocześnie o ciało, umysł, emocje i ducha?

03 grudnia 2009

Karmienie ducha

Tutaj skupiam się na tekstach, które dotyczą rozwoju duchowego. Wyodrębniłem je z poprzedniego rozdziału (o holistyce), bo mają swój specyficzny charakter i zasługują na osobny zakątek w e-booku.

36. Where is the wisdom we have lost in knowledge?

Dzisiaj zamiast moich autorskich wycopin proponuję Wam chwilę refleksji nad cytatem z T. S. Eliota:

*where is the life we have lost in living?
where is the wisdom we have lost in
knowledge?
where is the knowledge we have lost in
information?*

moje amatorskie tłumaczenie:

*gdzie jest życie, które zagubiliśmy w życiu?
gdzie jest mądrość, którą zagubiliśmy w*

wiedzy?

gdzie jest wiedza, którą zagubiliśmy w informacji?

28 listopada 2008

37. Jak gaduła został pustelnikiem.

Postanowiłem zamilknąć. Straszny ze mnie gaduła. Potrzebowałem kilku dni ciszy.

Znalazłem propozycję domu rekolekcyjnego Heliosz w śląskiej wiosce Jasiona, gdzie ścieżki rozwoju duchowego oparto o Ojców Pustyni. Chętnie rozpocząłbym ten artykuł od hymnu pochwalnego na cześć serdecznego księdza, który prowadzi ośrodek. Lecz znając jego obawę przed popadnięciem w próżność pomijam zarówno jego imię jak i opis jego ciepła, głębi duchowej i skromności oraz otwartości na moją osobę mimo tego, że nie praktykuję rzymskiego katolicyzmu.

Zatem zamiast na prowadzącym skupię się na

rekolekcjach. Przed wyjazdem do Heliosza miałem znikome pojęcie o pustynnych mnichach. Kiedyś podczas naszych rozmów, mój przyjaciel S. wspomniał o Ojcach Pustyni. Po jego rekomendacjach poszperałem trochę w sieci, a po wyszukaniu rekolekcji zapisałem się i pojechałem na czterodniowe spotkanie. Wraz z kilkunastu innymi uczestnikami znalazłem się w starym gospodarstwie rolnym zaadoptowanym na dom rekolekcyjny.

Każdy z nas został na te kilka dni pustelnikiem, który miał stworzyć swoją przestrzeń kontemplacji.

Po porannych modlitwach i naukach wyruszaliśmy, każdy do swojego miejsca odosobnienia, gdzie w ciszy wsłuchiwalismy się w siebie licząc na tak duże wyciszenie, które da nam usłyszeć co Stwórca ma do powiedzenia w naszym życiu.

Moja pustelnia znajdowała się około trzech kwadransów marszu od ośrodka. Medytowałem

siedząc na drewnianym klocku pośrodku pięknego lasu. Miałem stworzyć swoją pustelnię wielkości cztery na cztery metry w miejscu, które uznaję za właściwe na moje kontemplacyjne cztery kąty. Bardzo lubię przebywać wśród drzew, więc gdy pierwszego dnia dostałem mapę proponowanych lokalizacji to od razu wiedziałem, że pójdę do bukowiska w Parku Krajobrazowym Góry Św. Anny. Miejsce okazało się przeurocze. Olbrzymie drzewa i śpiewające ptaki dawały ukojenie pomagając wyciszać wewnętrzne rozbieganie. Do ośrodka wracałem na późny obiad. Zaś po wieczornych zajęciach dzień kończyła kompleta, czyli zakonny sposób podsumowania mijającej doby. Modlitwa rozpoczynała się od rachunku sumienia, który - jak podkreślał prowadzący - miał zawierać cztery elementy: wspomnienie dobra, które nas spotkało; dobra, które sami uczyniliśmy; zła, którego doświadczyliśmy oraz zła, które było naszym

udziałem. Potem był czas na modlitewne podziękowanie za przeżyty dzień.

Każdy dzień miał podobny porządek zajęć. Większość czasu spędzaliśmy milcząc. Poza nielicznymi sytuacjami, gdzie można było rozmawiać, głos wydobywaliśmy z siebie tylko w czasie modlitw.

Czyli było sporo ciszy, a cisza była potrzebna, aby dotknąć siedmiu kroków Ojców Pustyni:

1. zdolność do wyrzeczenia (apotaxis),
2. prostota (haptotes),
3. czystość, oczyszczenie,
4. panowanie nad namiętnościami, beznamiętność,
5. inwokacje (monologistos kopos),
6. zdolność do skupienia, zatrzymania,
7. przebóstwienie.

Cieszę się, że zakosztowałem prawideł rozwoju duchowego wypracowanego przez pustelników spod znaku piasku, słońca i wiatru.

Czterodniowe spotkanie to raczej szybka pustynna wycieczka z przewodnikiem, a niżeli faktyczne wcielenie się w mnichów pustyni.

Podsumowując, doceniam dwa wymiary wyjazdu. Po pierwsze zamknięcie ust na kilkadziesiąt godzin było mi bardzo potrzebne.

Drugim jakże dobrym aspektem wyjazdu była kilkudniowa praca we własnym ogródku duchowym. Zasłuchałem się w rady doświadczonego ogrodnika, który podpowiadał jak nawozić glebę i jakie chwasty najczęściej paskudzą nasze uprawy. Z radością przyjąłem ścieżki kontemplacji zaproponowane w Helioszu. Cieszę się, że trafiłem w to urocze miejsce, gdzie gości pokój i dobro.

Przed wyjazdem gospodarz ośrodka prosił, aby opowiedzieć o jego domu przyjacielom, którzy mogą szukać pustelniczego spotkania ze Stwórcą. Zatem, mój blogowy przyjacielu, rzuć okiem na stronę www.heliosz.org. Dom prowadzi katolicka wspólnota Droga Eliasza.

Poza wakacyjnymi seriami rekolekcji, przez cały rok prowadzą weekendy ciszy oraz oddają do dyspozycji gości drewnianą pustelnię na uboczu gospodarstwa, gdzie po wcześniejszej rezerwacji można spędzić kilka cichych dni. Jeśli potrzebujesz rekomendacji to z całego serca polecam Heliosza.

13 lipca 2009

38. [The Merton Prayer.](#)

MY LORD GOD, I have no idea where I am going. I do not see the road ahead of me. I cannot know for certain where it will end. Nor do I really know myself, and the fact that I think I am following your will does not mean that I am actually doing so. But I believe that the desire to please you does in fact please you. And I hope I have that desire in all that I am doing. I hope that I will never do anything apart from that desire. And I know that if I do this

you will lead me by the right road, though I may know nothing about it. Therefore I will trust you always though I may seem to be lost and in the shadow of death. I will not fear, for you are ever with me, and you will never leave me to face my perils alone.

PANIE, MÓJ BOŻE, nie mam pojęcia, dokąd idę. Nie widzę drogi przed sobą. Nie mogę wiedzieć na pewno, gdzie ona się skończy. Nie znam też naprawdę siebie samego, a to, że sądzę, iż spełniam Twoją wolę, nie znaczy wcale, że naprawdę to robię. Jednakże wierzę, że pragnienie zadowolenia Ciebie, już Cię w istocie zadowala. Mam również nadzieję, że to pragnienie jest we wszystkim co robię. Mam nadzieję, że nigdy nie zrobię niczego wbrew temu pragnieniu. Lecz wiem, że jeśli będę tak postępował, Ty będziesz prowadził mnie po właściwej drodze, choć mogę o niej nic nie wiedzieć. Zatem będę Ci zawsze ufał choć mogę się wydawać zagubiony w cieniu śmierci.

Nie będę się bał, bo Ty będziesz zawsze ze mną, i nigdy nie zostawisz mnie, abym zmierzał się z niebezpieczeństwami samotnie.

Thomas Merton (1915-1968), "Thoughts in Solitude"

20 sierpnia 2009

39. Prostota, cierpliwość, współczucie.

Simplicity, patience, compassion.

These three are your greatest treasures.

Simple in actions and thoughts, you return to the source of being.

Patient with both friends and enemies, you accord with the way things are.

Compassionate toward yourself, you reconcile all beings in the world.

Prostota, cierpliwość, współczucie.

Ta trójka to są Twoje najznakomitsze skarby.

Prosty w działaniach i myślach wracasz do źródła istnienia.

Cierpliwy zarówno wobec przyjaciół jak wrogów,
współgrasz z tym jak sprawy się mają.
Miłosierny dla siebie,
godzisz wszystkie istoty na świecie.

— Laozi (Tao Te Ching)

To jest następny tekst, gdzie wysługuję się cytatem załatwiając sprawę wpisu w moim blogu. Liczę na Twoje zrozumienie, Drogi Czytelniku.

Dzielię się na łamach blogu tym co zrobiło na mnie wrażenie, coś co chcę zanotować dla siebie i dla tych, którzy śledzą mój sieciowy dziennik. Tak się złożyło, że ostatnio wrażenie zrobiły na mnie cudze teksty. Zatem notuję je tutaj.

24 sierpnia 2009

40. Drogowskazy.

Mówienie to nasza ludzka specjalność. Od

wieków gadamy do Boga z prośbami o urodzajne plony, o wygraną wojnę, o zgubę niewiernych i o wszelkie inne dobre i okropne życzenia kołaczące się po naszych głowach. Wydaje się, że to dość sprawdzony sposób dotarcia do boskiego ucha.

Co jednak ze słuchaniem pozaziemskich porad? Znasz kogoś, do kogo przemawia Bóg i dzieli się z nim swoimi uwagami? Jak on to robi?

Jeden z moich znajomych opowiadał, że odnajduje odpowiedzi w Piśmie Świętym. Gdy trapi go jakaś myśl to spontanicznie otwiera Pismo i to co tam wyczyta jest dla niego komunikatem w jego konkretnej sprawie.

Innym sposobem, jaki sam polecam osobom, które pytają o sens swojego życia ("po co ja się w ogóle urodziłam?") jest dobra analiza swoich unikalnych talentów, z którymi przyszliśmy na Ziemię. Talenty to jak wiadomość od Stwórcy, który przemawia przez te uzdolnienia dyskretnie wskazując co jest naszym zadaniem.

Jak jeszcze inaczej na naszej drodze życia możemy dostawać wiadomości? Gdzie stoją znaki drogowe przy traktach, którymi podróżujemy startując przy urodzeniu, a zatrzymując się w grobie? Moim zdaniem drogowskazy, znaki ostrzegawcze oraz tablice informacyjne stoją w bardzo wielu miejscach naszej trasy. Czasem wystarczy trochę zwolnić, wyteńczyć wzrok i z rozbieganych obrazów wielobarwnego otoczenia wydobyć znaki drogowe dotyczące naszej podróży. Im bardziej jestem wyczulony na adresowane do mnie znaki, tym mniej widzę w swoim życiu przypadków.

Kiedyś, w pędzie codzienności szybko kwitowałem dziwne wydarzenia jako zbieg okoliczności, czasem jako szczęście lub pech. Myślę, że przypadki może się zdarzają, ale chyba dużo rzadziej niż myślałem.

W tym filozoficznym kontekście powiem Wam o mojej przygodzie. Pojechałem zdać egzamin

na prawo jazdy. Teoria poszła mi gładko, lecz na placu manewrowym oblałem z kretesem. Miałem dość dobrze opanowane wszelkie wymagane manewry, lecz ruszając z miejsca nie sprawdziłem warunków otoczenia. Inaczej mówiąc nie rozejrzałem się po parkingu w poszukiwaniu nadciągającego zagrożenia. Można by powiedzieć, że przez przypadek mój instruktor zapomniał mnie o tym uprzedzić przygotowując mnie do egzaminu. Ja widzę w tym wiadomość do odczytania. Układa się to w całość z właśnie opracowywanym ambitnym planem nowego przedsięwzięcia zawodowego. Jest to temat, który jest ze mną od miesięcy. Wiele elementów już sobie zaplanowałem i poczyniłem założenie, że po roku osiągnę rentowność. Mając już poukładany plan, podczas urlopu, spotkałem Hiszpankę, która od lat działa w podobnej branży (przypadek?) i jej główną uwagą był okres rozruchu biznesu. Gdy

ona zaczynała, ktoś zasugerował, że może liczyć na dobre dochody po trzech latach i dokładnie tak się stało. Jej rady dały mi do myślenia, ale trochę zlekceważyłem tą wiadomość. W końcu Polska jest bardzo dynamicznym rynkiem, a ja jestem facetem pełnym energii, zwykle działam szybko i skutecznie, więc rok mi wystarczy na uzyskanie dochodów dających utrzymanie rodzinie. No i teraz, gdy jestem blisko decyzji biznesowych dostaję wiadomość na egzaminie na motor: porażka z powodu nie sprawdzenia ewentualnych zagrożeń.

Prawo jazdy to drobiazg. Pewno zrobię je za jakiś czas. Nic mnie nie goni. Lecz po takim przysznicu wracam do opracowań biznesowych zdeterminowany przestudiować ewentualne zagrożenia swojego przedsięwzięcia. Ktoś mi mówi: "Ostrożnie! Uważaj na zagrożenia. Rozglądaj się nim popędzisz przed siebie." Zatem czas odrobić zadanie domowe i rzetelnie

rozpisać biznes plan biorąc pod uwagę wyzwania, które w swej optymistycznej wierze w sukces zostawiłem z boku. Na placu manewrowym zobaczyłem drogowskaz, który dotyczy czegoś ważniejszego dla mnie niż jazda motorem.

28 sierpnia 2009

41. [Mantra katolickiego umysłu.](#)

"Czym się różni medytacja chrześcijańska od medytacji buddyjskiej? Tylko tym, że medytujący buddyści nie kasłają."

Moim zdaniem powyższe słowa dobrze oddają zarówno poczucie humoru benedyktyna Laurence'a Freemana jak też istotę sprawy, z którą przyjechał w październiku do Wrocławia.

Freeman przemierza Świat propagując [medytację chrześcijańską](#). W podziemiach klasztoru Dominikanów towarzyszyło mu około stu osób. Wrocławski weekend wypełniło sześć

półgodzinnych medytacji przeplatanych wystąpieniami Freemana. Jak przystało na konferencje lub rekolekcje organizowane w Kościele, na sali zdecydowanie dominowały kobiety. Gdy przed pierwszym wykładem przejechałem wzrokiem po twarzach uczestników to zadziwiła mnie rozpiętość wiekowa. Poza młodzieżą było też sporo osób starszych, włączając tych, którzy wiek emerytalny osiągnęli wiele lat temu.

Wyciszenie myśli, trwanie tu i teraz jest pewno pociągające dla ludzi na każdym etapie życiowej wędrówki.

Historia tego co robi Laurence Freeman jest zwierciadłem drogi duchowej współczesnego świata. Jego inspiratorem i mistrzem był inny mnich, John Main, który ponad pół wieku temu, w malezyjskim Kuala Lumpur, pobierał nauki od hinduskiego swami (duchownego). Swami ucząc Maina medytować dawał mu chrześcijańskie mantry. Po powrocie do Europy,

John Main odkrył jak wiele łączy duchowość chrześcijańskich Ojców Pustyni z tym czego uczono go na Dalekim Wschodzie. Szczególnie przypadł mu do gustu Jan Kasjan, który żył i medytował na przełomie czwartego i piątego wieku. Jan Kasjan był też często przywoływany podczas wrocławskich wykładów Freemana, który jest spadkobiercą Maina.

Radość odkrycia prostoty i duchowej głębi pustynnych pustelników wydaje się mocno towarzyszyć Laurence'owi Freemanowi. Zdecydowanie podzielał jego optymizm w sprawie medytacji. Też myślę, że medytacja może pomóc złapać duchowy oddech Katolikom, którzy duszą się pod pręgierzem urzędników w sutannach propagujących płytką religijność opartą o system zasad, praw i kodeksów.

Tylko czy w polskim Kościele Katolickim jest przestrzeń na taki “oddech”?
W podwarszawskiej wiosce byłem na

spotkaniu, na które przyszedł młody ksiądz. W jego percepcji medytacja wyglądała na diabelską sztuczkę, zaś wszystkie sprawy boskie były precyzyjnie skodyfikowane; dokładnie wiedział kto i na jakich zasadach ma już zapewnione miejsce w niebie; wiedział, które ścieżki duchowe przysły z nieba, a które człowiek sobie sam wykombinował. W pewnym sensie słuchanie jego wypowiedzi to była uczta intelektualna, bo na wszystko co mówił miał podkładkę z encykliki, fragment z Pisma lub cytaty z wypowiedzi Ratzingera. Zimny urzędowy ton przepisów kościelnych został przełamany jego zatroskaną wypowiedzią o tym, że ludzie odchodzą z Kościoła, bo chrześcijanie nie żyją na miarę nauczania. Zapytałem go czy, aby te ucieczki to nie jest raczej sprawka krzykliwości z jaką prezentuje się owo nauczanie? W odpowiedzi usłyszałem, że Kościół będzie nauczał bo taka jest jego rola.

Zatem na przestrzeni kilku dni byłem świadkiem pouczającego dwugłosu. We Wrocławiu usłyszałem Freemana, który w powrocie do duchowości widzi ratunek dla Kościoła staczającego się poza orbitę ludzkich zainteresowań. Potem, na Mazowszu młody wikary potwierdził w moich oczach, że chyba tylko osiągnięcie dna marginalizacji, pozwoli na zrzucenie z kapłańskich oczu bielma wydumanych paragrafów i wejście na ścieżki prostej, otwartej duchowości.

Póki co mamy namacalne sukcesy mentalności wikarego, które obrazuje opowieść znajomej ze Szczecina. W jej mieście jest jedna malutka grupa medytujących chrześcijan i cztery grupy buddyjskie. Rzecz jasna uczestnicy, grup buddyjskich wywodzą się z katolickich rodzin, lecz naturalniejsze jest dla nich medytowanie z wyklętymi przez księży buddystami, niż tracenie energii na dołączenie do kilku osób, które wypalają się w przekonywaniu

wszechwładnych proboszczów, że także w chrześcijaństwie jest miejsce na medytację. Słuchając Laurence'a Freemana pomyślałem, że lubi on prowokować słuchaczy. Na pierwszym wykładzie oznajmił, że chrześcijańska medytacja kształtuje w ludziach umysłowość katolicką czyli "catholic mind". Moim skojarzeniem tego zwrotu była umysłowość klerykalnej arogancji wyrzucająca medytację wraz z parafianami poza coraz bardziej pustoszejący dziedziniec kościelny. Lecz przewrotny Freeman miał na myśli pierwotne znaczenie greckiego słowa καθολικός do określenia umysłowości powszechnej, ogólnej i otwartej na jedność. Zaś obawy parafialnych możnowładców radził przełamywać dialogiem i otwartym sercem pełnym miłości. "Bo Boga można zrozumieć miłością, a nie słowami i umysłem."

28 października 2009

42. Zwolnij i ciesz się życiem.

"Zwolnij i ciesz się życiem. To nie tylko krajobraz przegapiasz lecąc zbyt szybko - także przegapiasz poczucie tego gdzie lecisz i dlaczego." ("Slow down and enjoy life. It's not only the scenery you miss by going too fast - you also miss the sense of where you are going and why.") Te słowa wypowiedział wiele lat temu Eddie Cantor.

Czy podoba nam się wolna jazda samochodem, zwracanie uwagi na szczegóły otoczenia, radość z tego gdzie jedziemy i dlaczego wybraliśmy to miejsce jako cel podróży? Czytając myśl Cantora przyszły mi na myśl scenki z moich codziennych podróży do pracy. Mam do pokonania około trzydziestu kilometrów. Jadę bocznymi, wąskimi i powolnymi drogami. Płynnie docieram do biura w ciągu godziny. Podczas jazdy, raz na jakiś czas z bocznej uliczki wypada za mną samochód, który zabójczą prędkością zbliża się

do mnie, po czym zwalnia, niemal dotykając mojego zderzaka. Przede mną sznur aut jadących wolno i równomiernie, a z przeciwka to samo. A w lusterku widzę, twarz zagonionej osoby. Czasem jest zmuszona jechać za mną kilka lub kilkanaście minut. Ileż niepokoju widzę na twarzy w lusterku. Zwykle jest to oblicze dość młodej, przystojnej kobiety, elegancko ubranej, prowadzącej duży, drogi samochód. Fantazjuję, że gdyby nagle nastąpiła blokada ruchu i utknęlibyśmy w korku to chciałbym podejść do tej pani i zapytać, czy jeszcze pamięta, gdzie i dlaczego tak pędzi. Myślę, że takie pytanie mogłoby na chwilę odmienić jej życie. Pęd samochodu jest często znakiem szaleńczego pędu życia osoby kierującego pojazdem.

Mam przekonanie, że refleksja nad słowami Eddiego Cantora może dobrze podziałać na pędzącego pracusia. Opowiem Wam o mojej koleżance z pracy o imieniu F. Właśnie

poleciała do Sztokholmu, aby (w swoim przekonaniu) uratować tamtejszy oddział przed dramatyczną klęską rynkową. Gdy w czwartek zapytałem F. jak sobie radzi była wściekła i załamana. Szwedzcy koledzy nie podzielali jej determinacji do intensywnej pracy. Zwrócili uwagę, że jej pomysły mogą wymagać od każdego z nich spędzania ponad 40 godzin tygodniowo w pracy, co jest u nich źle widziane. F. pracuje po kilkanaście godzin dziennie i uznała szwedzkie uwagi o czasie pracy za skandaliczne. Potem przyszło rozżalenie na naszą szwajcarską centralę, dla której ponoć jedyną tolerowaną kulturą pracy jest pracoholizm. Pracuję w tej samej firmie, nawet mam tego samego szefa co F. i trzymam się z daleka od groźby pracoholizmu. Więc dopytałem F. czy to, aby na pewno firma zmuszą ją do szaleńczego pędu? Czy nie byłaby w stanie osiągnąć tych samych lub nawet lepszych rezultatów, gdyby trochę zwolniła? Po

zakończeniu rozmowy z F. poszedłem do biurowej kuchni po coś do picia, a gdy wróciłem do pokoju, na moim komputerze wygaszacz ekranu FranklinCovey wyświetlił zdanie: “Slow down and enjoy life. It’s not only the scenery you miss by going too fast - you also miss the sense of where you are going and why. - Eddie Cantor” Skoro jakaś anielska siła przysłała mi ten tekst, to natychmiast przekazałem cytaty F. Jakaż była moja radość, gdy w weekend dostałem wiadomość od F.: “dzisiaj spacerowałam naprawdę powoli... próbuję sprawić, aby mój umysł i ciało zwolniły”.

23 listopada 2009

Światowe życie

Tutaj odnoszę się do wydarzeń na świecie; komentuję konkretne wiadomości lub ogólne trendy i interpretuję je na swój sposób.

43. Zegarki, a sprawa stosunków polsko-niemiecko-rosyjskich

Właśnie wróciłem z Bazylei ze słynnych targów Baselworld, gdzie wystawiają swoje produkty wytwórcy zegarków z całego świata. Przechadzając się wśród stoisk z zegarkami zauważyłem wystawę ładnych niemieckich zegarków produkowanych przez znaną mi firmę, której tradycja sięga lat 1920-tych. Przez chwilę oglądałem współczesne modele w stylu lotniczym. Potem przystanąłem przed gablotą, gdzie leżały dwa zegarki z czasów II wojny światowej noszone przez pilotów podczas ich lotów. Zegarki były kilkakrotnie większe od tych, które na co dzień nosimy na przegubie.

Czasomierze ówczesnych pilotów miały długie skórzane paski i były zakładane na rękaw kurtki. Obok historycznych zegarków stały stare urządzenia nawigacyjne i książka lotów. Zapytałem starszego pana, który stał obok czy są to oryginalne przedmioty z czasów wojny. Okazało się, że jeden z zegarków to współczesna replika wyprodukowana dla kolekcjonerów, zaś drugi zegarek oraz pozostałe przedmioty są oryginalne i pochodzą sprzed kilkudziesięciu lat.

Swoje pytanie zadałem po angielsku, lecz zdawszy sobie sprawę, że mojemu rozmówcy brakuje słów w tym języku, powiedziałem, iż może mówić po niemiecku, a ja chyba zrozumiem. Uzupełniając wyjaśniłem, że jestem Polakiem mieszkającym w Szwajcarii. Starszy pan z zainteresowaniem dopytał skąd w Polsce pochodzę. Był to H.G., który jest właścicielem i szefem tej firmy (dowiedziałem się tego dopiero przy pożegnaniu, gdy

wymieniliśmy wizytówki).

H.G. pochodził z miejscowości Hirschberg. Nic mi nie mówiła ta nazwa. H.G. wyjaśnił, że to jest obecnie Jelenia Góra.

Z ożywieniem opowiadał, że jego rodzina utrzymuje kontakty ze znajomą Polką w Jeleniej Górze. Mówił, że ma nadzieję na dobre relacje Polaków i Niemców, szczególnie po odejściu Jarosława Kaczyńskiego ze stanowiska premiera. Potem rozmowa trochę zesłała na czasy wojenne. H.G. mówił o tym, że zdaje sobie sprawę, iż Polska znalazła się w kleszczach pomiędzy Niemcami i Rosją. Mówił o Katyniu. Ja mu opowiedziałem o losach mojego dziadka, który po dostaniu się do niewoli sowieckiej został wymieniony i przekazany Niemcom, po czym kilka lat spędził pod Norymbergą pracując przymusowo u tamtejszego rolnika. Zresztą w porównaniu z kilkoma miesiącami spędzonymi w rosyjskim obozie jenieckim stanowiło to dla mojego

dziadka sporą odmianę. H.G. też spędził trochę czasu w rosyjskiej niewoli i mówił, że nauczył się tam nie wierzyć w słowne deklaracje Rosjan, bo przekonał się na własnej skórze, że ich czyny odbiegały od tego co mówili. Pożegnaliśmy się mówiąc, że może się znowu spotkamy za rok na targach zegarków. Idąc na tą imprezę nie przypuszczałem, że jednym z ciekawszych momentów będzie dyskusja o latach wojennych z niemieckim producentem zegarków. Jak się chwilę zastanowić to jest w tym ciekawa symbolika. Rozmawiałem ze starym Niemcem o dawnych czasach. Pretekstem do rozmowy były zegarki, które... odmierzają czas. Zegarki odmierzyły czas H.G. w dość zawiły sposób, bo mierzyły mu czas wojenny w wojsku, potem mierzyły mu czas w niewoli rosyjskiej, potem czas wysiedlenia z rodzinnego miasta, czas pracy, aż po czas kiedy w latach 1980-tych przejął firmę produkującą zegarki.

Zresztą zaczęło się od fabryki zegarków, która ma wiele wspólnego z historią gospodarki Niemiec. W latach 1920-tych z dużym sukcesem firma produkowała popularne zegarki. Potem w czasie wojny były to głównie zegarki lotnicze, które służyły pilotom wojskowym. Pod koniec wojny fabryka została zniszczona podczas alianckich bombardowań. Po wojnie znowu stanęła na nogi, dzięki amerykańskiemu pieniądzu Planu Marshalla. Amerykanie sfinansowali odbudowę, a pod koniec lat pięćdziesiątych amerykańska firma wykupiła dopiero co odbudowanego producenta niemieckich zegarków. W latach sześćdziesiątych firmę odkupili Szwajcarzy, a około dwadzieścia lat później historia zatoczyła koło i firma wróciła w niemieckie ręce. Obecnie produkuje i sprzedaje na cały świat popularne zegarki, wśród nich te odwołujące się stylistyką do zegarków z lat międzywojennych i wojny.

Czyli pozornie niewinne zegarki to też sprawa polityczna 😊

07 kwietnia 2008

44. Przypadek?

Przelatując nagłówki wiadomości trafiłem na coś takiego: [“USA: rodzina właściciela sieci klinik aborcyjnych zginęła obok Grobu Nienarodzonego Dziecka”](#).

Słyszałem o wypadku sprzed tygodnia. Było o tym dużo w mediach, np. [tutaj](#) podano sporo szczegółów wraz ze zdjęciami rodzin, które zginęły w drodze na ferie zimowe. Przejęła mnie tragedia kilku rodzin z małymi dziećmi. Moją uwagę przyciągnęły też informacje o samolocie Pilatus, bo sporo takich samolotów widziałem mieszkając w Szwajcarii. Stąd dobrze pamiętałem o wypadku.

Dzisiaj dotarła do mnie wiadomość, że wśród rozległego spektrum firm właściciela samolotu,

a jednocześnie ojca i dziadka ofiar, jest sieć prywatnych klinik aborcyjnych.

Szybka lektura dyskusji na amerykańskich stronach antyaborcyjnych to argumenty ciężkiego kalibru. Obok głosów o karze bożej, pojawiły się opinie o karmie, oraz o roli szatana.

Patrząc z boku na ten splot wydarzeń nie potrafię odpowiedzieć czy był tam palec opatrności, czy był to przypadek, czy też nieuchronność zdarzeń? W takiej sytuacji przychodzi mi na myśl cytat z Miłosza, który czytałem dawno temu i przytaczam z głowy: “Konieczność, Opatrzność i Przypadek spotykają się w punkcie, który pozostaje dla nas niezrozumiały.”

Pozostaję w zadziwieniu tym wydarzeniem i zachęcam Was do chwili refleksji nad wiadomością o wypadku lotniczym, gdzie obok cmentarza, na którym przeciwnicy aborcji podkreślają swój stosunek do aborcji, ginie

najbliższa rodzina człowieka, którego część środków utrzymania pochodzi z klinik aborcyjnych.

30 marca 2009

45. Leczenie dziecka pod przymusem.

Zaintrygowała mnie wiadomość z amerykańskich mediów: trzynastoletni Daniel Hauser powrócił z Meksyku do USA po tym jak amerykański sąd wydał nakaz leczenia jego nowotworu chemioterapią.

Matka, która wraz z synem uciekła z USA miała trafić do więzienia za unikanie zaplanowanej chemioterapii. Kobieta powołując się na przekonania religijne planowała zdanie się na naturalne metody uzdrawiania. Nie wiem czy chemioterapia jest tak dobrą metodą leczenia, że daje podstawę, aby odebrać rodzicom dziecko i zmusić do leczenia. Wiem, że opinie na temat

chemioterapii są zróżnicowane (dla znających angielski tu jest trochę ciekawostek:

<http://www.ghchealth.com/chemotherapy-quotes.html>).

W przypadku Hausera ponoć onkolodzy twierdzili, iż chemia da 95% szans na przeżycie, a zaniechanie tej terapii tylko 5%.

Pomijając procenty i wiarę lekarzy w ich sposób na nowotwór, zastanowił mnie rozmiar władzy państwowej nad dziećmi.

Jeśli dziecko zachorowało, a lekarze uznali, że wiedzą jak je wyleczyć to opór rodziców kończy się groźbą więzienia i zmuszeniem dziecka do terapii.

Wzbudza to we mnie protest. Uważam, że przypisywanie sobie przez państwo władzy nad nieletnimi obywatelami, którzy mają naturalnych rodziców jest złe. Zaś dawanie lekarzom narzędzi do przymusowego leczenia kłóci się z moim pojęciem roli lekarza, który ma wspomagać pacjenta w dochodzeniu do

zdrowia.

Dotykamy tu także filozoficznego punktu tajemnicy życia i śmierci. Kto i kiedy ma decydować czy osoba, która zachorowała może w spokoju umrzeć, czy też ma przejść masę nieprzyjemnych zabiegów, które mogą odwlec moment śmierci? Bowiem wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nawet najznakomitszy lekarz nie anuluje śmierci, bo śmierć jest wpisana w nasze życie od momentu urodzenia. Chodzi tylko o to, że okiem znawcy tematu uznaje on, że ten pacjent ma dostać więcej czasu na błąkanie się po Ziemi, jego czas jeszcze nie nadszedł. Jak rozumiem stawiamy na statystykę i jeśli zachoruje osoba w wieku 85 lat to uznamy, że ma już prawo umrzeć, bo przekroczyła przeciętną długość życia. Lecz jak zachoruje trzynastolatek to nie ma prawa umrzeć bo brakuje mu kilkudziesięciu lat do ustawowego wieku dającego prawo do podróży w zaświaty?

Może wcale nie chodzi o statystykę tylko o to co jest lepsze dla pacjenta? Beznamiętny lekarz i sędzia (w imieniu wielomilionowego społeczeństwa) wiedzą co jest dobrym wyborem dla chorego nastolatka. Zaś rodzice, którzy kochają swoje dziecko mają się nie wtrącać i nie komplikować procedur jakimiś wątpliwościami religijnymi czy moralnymi. Przecież miliony zjadaczy hamburgerów i widzów CNN, które upoważniły państwo do decydowania o tym co dobre dla ich dziećmi na pewno mają rację. Zaś jak za sto lat chemioterapia zostanie uznana za nieskuteczną i szkodliwą metodę pozbywania się nowotworów, bo ktoś odkryje, że w pradawnej obrzędowości Indian był element, który jest kluczem do zdrowia to wtedy amerykańskie trzynastolatki będą pod bronią doprowadzane do szamanów i odbierane matkom, które planowały dla nich chemioterapię? Z tego co wiem to zdrowie i siły życiowe

człowieka są wciąż wielką tajemnicą dla świata nauki. Im więcej odkrywamy z tym większą pokorą patrzymy na odwieczne siły natury. Lecz zamiast pokornego pochylenia się nad tajemnicą życia, czasem krzyczymy “Ratuj go za wszelką cenę! On musi żyć!” A może czasem ważniejsza jest godna śmierć zamiast okrutnego leczenia? Może lekarz nie jest panem życia i śmierci, bo życie i śmierć mają swoje prawa potężniejsze od kilkudziesięciu lat badań naukowych? Może państwo nie jest właścicielem naszych dzieci? Może rodzice też nie są właścicielami dzieci? Może powołaliśmy dzieci do życia, aby szły swoją drogą wspierane naszą miłością tak długo jak będą tego potrzebować? Komu zaufacie w sprawie obdarzania dziecka miłością: państwu czy matce? Mam nadzieję, że Daniel Hauser, który był przyczynkiem do tego tekstu dobrze zniesie chemioterapię, a jego życie będzie dobre i

sensowne.

28 maja 2009

46. Stworzone przez inżynierów dla inżynierów.

Nad Atlantykiem rozbił się samolot pasażerski. Zginęło ponad dwieście osób. Trwają analizy i spekulacje na temat przyczyn, które rzuciły metalowym kolosem o taflę oceanu. Jedną z hipotez jest błąd systemu przekazującego pilotom informacje o prędkości maszyny. Przy okazji medialnych debat dotarła do mnie wypowiedź doświadczonego pilota, który krytycznie wypowiedział się o naszpikowaniu samolotów elektroniką. Mówił, że współczesne Airbusy są tak skomputeryzowane, iż pilot nie czuje maszyny. Z rozrzewnieniem wspominał Boeinga 747, gdzie ręcznie przesuwiał dźwignię przepustnicy, a pilot czuł reakcję maszyny, gdy przemieszczał wajchę. Zaś najnowsze Airbusy

zostały, jego zdaniem, stworzone przez inżynierów dla inżynierów, a niekoniecznie dla pilotów.

Była to dla mnie symptomatyczna ocena. Elektronika i komputeryzacja są bardzo powszechne. Temat jest dużo obszerniejszy niż lotnictwo. Podobnie do twierdzeń pilota brzmiały opowieści mojego afrykańskiego kolegi, który rekreacyjnie przemierza samochodem bezludne połacie czarnego lądu. W jego głosie słyszałem rezonans tego co powiedział pilot o Airbusach. Mój kolega kupuje na wyprawy stare Land Rovery, które nie mają ani jednego elementu elektronicznego. Na wypadek awarii potrafi rozebrać i na nowo złożyć każdy kawałek maszyny.

Pewno wyczuwacie między linijkami tekstu szczyptę sceptycyzmu wobec komputeryzacji. Faktycznie mam coś do powiedzenia na ten temat. Od kilkunastu lat moi koledzy z pracy to głównie osoby utrzymujące się z pisania kodu

komputerowego. Zaś moje spojrzenie na technologię jest pewno trochę obciążone studiami psychologicznymi.

Z jednej strony, dość swobodnie korzystam z dobrodziejstw elektroniki użytkowej. Niniejszy tekst piszę na kieszonkowym komputerze rozmiarów telefonu komórkowego (zresztą to urządzenie o mocy obliczeniowej dawnych komputerów jest sprzedawane jako telefon, a ściślej: “smartphone”). Do miejsca, w którym jestem dojechałem samochodem, którego komputer odczytuje nawet poziom płynu do szyb. Zaś trafiłem tutaj przy pomocy kieszonkowej mapy, która jest odbiornikiem sygnałów radiowych wysyłanych przez amerykańskie satelity wojskowe. Co więcej, gotowy tekst tego artykułu został zapisany na dysku komputera znajdującego się na innym kontynencie, bo akurat tam internetowa oferta handlowa była dla mnie atrakcyjna.

Właśnie ja, kiedyś żartobliwie nazywany

“inspektorem gadżetem”, dochodzę do przekonania, że nadszedł czas zadać sobie pytanie, gdzie komputery są koniecznością, a gdzie są stadnym odruchem komputeryzacji wszystkiego co nas otacza. Ponoć faszerowanie naszego życia mikroprocesorami ma na celu to by było nam łatwiej. Tutaj odwołam się do zasłyszanego powiedzenia, które uważam za niezwykle celne: “komputery zrobią to szybciej, ale z nimi zajmie nam to dużo więcej czasu”.

Moc obliczeniowa i wyuczalność maszyn są ogromne. Dzięki temu możemy przetworzyć nieprzebrane zasoby informacji. Tylko czy w każdej sytuacji potrzebujemy masy informacji? Czy w ostatecznym rachunku bilans jest opłacalny? Coraz częściej widzę, że nie jest! Nie chcę wyrokować w sprawie Airbusa 330, bo za wcześnie, aby uznać nadmierną komputeryzację za przyczynę katastrofy. Lecz na co dzień widzę przykłady zastosowań

komputerów z wątpliwym dla mnie pożytkiem. Słyszałem opowieść o posiadaczu samochodu, którego samochód sam odpalił silnik, gdy kierowca był na zewnątrz. W miejsce tradycyjnego kluczyka do stacyjki auto miało system komputerowy działający z kartą chipową. Tylko po co?

Inny przykład pochodzi z pięknej Szwajcarii. Mieszkańcy Zurychu płacą za bilety komunikacji miejskiej sporo więcej niż kilka lat temu. W Szwajcarii publiczne koszty są liczone i podawane z aptekarską dokładnością. Więc znajomi analizujący przyczyny podwyżek skonstatowali, że dopłacają za nowoczesny tabor i system informujący o idealnie dokładnym czasie przyjazdu najbliżego tramwaju. Czy chciałbym wydawać co miesiąc więcej na bilet tylko po to, aby jechać w bezszelestnym wagonie, a na przystanku mieć elektroniczny rozkład jazdy? Zdecydowanie wolałbym płacić mniej i jeździć całkiem

porządnymi tramwajami, które wycofano mimo ich dobrej (ale zacofanej) kondycji technicznej. Wracając na polskie podwórko przytoczę historię z naszej biurowej kuchni. Ustawiono w niej kuchenkę mikrofalową z niezwykle rozbudowaną obsługą. Wiele funkcji było zaprogramowanych w systemie komputerowym urządzenia. Przed podgrzaniem potrawy należało wywołać odpowiednie funkcje. To była moja zmora. Nie potrafiłem zapamiętać jak podgrzać talerz jedzenia. Po jakimś czasie przenosiłem zespół informatyków do nowego budynku, gdzie urządziłem także kuchnię. Przed przeprowadzką przyszedł do mnie jeden z doświadczonych programistów i nalegał, abym kupił kuchenkę, która ma tylko i wyłącznie dwa mechaniczne pokręta: jedno do regulacji mocy, a drugie do czasu. Informatycy mieli już dość elektronicznego potworka, który był wprawdzie stworzony przez inżynierów, ale nie nadawał się nawet dla innych inżynierów.

Komputery zrewolucjonizowały świat. Dzięki internetowi wszyscy żyjemy w jednej informacyjnej wiosce. Cieszę się, że mogę korzystać z tych dobrodziejstw postępu. Lecz czasem mam ochotę postawić barierę, gdy widzę, że systemy komputerowe mają być dobrem samym w sobie, bez rozważania czy w ostatecznym rachunku faktycznie poprawiają jakość życia ludzi, którym mają służyć.

07 czerwca 2009

47. Mordercza praca.

Agencje prasowe donosiły w ostatnich dniach, że France Telecom ma problemy z restrukturyzacją po tym jak dwudziestu dwóch pracowników popełniło samobójstwo w ciągu półtora roku.

W jakim okropnym stanie musieli być ludzie, którzy zdecydowali się na wyprawę w zaświaty, gdy nie mogli znieść stresu związanego z pracą.

France Telecom to ogromna firma - zatrudnia około stu tysięcy ludzi. W takiej skali myślenie o firmie, jej wynikach finansowych pewno przesłoniło niemierzalny koszt zmian - zniszczenia w ludzkim życiu.

Targnięcie się na własne życie jest ostateczną demonstracją osobistego kryzysu. Wyobrażam sobie, że we France Telecom jest też masa innych ludzi, którzy są w okropnej sytuacji. Oni jakoś się trzymają. Pewno część z nich popadła w depresję, inni zaobserwowali u siebie problemy ze snem, objawy chorób serca, skacze im ciśnienie, mają jakieś problemy z przewodem pokarmowym itd. Lecz nie zaprzętało to uwagi szefów dopóki pracowali i poddawali się nowym wizjom wprowadzenia France Telecom w realia konkurencji rynkowej.

Czasem widzę, jak koncepcje zarządzania są ograniczane do dwóch prostych mechanizmów: wyścig szczurów i wspinaczka drabinowa. Pierwsze to zachęcenie (lub przymuszenie)

pracowników, aby uznać kolegów z firmy za swoich konkurentów, którzy pędzą do celu, aby sprzątnąć Ci sprzed nosa Twoją nagrodę. Drugi pomysł to uznanie, że firma to zestaw ścianek, o które pracownicy opierają swoje drabiny i drapią się do góry tak szybko jak na to pozawala ich siła i spryt. Jeśli w tym samym kierunku zmierza inny amator przygód wysokościowych to warto pokazać swoją dyskretną kreatywność w neutralizacji przeciwnika. Im więcej osób uda się nakłonić do wyścigu szczurów i im więcej osób uda się przekonać, że zadowolenie z obecnego miejsca ma ustąpić woli wspinaczki po szczeblach tym wyższa będzie wydajność firmy, tym wyższe zyski udziałowców i tym szerszy uśmiech na twarzy prezesa.

Styl zarządzania kierownictwa France Telecom jest teraz opisywany w rozmaitych publikacjach. Z oburzeniem komentuje się przejawy złego traktowania ludzi w tej firmie.

Mam nadzieję, że menadżerowie z całego świata studiujący doniesienia z francuskiego molocha odnoszą sytuację do swojej małej rzeczywistości. Warto, aby to zrobili nim po raz kolejny wybuchną emocjonalnie na podwładnego, nim poniżą kolejną osobę, nim postawią przed ludźmi absurdalne terminy, nim zaczną się wtrącać w najdrobniejsze szczegóły aktywności doświadczonego specjalisty, nim rozpoczną kolejną wyprawę w poszukiwaniu winnego, na którego zwałą odpowiedzialność za swoje mizerne wyniki.

We France Telecom zabiło się ponad dwadzieścia osób. To może brzmieć dość abstrakcyjnie, gdy patrzysz na swoich podwładnych; ale czy jesteś pewien, że nie fundujesz swoim ludziom depresji, bezsenności, wrzodów żołądka i zawałów serca?

16 września 2009

Oni.

Teksty turystyczne, gdzie dzielę się opiniami o odwiedzonych krajach oraz przekazuję wrażenia z wyjazdu do Chin latem 2009.

48. Inne kraje.

Jeden z czytelników prosił, abym pamiętał o innych krajach, które odwiedziłem. Piszę o Polsce, przeplatam opisami Szwajcarii, a faktycznie odwiedziłem sporo zakątków Ziemi. Trudno odkopywać szczegóły ostatniej dekady. Jednak pobawię się sam ze sobą w skojarzenia. Wymienię (w dość przypadkowej kolejności) kraj, który odwiedziłem i napiszę z czym mi się kojarzy:

Australia, Sydney - rekordowo otwarci ludzie; wino Chardonnay; pierwsze doświadczenia w prowadzeniu auta w ruchu lewostronnym.

Korea, Seul - dobrze zorganizowane, nowoczesne miasto.

Indonezja, Dżakarta - sympatyczne spotkania z muzułmanami, ciągłe kontrole antyterrorystyczne.

Malezja, Kuala Lumpur - dość wysoka stopa życiowa, niezwykle mocna i dyskryminowana mniejszość chińska.

Tajlandia, Bangkok - kult króla i sporo - jak na Azję - Europejczyków.

Singapur - porządek, bezpieczeństwo i dobra organizacja; Singapur to w moich oczach taka azjatycka Szwajcaria, jednak zamiast alpejskiej demokracji mają tam namiastkę demokracji trącej autorytaryzmem.

Chiny, Szanghaj - zatłoczone, pokryte smogiem, kilkunastomilionowe miasto; miałem zbyt mało czasu, aby zagłębić się w przedkomunistyczne klimaty miasta; powstało wrażenie zadymionej metropolii.

Hong Kong - jedno z najbardziej zagęszczonych miejsc świata, a jednak

zachowało sympatyczny charakter, ma urocze zakątki i przyjazne restauracje.

Indie, Vadodara - pozostają pod wrażeniem serdeczności i ciepła tamtejszych ludzi; w pamięci pozostaje też widok bardzo biednych ludzi mieszkających w budach z tektury obok zamożnych domów czy hoteli; jednocześnie doskonale rozwija się biznes mimo zaniedbanej infrastruktury.

Południowa Afryka, Johannesburg - serdeczni i otwarci ludzie, a jednocześnie wymuszona poprawność polityczna, mówienie "disadvantaged in the past" ("dyskryminowani w przeszłości") zamiast Murzyni, kwotowe zatrudniania ciemnoskórych i kreowanie demotywacji; brutalna przestępczość; ponoć z roku na rok jest tam coraz gorzej.

Ukraina, Kijów - zaskakująco bezpiecznie i sympatycznie, miasto sprawiło na mnie dobre wrażenie, z przyjemnością jadałem ukraińskie potrawy i godzinami włączyłem się po

kijowskich ulicach.

Czechy, Praga - uwielbiam spacerować po praskich ulicach; dawno tam nie byłem, przed laty jako klient knajp byłem obiektem łupienia przez kelnerów (specjalne ceny dla obcokrajowców, dopisywanie różności do rachunku itd.), może to już należy do przeszłości.

Słowacja, Bratysława - wrażenie małego i przytulnego miast.

Austria, Wiedeń - uwielbiam włóczyć się po starych wiedeńskich ulicach.

Niemcy, Kolonia i Frankfurt - kilka razy byłem we Frankfurcie i raz w Koloni; w pamięci pozostają mi posiłki w tamtejszych restauracjach i piwiarniach; trafiałem na wspaniałą atmosferę, trochę rubaszną, raczej wesołą, mocno odbiegającą od polskiego stereotypu Niemców.

Finlandia, Helsinki - zaskakujące odkrycie sporych związków z Rosją i dość serdecznych

wspomnień związanych historyczną zależnością od cara.

Rosja, Moskwa - uderzający kontrast między bogatymi i biednymi, picie wódki wszędzie i przez każdego.

Norwegia, Stavanger - zapamiętałem je jako pustawę, pochmurne, zadbane i ładne miasto; moje wrażenia mają pewno związek w pogodę na jaką trafiłem odwiedzając Stavanger - było zimno i padał deszcz.

Wlk. Brytania, Londyn - lubię to duże, drogie, wielokulturowe i dynamiczne miasto.

Egipt, Kair - pozostałości po starożytności sprawiały, że cieszyłem się z odwiedzenia Egiptu; egipska teraźniejszość nie pozostawiła w mojej głowie szczególnych wspomnień.

Włochy, Mediolan - Włochy to jeden z moich ulubionych krajów; lubię Włochów; cenię sobie, że niemal każde miejsce, gdzie podają posiłki serwuje coś smacznego; tam naprawdę

trudno znaleźć kiepską jadłodajnię; sam Mediolan wydaje się miastem biznesu i rozrywki; życie rodzinne chyba lepiej prowadzić w okolicznych miasteczkach i wioskach.

Turcja, Istambuł - śliczne miasto, ciepłi ludzie, jogurt jedzony niemal do każdego posiłku.

Grecja, Ateny - nieznośnie korki i dość umiarkowany poziom kultury w usługach.

Belgia, Bruksela - piwo, tatar, pralinki i tłok.

Francja, Paryż - śliczne miasto, urocze kawiarenki; nigdy dość czasu na Paryż!

Hiszpania, Barcelona - śliczne miasto, bardzo lubię atmosferę Barcelony i chętnie tam wracam.

Portugalia, Lizbona - po wizycie w Lizbonie nabrałem przekonania, że Portugalczycy to ludzie melancholijni, tkwiący w lekkiej zadumie i smutku.

21 grudnia 2008

49. Wycieczka dla dziecka.

Już prawie południe. Siedzę w ogródku schroniska młodzieżowego, popijam herbatę. Za moimi plecami co kilka minut słyszę huk przejeżdżającego metra, a z pobliskiego skrzyżowania dolatuje jazgot klaksonów. Trąbi chyba większość kierowców, głównie ci na jednośladach.

Tak brzmi Szanghaj w wakacyjną niedzielę. Ktoś mówił, że na chińskich ulicach hałasują masy rowerzystów. To raczej nie dotyczy Szanghaju. Tutaj wszędzie widać niezliczony ogrom skuterów. Jest faktycznie trochę rowerów, ale skutery niepodzielnie dominują na drogach. Pewno zapytacie co mnie skłoniło do oglądania szanghajskich ulic?

Przyjechałem tu na tygodniowy urlop ze starszą córką.

Od jakiegoś czasu dzieci domagały się wyjazdu na inny kontynent. Ja najchętniej spędzam wakacje, gdzieś na polskim odludziu, ale

rozumiem, że moje latorośle potrzebują doświadczyć odmienności.

Zainspirowany pomysłem znajomej nowozelandki, ustaliłem z rodziną, że po ukończeniu trzynastu lat każde dziecko wybierze sobie miejsce wyjazdu i rodzica, który będzie mu towarzyszył. Zaś my, na miarę możliwości, spełnimy to życzenie.

S., jako najstarsze dziecko, pierwsza skorzystała z okazji. Po namyśle zdecydowała się na Chiny w asyście taty.

Znalazłem bardzo korzystną ofertę lotu do Szanghaju i widzę, iż całe przedsięwzięcie powinno zamknąć się poniżej sześciu tysięcy złotych.

Są to koszty w zasięgu naszego budżetu domowego.

Zaintersowanych szczegółami organizacyjnymi chętnie zapoznam z detalami. Samolot znalazłem na stronie swiss.com. Cierpliwie zapodawałem w ich wyszukiwarce zapytania o

połączenia z Chinami, aż znalazłem lot z Warszawy przez Zurych do Szanghaju za kwotę ok. 1800 PLN od osoby. Była to specjalna taryfa w ramach opcji Economy Saver. Czyli po zakupieniu biletu nie ma żadnej możliwości zmiany lub anulowania podróży. Wobec tego na lot poszło ok. 3600 PLN. Nocleg mamy w schronisku, gdzie za pokój dwuosobowy z piętrowym łóżkiem i zbiorową łazienką zapłaciliśmy ok. 500 PLN (za cały tydzień). Do tego doszły koszty wiz: 490 PLN, ubezpieczenie medyczne ok. 90 PLN oraz ok. 1000 PLN na jedzenie, bilety do muzeów i transport na miejscu. Ta ostatnia pozycja jest oczywiście zależna od osobistych preferencji i dyscypliny budżetowej. Bowiem na lunch dla dwóch osób raz wydajemy 85 PLN, a innym razem 10 PLN (w obydwu przypadkach w czystych lokalach, lecz o innej klasie i innym menu). Za śniadania płacimy albo 20 PLN za dwa zestawy śniadaniowe w schronisku lub

jemy w tym samym schronisku płatki z jogurtem kupione w supermarkecie. Podróżujemy po mieście metrem. Sporo też przemierzamy pieszo. Czyli praktykujemy turystykę dla amatorów stosunkowo niedrogiego oglądania świata.

Lecz “nie samym chlebem żyje człowiek”, więc przejdźmy do opisu kilku wrażeń z półmetka wyjazdu. Już sam początek okazał się szczęśliwy. Z jakiś bliżej mi nie znanych powodów Swiss dał nam miejsca do Szanghaju w klasie biznes. Pierwotnie myślałem, że to pomyłka i ostatecznie wylądujemy w ciasnych fotelach, za które zapłaciliśmy kupując bilety. Jednak gdy już siedzieliśmy na bardzo wygodnych miejscach i doświadczyliśmy luksusów, było oczywiste, że tak już zostanie, aż do lądowania w Chinach. S. była zachwycona mając pierwszy raz okazję spać w wygodnym łóżku lecąc na kilku tysiącach metrów.

Po wylądowaniu wsiedliśmy do szybkiej kolejki Maglev, która łączy lotnisko z miastem pędząc ponad 300 km/h (w godzinach po południowych jeździ jeszcze szybciej: ponad 400 km/h).

Głównym zaskoczeniem klimatycznym dla S. był szanghajski upał. Tutejsza temperatura ok. 30 stopni jest odczuwalna jak kilka stopni więcej z powodu wilgotności powietrza. Mimo gorących dni, zwiedzamy atrakcje turystyczne największego miasta Chin o czym pewno wspomnę w kolejnym blogowym tekście.

10 sierpnia 2009

50. Spacerkiem po Szanghaju.

Prawie tydzień w Szanghaju dał nam próbkę tego co w Chinach ciekawe.

Było coś dla ciała, było trochę ciekawostek, zobaczyliśmy co nieco z życia duchowego oraz nawiązaliśmy odrobinę kontaktów społecznych.

Schodziliśmy Szanghaj we wszelkich kierunkach. Wielogodzinne spacery w ponad trzydziesto stopniowym upale były męczące. Lecz w ten sposób nasze stopy dotknęły przeróżnych zakątków miasta. Byliśmy zarówno w biednych, wąskich uliczkach pełnych mocno zapuszczonych knajpek i sklepów. Odwiedziliśmy też kilka domów towarowych i miejsc, gdzie ceny były skrojone na miarę bardzo bogatych klientów (co było też widać po rodzaju kupujących). Mimo przyjęcia do wiadomości przewodnikowych ostrzeżeń przed przestępcami, zauważyłem, iż Chińczycy pokojowo współegzystują. Obok bardzo ubogich domów widzieliśmy rezydencję z Porszem zaparkowanym przy krawężniku. Na drogach odnosi się wrażenie bałaganu, ale ludzie spokojnie reagują na otoczenie. Widziałem, jak hałaśliwe jednoślady lekko się uderzyły - przez nieuwagę lub ciasnotę na ulicy - obydwaj kierowcy ruszyli dalej bez cienia

pretensji. Wszechobecne używanie klaksonu i ignorowanie pieszych na pasach robiło na mnie wrażenie zachowań agresywnych, ale w bezpośrednich kontaktach nie widziałem nerwowości. Nawet w zatłoczonym do granic mrowiska metrze ludzie byli spokojni. Wprawdzie zajęło mi parę dni zrozumienie tutejszego systemu wsiadania do wagonu, aby przestać mieszać na stacjach. Otóż - zgodnie z instrukcjami administracji metra - wysiadający wychodzą środkiem drzwi, a wsiadający wchodzą do wagonu z dwóch stron z brzegu drzwi. Działa to sprawnie, no może z wyjątkiem sytuacji, gdy niedoinformowani turyści - jak ja - zaburzają ten porządek. Zaś po wyjściu z metra, na powierzchni ziemi, dostaliśmy między innymi próbkę tutejszego życia duchowego - odwiedziliśmy po jednej świątyni z głównych religii: taoistyczną, buddyjską i konfucjańską. Konfucjonizm to raczej pogranicze religii i filozofii. Lecz skoro

Chińczycy uznają Konfucjusza za jednego z bogów i zanoszą do niego modły to powiedzmy, że konfucjonizm jest niemal trzecią główną religią. (Choć spotkani przez nas wyznawcy konfucjonizmu twierdzili, że konfucjonizm wyznają zarówno buddyści, jak i taoiści, więc nie jest to tak do końca osobna, oddzielna religia.) Nie jest to jedyne zagmatwanie w tutejszym życiu duchowym, które i tak zdaje się być na odległym marginesie życia przeciętnego szanghajczyka. Przy okazji nadmienię, że byliśmy również w katedrze katolickiej - była polecana jako ważna atrakcja turystyczna na mapie wydanej przez władze miasta. Faktycznie budynek jest imponujących rozmiarów, naszpikowany nowoczesną elektroniką audio-wizualną, a w jego sąsiedztwie stoi potężny i elegancki pałac biskupi. O ile mnie pamięć nie myli, to ma miejsce jakiś konflikt między chińskimi

katolikami, a Watykanem. Przypuszczam, że katedra jest finansowana przez chińskie władze i pewno stąd jej miejsce na mapie turystycznej. Pomijając politykę powiem, że msza była bardzo ładna głównie z racji kilkudziesięcioosobowego chóru, który śpiewał przez całe nabożeństwo. Bariera językowa była zmniejszana przez wyświetlanie angielskiej wersji czytań na dużych ekranach (mimo, że przeważającą większość uczestników stanowiły osoby skośnookie). Zostawmy temat bogów i ich ziemskiego personelu, a przejdźmy do naszych chińskich znajomych. Bliżej poznaliśmy dwie Chinki, które mieszkały w naszym schronisku. Najpierw spotkaliśmy je w recepcji, gdy meldowały się w tym samym czasie co my. Potem wpadliśmy na siebie - innego dnia - na stacji metra. W końcu, innym razem, spotkaliśmy się w schroniskowej świetlicy i pogadaliśmy przez kilka godzin. W

schronisku mieszkało kilkadziesiąt osób, ale wyraźnie było nam pisane poznać te dwie osoby: Snow i Shelly. Te angielskie imiona nie są rzeczą jasną ich naturalnymi imionami. Tak jak większość Chińczyków mających kontakt z obcokrajowcami, na potrzeby społeczne, wybrały sobie zachodnie imiona jakie pasowały ich usposobieniu.

Przyjechały do Szanghaju na zakupy z pobliskiej prowincji Zhejiang. Zgodnie z zasadą, że każde ludzkie życie jest jak ciekawa powieść, tak i one wniosły trochę nowego światła w mój obraz Chin. Shelly pochodzi z wielodzietnej rodziny, ma - o ile pamiętam - trzy siostry. Opowiadała, że rodzice wykazali się sporym sprytem zakładając wielodzietną rodzinę. Gdy dowiedzieli się o liberalizacji polityki jednego dziecka, przeprowadzili się do regionu, gdzie można było mieć więcej potomstwa. Natomiast Snow to historia innego typu. Przed trzema miesiącami wyszła za mąż

za młodego Anglika i we wrześniu przeprowadza się do Wielkiej Brytanii. Charakterystyczne były dla mnie jej obawy związane z zamieszkaniem w Europie. Otóż główną, poważną troską był jej brak talentów kulinarnych. Chińska kobieta ma zadbać o posiłki, a jedzenie jest bardzo ważnym elementem tutejszej kultury. Zatem jak ona sobie poradzi?! Wraz z S. uświadamialiśmy Snow, że europejscy mężowie są dużo mniej wrażliwi na punkcie posiłków w domu, czego przykładem miała być moja małżonka, a mama S., która od kilkunastu lat jest wspaniałą żoną i matką mimo sporej awersji do gotowania. Znajomość z Shelly i Snow miała też konkretny wymiar. Przekonały nas do odwiedzenia stolicy swojej prowincji i jutro - ostatniego dnia naszego pobytu w Chinach - jedziemy pociągiem do Hangzhou oddalonego ok. 180 kilometrów od Szanghaju. Hangzhou słynie z malowniczego jeziora, górzystej okolicy i

zabytków pamiętających dawną świetność miasta, które nawet krótko (w dwunastym wieku) pełniło rolę stolicy cesarstwa. Ponoć Marco Polo określił je mianem najpiękniejszego miasta świata. Przy okazji będziemy mieli okazję przemierzyć kawałek chińskiej ziemi pociągiem. Przybyliśmy tu samolotem, odbyliśmy też wodną wycieczkę do delty Jangcy, jechaliśmy po mieście autobusem, a jutro czas na pociąg dalekobieżny! Obserwacjami z Hangzhou pewno podzielę się w kolejnym odcinku relacji z naszej wyprawy.

11 sierpnia 2009

51. Chiński pociąg.

Przed wejściem do budynku sprawdzanie biletów, potem prześwietlanie bagażu i już napis na wyświetlaczu kieruje nas do poczekalni numer 2, skąd zostaniemy skierowani do pociągu. Kwadrans przed

odjazdem następuje “boarding”, czyli wszyscy pasażerowie idą z poczekalni wprost do wagonów. Czyli z grubsza tak jak w samolocie. Zresztą podobieństw jest więcej: bilety mamy w klasie ekonomicznej (drugiej), w odróżnieniu od droższej klasy biznes (czyli pierwszej). Takimi rozwiązaniami, znanymi z lotnisk, rozpoczynamy podróż chińskim pociągiem D, czyli odpowiednikiem naszego Inter City. Wagon jest czysty i przypomina szybką szwajcarską kolej Cisalpino łączącą Zurych z Mediolanem oraz niemieckie wagony ICE. Z tą różnicą, że w chińskiej wersji jest dużo więcej miejsca na nogi. Informacje dla podróżnych są podawane na dwujęzycznym wyświetlaczu i powtarzane przez głośniki, podobnie jak w Niemczech, zamiast szwajcarskiego czterojęzycznego kierownika pociągu korzystającego tylko z głośników. Podróżujemy stosunkowo wolno. W okolicy Szanghaju jedziemy sporo poniżej 100 km/h

(pewno tory nie przeszły jeszcze odnowy technologicznej). Potem rozpędzamy się do 170 km/h.

Polskich czytelników nie znających szwajcarskiej ani niemieckiej kolei proszę o wybaczenie, że brak tu odniesienia do polskiego Inter City. Takie porównanie jest ponad moje siły. Polska kolej przewyższa chińską chyba wyłącznie ceną. Tutaj płacę ok. 14 groszy za przejazd jednego kilometra szybkim pociągiem (miejscówka w cenie), w Polsce, o ile dobrze pamiętam, jest chyba dwa razy drożej. Dla ścisłości powiem, że szwajcarska kolej jest kilkakrotnie droższa od polskiej (lecz bardzo powszechne są tam bilety o obniżonej cenie). Zatem zostawmy na boku sprawy cen.

W kwestii porównania PKP do chińskiej kolei, mogę Wam jedynie zaproponować zamknięcie oczu i wyobrażenie sobie, że wymyślacie pociąg jakim chętnie i z przyjemnością

pojedziecie. Jest spora szansa, iż Wasza wizja będzie taka jak chiński pociąg D.

Podróż zaczyna się w od zakupu biletu.

Powiedzmy trochę na ten temat. Przypuszczam, że chińska bileterka może mieć wiele wspólnego z polską koleżanką po fachu. To tylko moje spekulacje, bo bilety kupiłem w automatycznej kasie, gdzie na ekranie dotykowym wybierałem wszelkie opcje połączenia. Chiny zmieniają się w błyskawicznym tempie. Jeszcze niedawno kolega mówił o swojej podróży z Szanghaju: “Wchodzisz na dworzec, a tam wszystko napisane tymi chińskimi krzaczkami. I jak tu trafić do właściwego pociągu?!” Obecnie anglojęzyczny turysta dostaje podstawowe informacje w swoim języku. Także nazwy stacji na biletach są drukowane w dwóch językach. Dodam, że tą samą trasę można pokonać pociągiem osobowym, który podobno kosztuje ok. 30% mniej od D-pośpiesznego.

Na zakończenie kilka obserwacji na temat otoczenia społecznego.

Współpasażerowie wyglądali w większości na osoby podróżujące służbowo i byli wyposażeni w masę cyfrowych zabawek. Już w szanghajskim metrze zauważyłem powszechne upodobanie Chińczyków do kosztownych gadżetów. Moja córka, mająca dobre rozeznanie w nowościach firmy Nokia i ich konkurentów, pokazywała mi ostatnie rynkowe hity w rękach miejskich podróżnych. To samo rzucało się w oczy w pociągu. Niektórzy grali, inni oglądali filmy na mniejszych i nieco większych ekranach.

Jednak nie mogłem się przyzwyczać do bekania, charczenia i wizyt współpasażerów w najbliższej toalecie, aby przez otwarte drzwi siarczyście splunąć do muszli. W końcu zatkałem sobie uszy słuchawkami - wolałem oglądać Chińczyków niż słuchać ich życia wewnętrznego.

Po wyjściu z pociągu wpadliśmy w wir gorącej ulicy, ale o tym już w osobnym tekście.

15 sierpnia 2009

52. Hangzhou.

Słyszeliśmy od kilku osób, że warto wyjechać poza Szanghaj, aby zobaczyć inne oblicze Chin. Szanghaj jest podobno specyficzny i daleki od reprezentatywności całego państwa.

Pierwotnie myślałem o podzieleniu tygodnia na dwa miasta: trzy dni w Pekinie i trzy dni w Szanghaju. Jednak podróż do Pekinu to ok. dziesięciu godzin w jedną stronę. Porzuciłem tę opcję. Mój wybór potwierdził spotkany w hostelowej łazience Amerykanin, który wrócił z Pekinu. Bardzo chwalił Szanghaj z powodu względnej czystości powietrza i serdecznej atmosfery na ulicach. Jego zdaniem zwiedzenie stolicy to umiarkowanie przyjemny obowiązek. Pojechaliśmy wobec tego do Hangzhou położonego dwie godziny na południe od

Szanghaju.

Zdaniem autora przewodnika zakupionego w Empiku, Chińczycy są ze swej natury powściągliwi w kontaktach z obcymi. Trudno to powiedzieć o Szanghaju. Byliśmy otoczeni serdecznościami i uśmiechami. Może to jest ta nienormalność największego miasta.

W Hangzhou dotknęliśmy innej społeczności. Podobnie jak w Szanghaju byliśmy bacznie obserwowani. Lecz tym razem uśmiech skierowany do gapia zwykle trafiał w twarz bez wyrazu. Czułem, że jestem nie tylko inny, ale także obcy.

Mimo opisywanej w przewodniku popularności turystycznej, w Hangzhou trudno było poruszać się po mieście bez znajomości chińskiego. Chcę dodać, że brak wylewności nie przeszkadzał lokalnym mieszkańcom w pomaganiu nam znalezienia drogi.

W sumie wycieczka była udana i zobaczyliśmy główne atrakcje miasta. Najważniejszym

elementem jest kilkuhektarowe Jezioro Zachodnie, które powstało w samym centrum przed tysiącem lat, gdy lokalni możnowładcy postanowili oddzielić od miejscowej rzeki jej zatokę, pogłębić ją i przekształcić w system uroczych parków, oczek wodnych i grobli spacerowych.

Jak przystało na bardzo stare miasto jest w nim też sporo innych pamiątek minionych wieków. Wybraliśmy tylko kilka z nich. Pojechaliśmy zobaczyć roześmianego budę z wielkim brzuchem, który jest ikoną wielu klasztorów umieszczonych na wzgórzu koło miasta. Potem w nieznośnym skwarze szukaliśmy muzeum medycyny chińskiej. Pomoc kolejno pięciu osób doprowadziła nas do celu. Ekspozycja pokazywała jak na przestrzeni tysięcy lat, poszczególne dynastie sponsorowały medyków katalogujących setki, a potem tysiące środków medycznych. Muzeum graniczy z czynną przychodnią zatrudniającą kilkudziesięciu

lekarzy chińskiej medycyny oraz z tradycyjną apteką. Warta zachodu była już sama wizyta w budynku muzealnym, które umieszczono w bardzo dużej, sownie zdobionej dziewiętnastowiecznej aptece. Zwiedzanie miasta zakończyliśmy leniwie snując się po żywych zieleni, zadbanych parkach nad jeziorem.

Gdy zbliżał się czas odjazdu pociągu, rozpoczęły się przygody komunikacyjne. Autobusy miejskie, zamiast wracać na dworzec znaną nam trasą, robiły pętlę wokół jeziora i zgubiliśmy ich trop. Na przystanku, gdzie oczekiwaliśmy kilku połączeń, nic nie jechało tam, gdzie potrzebowaliśmy. Z pomocą przyszedł napotkany mężczyzna, który po mojej prośbie wskazania połączenia na pociąg zabrał się do działań na niezwykłą skalę. Po wykonaniu jakiś telefonów ze swojej komórki, oznajmił, że musimy pójść na inny przystanek. Zdecydowanie odrzucił propozycję, abym

poszedł tam sam z S.. On poszedł z nami. Po dotarciu na przystanek zaczął inne osoby potwierdzając to co już wiedział. Napisał mi na kartce nazwę docelowego przystanku, a gdy nadjechał autobus wszedł do środka i zdecydowanym tonem polecił kierowcy wysadzić nas w żądanym miejscu. Potem poszedł w swoją stronę.

Wcześniej opowiedział nam łamaną angielszczyzną, że jest przedstawicielem handlowym w branży medycznej w Szanghaju i do Hangzhou przyjechał służbowo.

W autobusie przystanek po przystanku robiło się coraz tłoczniej. W końcu było już bardzo ciasno. Ostatnio taki ścisk przeżyłem w Polsce ponad dwadzieścia lat temu, gdy dojeżdżałem do liceum autobusem miejskim. W Hangzhou górowałem nad innymi pasażerami i miałem czym oddychać. Za to moja głowa była sporo powyżej bocznych okien i nie widziałem gdzie jesteśmy. Kierowca był daleko z przodu i był

pochłonięty upychaniem nowych podróżnych. Listy przystanków w pojeździe, jak również na zewnątrz, były wyłącznie w języku chińskim. Automat zapowiadający nazwy przystanków był dwujęzyczny, ale głośniki wydawały z siebie mało zrozumiałe dźwięki. Jedynie podpisy dużych skrzyżowań miały czytelną wersję angielską - lecz ich nie widziałem, bo jak wspomniałem, moja czupryna tkwiła pod sufitem. Byłem wykończony całodziennym upałem, nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, a godzina odjazdu pociągu była coraz bliżej. Postanowiłem działać. Pokazałem karteczkę z nazwą przystanku osobom, które były najbliżej. Z ich gestów niewiele zrozumiałem, ale liczyłem, że wypchną nas z autobusu we właściwym miejscu. Tak się też stało. Wylądowaliśmy na olbrzymim skrzyżowaniu, gdzie nie było widać śladu dworca. Pośpiesznie odszukałem w przewodniku chińskiej nazwy dworca kolejowego i podsunąłem ją pod nos

dziewczynie na przystanku. Pokazała palcem dach wysokiego budynku kilkaset metrów za ulicą. Faktycznie stamtąd odjeżdżał nasz pociąg. Jeszcze czekała nas kolejka do punktu kontroli bagażu i już byliśmy na swoich wygodnych miejscach w drodze do Szanghaju. Niemal od razu opadłem z sił i przespałem całą podróż. Wieczorem poszliśmy na kolację do znanej nam sieciówki serwującej pierożki. Miło, z uśmiechami - po szanghajsku.

15 sierpnia 2009

Z ziemi helweckiej do Polski

Znajdziecie tu historię mojej drogi od decyzji wyjazdu ze Szwajcarii, poprzez przygotowania do przeprowadzki, aż po zadomowienie się w Polsce. Są tu też wpisy, w których dzielę się różnymi szwajcarsko-polskimi impresjami.

53. Zamiast wstępu: powrót do Polski po kilku latach na Zachodzie

To już prawie osiem lat od dnia, gdy zadzwonił do mnie kolega z centrali naszej firmy i zapytał, czy nie miałbym ochoty na pracę w szwajcarskim biurze. Kilka miesięcy później nasza mała rodzina mieszkała już u podnóża Alp.

Wiele wskazuje na to, że niedługo przeprowadzimy się w przeciwnym kierunku i Alpy zamienimy na Wisłę. Ktoś mi powiedział, że powrót do swojego

kraju po pięciu latach to jest przeprowadzka do innego, nieznanego kraju, bo nie będzie on taki jak w naszych wspomnieniach. Było to chyba po angielsku i miało być prawdą uniwersalną, dotyczącą każdego kraju, a nie konkretnie Polski. Polska rozwija się szybciej niż “normalne” społeczeństwo.

Zatem zdaję sobie sprawę, iż wracam do innego społeczeństwa, niż to pozostawione we wspomnieniach z roku 2000.

Domyślam się, że niniejsze notatki są czytane głównie przez mieszkańców Polski. Pewno poszukują tu zaspokojenia tak oczywistej potrzeby porównania siebie i swojego kraju do innych. Cóż może lepiej opisać nadwiślańską rzeczywistość niż odczucia rodaka, który przez kilka lat napawał się dobrobytem, spokojem i łatwością życia w jednym z najlepiej zorganizowanych państw świata, a teraz wskakuje w rwący nurt życia społeczeństwa na dorobku.

Wiem, że zagląдают tu też Polacy mieszkający za granicą. Bowiem niewielu jest takich, którym nigdy przez myśl nie przemknęła chęć powrotu do Ojczyzny.

Tutaj mają okazję odbyć wirtualną podróż śladami swojej mrzonki o powrocie. Mogą się wcielić w autora tych słów i wyobrazić sobie swoje lądowanie w starym-nowym kraju ojców.

Zatem ja zbliżam się - krok po kroku - do przeprowadzki. Mimo nawału spraw postaram się - mniej lub bardziej systematycznie - przekazywać Wam swoje obserwacje polskiej rzeczywistości.

Na razie mieszkam w Szwajcarii, a w Polsce bywam z nasilającą się częstotliwością. Lubię te przyjazdy. Zresztą zawsze je lubiłem. Chyba nawet bardziej polubiłem tą kosmatą krainę, gdy zamieszkałem setki kilometrów od niej. Po chwili zastanowienia dodam, że to nie chodzi o odległość. Swoją polskość mocno poczułem żyjąc i pracując wśród

obcokrajowców. Sposób komunikowania, ulubione potrawy, podejście do życia, sposób pokonywania przeciwności i wiele innych drobiazgów definiowały mnie (na mój zupełnie prywatny użytek) jako Polaka.

Jako osoba z natury pogodnie nastawiona do rzeczywistości polubiłem swoją świadomość bycia Polakiem. Ci z Was którzy nie doświadczyli długich miesięcy życia wśród "nie-Polaków" mogą potrzebować wyjaśnienia pewnej oczywistości: Kim się czułem mieszkając w Polsce? Czy dopiero po trzydziestce stałem się Polakiem? Otóż, moi drodzy, mam podstawy sądzić, iż przed wyjazdem do Szwajcarii myślałem o swojej polskości nie mniej i nie więcej niż każdy z Was urodzonych, wychowanych i wykształconych w Polsce. Ot, po prostu, byłem tu u siebie i nieczęsto miałem potrzebę odpowiadać (sobie i innym) na pytanie narodowościowe. Dziadkowie byli Polakami,

rodzice to Polacy, ja też jestem Polakiem i nie było się nad czym zastanawiać. Zaś żyjąc wśród “innych” niemal każdego dnia widziałem szwajcarską linię demarkacyjną rozdzielającą swoich od obcokrajowców. To była dla mnie ciekawa szkoła refleksji nad tym na ile jesteśmy postrzegani przez pryzmat swoich indywidualnych cech, a na ile poprzez to czym wyróżnia nas nasza narodowość. Tym przydługim wywodem dochodzę do stwierdzenia, że jestem szwajcarskim Polakiem. Po kilku latach zamierzam zmienić ten status. Dlaczego to robię? Dlaczego właśnie w czasie, gdy najmodniejszym kierunkiem przeprowadzek jest emigrowanie z Polski? Być może warto o tym napisać. Skoro postanowiłem dzielić się z Wami tym co mnie spotyka to wiedzcie też dlaczego tak się dzieje. Tak jak początek mojej szwajcarskiej przygody był związany z pracą, tak i decyzja powrotu miała z tym związek. Postanowiłem

“przewietrzyć” swoją karierę zawodową; no i tak doszedłem do ciekawych pomysłów biznesowych rozwijanych w Polsce, a w ślad za nimi do decyzji o przeprowadzce. Zmiana kraju zamieszkania to dla mnie dość prosta sprawa. Przez ostatnie lata sporą część czasu pracy spędziłem zarządzając projektami w rozmaitych miejscach globu. Spędzałem po kilka tygodni lub miesięcy w mniej lub bardziej ciekawych krajach. Lecz to samo co dla mnie jest dość łatwe jest jednocześnie sporym wyzwaniem dla rodziny. Po latach spokojnego, przewidywalnego szwajcarskiego życia dzieci miały zamieszkać w kraju znanym im z wakacyjnych i świątecznych wypadów. Córki przeszły kilka klas w szwajcarskiej podstawówce, gdzie zadanie domowe to jakiś drobiazg pochłaniający zwykle pół godziny dziennie. Były uczone przez nauczycieli, którzy zarabiali prawie trzykrotność tamtejszej średniej krajowej, a zatem cieszących się

poważaniem społecznym. Przypuszczam, że szkoła w Polsce będzie dla dzieci interesującym doświadczeniem.

Starsza córka kończy podstawówkę, więc Polskę powita z ławki gimnazjalnej. Młodsza ma trafić do czwartej klasy. Zaś nasz czteroletni syn ma szansę być w pełni produktem polskiej szkoły, bo był za młody na szwajcarską edukację.

06 stycznia 2008

54. Dom: kupić czy zbudować?

Przeprowadzka do Polski to też mieszkanie. Gdzieś trzeba zamieszkać. Wyjeżdżając za granicę wyprowadziliśmy się z wynajmowanego mieszkania. Zatem w kraju nie czeka na nas żadna nieruchomość.

Czeka nas budowa lub kupno domku. Dylemat jest dość karkołomny.

Pierwszą myślą była budowa. Jednak znajomi ostudzili nasz zapał opowiadając o tym, że większość przyzwoitych ekip budowlanych jest już za granicą, a w Polsce zostali budowlańcy trzecioligowi. Ponadto ceny materiałów i robocizny podwoiły swoją cenę w ostatnich latach. Czyli budowa niewielkiego domku to teraz grubo ponad pół miliona złotych.

Kupno gotowej nieruchomości nie wyjdzie taniej, ale odpadnie konieczność wynajmowania mieszkania w czasie co najmniej rocznej budowy. Wtedy przeprowadzka ze Szwajcarii prowadziaby bezpośrednio do domku. Zatem dokładamy sobie kolejny aspekt w dywagacjach o przeprowadzce.

14 stycznia 2008

55. Wirtualna wycieczka do podwarszawskiej gminy

Kilka lat temu kupiłem działkę pod Warszawą.

Przy okazji wspomnianych wcześniej dylematów “budować czy kupić” postanowiłem odwiedzić “swoją” gminę. W zasadzie poza posiadaniem działki niewiele mnie z tą gminą łączy. Słowo “odwiedzić” powinienem napisać w cudzysłowie, bo wizyta miała być tylko na ekranie komputera.

Wycieczka udała się wyśmienicie. Mam sporo do czynienia z internetem, ale przyznam, iż byłem zaskoczony jak wiele informacji jest w sieci. Dowiedziałem się o szkołach, komunikacji, rozbudowie sieci kanalizacji i nowych osiedlach wznoszonych w okolicy. Sporo bieżących informacji znalazłem na forum internetowym mieszkańców gminy. Część informacji pochodziła sprzed roku lub dwóch. Raz dwa zarejestrowałem na forum swój profil. W ciągu kilku godzin jeden z mieszkańców gminy serdecznie i cierpliwie wyjaśnił moje wątpliwości o tym jak wygląda sytuacja w gimnazjum, które obecnie wydaje się działać

sensownie, po okresie jakichś zamieszkań i chuligaństwa. Wyklarował mi też sytuację dojazdów do Warszawy: czym i jak najsprawniej można dotrzeć do miasta.

Potem spędziłem kilkadziesiąt minut wczytując się w lokalne debaty na rozmaite tematy począwszy od dróg, aż po organistę w lokalnym kościele. Czytałem to nie tyle, aby zebrać fakty, ale raczej by wyczuć atmosferę w lokalnej społeczności. W sumie odczucia jakie zebrałem mogłyby pewno dotyczyć wielu podmiejskich wiosek, nie tylko na Mazowszu. Otóż wyczułem jakieś podskórne iskrzenie między mieszkańcami związanymi z wioską od urodzenia i tymi co wprowadzili się do nowych domków. Dość symptomatyczna była wymiana zdań przy okazji debaty o lokalnej parafii rzymsko-katolickiej. Kilku przybyszów wychwalało zmiany jakie wprowadzał w przeszłości jeden z księży, co zdaniem dyskutantów miało zbliżyć parafię do modelu

miejskiego. Zaś obecnie widzą niechlubny powrót to wiejskiej tradycji. W odpowiedzi tubylec bronił obecnych porządków i nie chciał, aby przewracano jego lokalny świat do góry nogami. Gorąca wymiana zdań doszła to punktu, gdy z jednej strony padły argumenty o tym, że dzięki napływowi mieszczuchów wioska ma szansę na rozwój edukacyjny i cywilizacyjny; zaś z drugiej strony były komentarze, iż trudno dawać wiarę w zaangażowanie napływowych mieszkańców w życie gminy, bo oni wydają się traktować to miejsce jako li tylko sypialnię, a ich życie i tak jest skoncentrowane na Warszawie.

Dało mi to do myślenia. Jeśli zamieszkać w tym środowisku to sam też się jakoś wpiszę w tą sytuację. Zwykle tam, gdzie się znajduję to jestem aktywny społecznie. Przypuszczam, że tak będzie też w wiosce (tej lub innej), w której zamieszkać. W Szwajcarii mieszkam w siedmiotysięcznym miasteczku. Mimo

przepaści cywilizacyjnej między Szwajcarią, a Polską małe społeczności mają z pewnością wiele cech wspólnych bez względu na to, w jakim kraju się znajdują. Od urodzenia mieszkałem w mieście (a właściwie w kilku różnych miastach) i pierwszą wioską w jakiej się znalazłem była ta w Szwajcarii. Na początku miałem trudności z odnalezieniem się w takiej społeczności, gdzie ludzie wiedzą o sobie bardzo dużo, a relacje międzyludzkie są niemal rodzinne. Jednak teraz lubię takie życie. Chętnie zobaczę jak moje doświadczenia ze szwajcarskiej wioski, będą się miały do tego na co napotkam na mazowieckiej drodze.

17 stycznia 2008

56. Szwajcarska wioska

Tym razem będzie o Szwajcarii. Mój blog dotyczy przeżyć związanych z powrotem do Polski. Jednak poświęcę trochę uwagi Szwajcarii. Chodzi o moją Szwajcarię: to jak ją

widzę, jakiej doświadczam i jak potrafię odnieść szwajcarskie obserwacje do polskiej rzeczywistości. Opisując wrażenia z wirtualnej wizyty w mazowieckiej wiosce napisałem o przepaści cywilizacyjnej między Szwajcarią, a Polską. Wyraziłem jednak opinię, że małe społeczności mają wiele cech wspólnych bez względu na to, w jakim kraju się znajdują. W jednym z komentarzy zostałem poproszony o rozwinięcie myśli na temat rzekomej “przepaści cywilizacyjnej”.

Cóż takiego jest w szwajcarskiej wiosce czego nie mają mieszkańcy polskich miejscowości? Wielu Polaków było w Szwajcarii przejazdem, turystycznie lub służbowo. Opowieści przywiezione z tych wizyt jakoś specjalnie nie świadczyły o tym, aby mieszkańcy nadwiślańskiej krainy mieli powody szczególnie podziwiać Szwajcarów. Oczywiście są w Szwajcarii **dobrze drogi, porządne pociągi, idealnie czyste miasteczka i sporo**

drogich samochodów. Ale to wszystko można kwitować komentarzem, iż gdybyśmy mieli tyle pieniędzy co Szwajcaria to nie takie cuda byśmy sobie poczynili.

Co więcej, pierwszy kontakt obcokrajowca ze szwajcarskim strażnikiem granicznym, konduktorem w pociągu lub sprzedawczynią w sklepie nie pozwala na jakieś bałwochwalcze peany o kulturze, serdeczności i uprzejmości alpejskich górali.

W rezultacie polski narciarz lub biznesmen często mówi, że “ta Szwajcaria to jest przereklamowana” i w gruncie rzeczy dużo fajniej jest pojechać do Włoch lub Austrii. W takim kontekście, Swojak zauważa w swoim blogu, że Szwajcarię i Polskę dzieli przepaść cywilizacyjna. Taki ryzykowny osąd zasługuje na chwilę uwagi. Może autor nie ma pojęcia o czym mówi, a może wie coś co nie jest dane przeżyć żadnemu turyście lub biznesmenowi? Pytanie jest czysto retoryczne, bo skoro piszę

blog to mam przekonanie (absolutnie subiektywne), iż mam coś ciekawego i zaskakującego do opowiedzenia.

Odwołajmy się do klasyka: **Szwajcaria “jest jak cebula; ma warstwy!”** (to była parafraza filmowego Shreka wypowiadającego się w ten sposób o ograch).

Shrekowa poetyka dobrze pasuje do Szwajcarii. Bowiem, aby doświadczyć tych wewnętrznych, ciekawych warstw szwajcarskiego życia społecznego trzeba wypłakać trochę łez, zupełnie jak przy obieraniu cebuli.

Pomińmy opis pierwszych wrażeń. Setki osób goszczących w Szwajcarii już opisały to **zamknięcie, wścibskość połączoną z nieufnością i poczucie wyższości wobec nacji, których dochód na mieszkańca zbyt rażąco odstaje od helweckich wyników.** Szybko i bezboleśnie przeskoczmy do głębszej warstwy. Jak się żyje Szwajcarom i wśród Szwajcarów? Żyje się **spokojnie, serdecznie, dostatnio,**

bezpiecznie i z poczuciem troski ze strony bliźnich. Tak, to są moje odczucia zamieszkiwania wśród Szwajcarów od kilku lat. Po etapie podejrzliwego podglądania i unikania bliższego kontaktu, szwajcarska społeczność zaprosiła naszą rodzinę do wspólnego życia. Ile trwało zanim obrzydliwa warstwa izolacji została zdarta? Precyzyjnie 12 miesięcy! Włączenie do wspólnego życia ze szwajcarskimi sąsiadami to był gest pociągający za sobą natychmiastowe konsekwencje.

“- Potrzebujesz po południu mojego samochodu? Weź go, ja nigdzie się dzisiaj nie wybieram.”

“- Muszę odbyć dłuższą rozmowę telefoniczną z lekarzem czy mogę Ci na ten czas zostawić mojego czteroletniego synka?”

“- Macie gości z Polski? Przecież nie ma sensu, abyście ich nocowali na materacu w dużym pokoju. My będziemy na urlopie. Skorzystajcie

z naszej sypialni.”

“- W sobotę chciałam pojechać do Ikei, po meble. Czy moglibyśmy się zamienić samochodami, bo przydałby się Wasz minivan. Do mojego auto nie wejdą kartony.”

Powyższe cytaty to autentyczne wypowiedzi naszych sąsiadów. Mieszkamy na osiedlu, gdzie jest kilkanaście dwupiętrowych budynków wielorodzinnych. Sąsiedzi to rodziny z dziećmi, które łączy wspólne podwórko i duży garaż podziemny. Poza pojedynczymi obcokrajowcami i kilkoma małżeństwami mieszanymi, przeważająca większość to rodowici Szwajcarzy.

Tutaj, w centralnej części Szwajcarii, **więzy lokalne (z ludźmi z tej samej miejscowości i z sąsiedztwa) stanowią najważniejszy element kontaktów międzyludzkich.**

Na sąsiada można liczyć i sąsiad może liczyć na mnie, o każdej porze dnia. To jest tutejszy niepisany żelazny kodeks. Przysługi mają

rozmaity charakter, ale mimo tych lat spędzonych wśród Szwajcarów wciąż mnie zaskakują poziomem altruizmu. Przed kilkoma tygodniami wracaliśmy z Polski samolotem do Bazylei (ok. 100 km od naszej wioski). Przylot był późnym wieczorem. Postanowiliśmy jechać do domu pociągiem. Przed wyjazdem musieliśmy asertywnie wytłumaczyć sąsiadowi, że to kiepski pomysł, aby on jechał po nas swoim autem na lotnisko. Dla niego było oczywiste, że taka przysługa może się nam przydać. Dodam, że jest to z zawodu lekarz i na brak zajęć bynajmniej nie narzeka. Przy okazji tego samego wyjazdu inna sąsiadka uznała, że nie ma sensu, abyśmy szli z walizkami na dworzec (ok. 10 minut spaceru) i odwiozła nas do pociągu.

Drogi Czytelniku, możesz uznać, że także w Polsce zdarzają się uczynni sąsiedzi i nie ma co robić z tej historii sensacji. Zatem moglibyśmy wyjść poza sąsiedzkie podwórko i pomówić o

szkole, o sposobie decydowania o lokalnych planach, o relacjach mieszkańców z przedstawicielami lokalnych władz itd. Pozostawmy sobie te tematy na osobny tekst.

21 stycznia 2008

57. **“Powrót” - program polskiego rządu**

Na stronach Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej znalazłem informację, że ruszył program “Powrót”:

Celem programu jest utworzenie jak najlepszych warunków powrotu dla osób, które w ostatnich latach, ze względów ekonomicznych, zdecydowały się na wyjazd z Polski do bardziej rozwiniętych krajów Unii Europejskiej.

Ogłoszono, że utworzono w tym celu m.in. stronę: <http://www.powroty.gov.pl/>

Mój entuzjazm ostudziła wizyta na stronie internetowej programu. Głównym tematem na

stronie o powrotach jest tekst “Ułatwienia w dostępie do austriackiego rynku pracy”! Dlaczego na www.POWROTY.gov.pl jest o wyjazdach, a nie o powrotach?! Szybko zrozumiałem na czym polega zabawa w powroty. Otóż jest to ta sama strona co <http://www.MIGRACJE.gov.pl/> lecz otwiera się też jako “powroty”.

Szukałem czy jest coś o ułatwieniach w przesiedleniu, a szczególnie w sprawach związanych z wysłaniem dzieci do szkoły w Polsce. I nic! Nie dałem za wygraną i przeczytałem [dokument PDF](#) opisujący założenia programu. Wreszcie tam znalazłem garść informacji o edukacji. Dosłownie garść, bo jedyne co rząd planuje zrobić w tym kierunku to uczyć języka polskiego dzieci za granicą. To ważne, ale chodzi o “powrót”. Zaś po powrocie powinno chodzić o integrację w polskiej szkole, tak przynajmniej mi się wydawało jak sobie pomyślałem czego

potrzebuje wracająca rodzina. Lubię działać konstruktywnie, więc nie ograniczam się do krytycznego wpisu w niniejszym blogu i - korzystając z formularza kontaktowego na stronie powroty.gov.pl - przekazałem swoje uwagi autorom programu "Powrót":

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem założenia programu "Powrót". Od ośmiu lat (wraz z trójką dzieci) mieszkamy w Szwajcarii i rozważamy powrót do Polski. Niestety nie ma w programie "Powrót" nic o działaniach w celu integracji uczniów, którzy przybywają do kraju z innego systemu szkolnego. Działania MEN mają się (w ramach programu) koncentrować na nauce języka polskiego za granicą. Moim zdaniem to niewystarczający kierunek działania. Uważam, że brakuje informacji dla nas (rodziców) i dla polskich podstawówek (i gimnazjów) na temat tego jak uczeń z zachodniej szkoły dostanie wsparcie w integracji z polskim programem szkolnym.

Polska szkoła jest inna nie tylko w zakresie wymagań programowych, ale także w sposobie nauki (m.in. nacisk na pamięciowe opanowanie materiału). Moim zdaniem zagraniczny uczeń i polski nauczyciel potrzebują wsparcia w pierwszym roku edukacji w Polsce.

Będę wdzięczny za informacje jakie działania są podejmowane w tym kierunku.

Poinformuję Was czy mój komentarz spotka się z jakimś odzewem urzędników, którym na sercu leży nasz powrót do Polski.

26 stycznia 2008

58. Polska widziana ze Szwajcarii

Jak widzimy Polskę z perspektywy naszych okazjonalnych wyjazdów na Święta czy na urlop? Pomyślałem, że warto Wam przybliżyć te obserwacje. Wynikają one z porównania życia w Szwajcarii i w Polsce. Pewno osoby z USA, Irlandii, Wielkiej Brytanii czy RFN podkreślałyby inne aspekty życia.

Zacznijmy od jaśniejszej strony. W Polsce można niemal wszystko naprawić i zwykle za niewygórowaną cenę. Myślę, że ma to związek z tymi dziesiątkami lat, gdy grzebanie się w domowych starociach i przywracanie ich do życia było jedynym wyjściem. Ja tych polskich naprawiaczy bardzo lubię. Szwajcaria wydaje się być pogrążona w cywilizacji produktów jednorazowego użytku. Naprawianie ekspresu do kawy czy żelazka często mija się z celem. Zwykle koszty naprawy są porównywalne z wartością urządzenia. Co więcej, za samo oszacowanie kosztów naprawy trzeba zwykle zapłacić kilkadziesiąt franków (które w przypadku zlecenia naprawy są anulowane, ale jeśli chcemy się tylko zorientować czy opłaci się naprawa to zapłacimy za “ekspertyzę”).

Innym miłym aspektem polskiego życia jest - u przyzwoitych lekarzy - przewaga zdrowego rozsądku nad schematycznym i biernym

podejściem do rozwiązywania problemów. Począwszy od lekarzy rodzinnych, aż po stomatologów. W tym kontekście przytoczę opowieść o kilkuletniej dziewczynce, która bała się dentysty, więc skutecznie organizowała awantury, które przerastały każdego szwajcarskiego dentystę. Mówili:”Skoro dziecko nie chce to lepiej zostawić, aby nie miało psychicznego urazu do dentysty.” Po kilku nieudanych podejściach szwajcarski stomatolog zaproponował , żeby zrobić plombę pod znieczuleniem ogólnym. Harda dziewczynka skutecznie grała dentystom na nosie! Polsce trafiła kosa na kamień. Dentysta widząc, że dziecko urządza awanturę, powiedział, że nie ma wyjścia, bo ząb będzie wyleczony tego samego dnia i ona nie wyjdzie z przychodni dopóki nie skończą z zębem. Jednak nic nie będziemy robili na siłę i ona sama musi dać sobie założyć plombę. Tata ma jechać do domu, a ona sama posiedzi w

poczekalni i jak się zdecyduje to dzwoniemy po tatę i robimy zęba. Wizja samotnego siedzenia w poczekalni i świadomość, że leczenie jest nieuniknione zrobiły swoje. Dziewczynka poprosiła, żeby tata nigdzie nie jechał, bo ona od razu da sobie zrobić zęba. No i dentysta założył jej plombę! Oj jak mi brakuje takich lekarzy w Szwajcarii!

Jednak bardzo ciekawe podsumowanie polskich obserwacji znalazłem spisane przez użytkownika andrzej na stronie <http://forum.polacy.ch>. Zamiast silić się na swoje sformułowania przytoczę dokładnie to co on napisał, bo większość z tych stwierdzeń jest bardzo bliska temu co sam widzę :

- 1. Wszyscy gdzieś pedza począwszy od porannego wyjścia po bulke z kefirem skończywszy na powrocie do domu z pracy. - az zacząłem sie zastanawiac co ze mna jest nie tak? Dlaczego mi sie nigdzie niespieszy ?*
- 2. Jazda samochodem to przeżycie samo w*

sobie . Pierwszego dnia mojego pobytu zatrzymałem sie aby przepuscic pieszych i gdyby nie refleks pieszych (widac trening) to zostaliby rozjechani przez samochod ,ktory chcial mnie wyminac !!! Od tego momentu powiedzialem sobie “o nie ” zadengo przepuszczania pieszych jeszcze ktos przez ze mnie zginie . Smile

3. poranna jazda samochodem w korkach to tak negatywnie laduje ludzi ,ze wlasciwa od samego pocztaku dzien jest stracony a potem ten powrot do domu i nic dziwnego ze zupa wydaje sie byc przesolona .

4. Chec posiadania - wiekszosc moich znajomych zajeta jest gromadzeniem dobr - nowe mieszkanie , samochod , TV 70 calowy itp . I wlasciwie wszyscy tylko sie napedzaja . (ale moze ja mam tylko takich znajomych)

5. Dynamizm - w tym tempie zycia jest jakas radosc , energia wlasciwie jakby pracujace serce bylo na zewnatrz organizmu. To jest

bardzo imponujące. “Moja” wioska Zurych to jakby stała w miejscu.

6. Balagan i brud - kiedyś mi to zupełnie nie przeszkadzało Smile

7. Odpolitycznienie - moje pokolenie trzydziestoalkow olalo politykow i nie interesuje ich kto był TW i czy kolejny “układ” wykryto . Trochę się wstydzą gdy widzą takich nowych szefów NBP ale przywykli i zlewają to . W sumie słusznie , jak ktoś przytomnie powiedział - za dziesięć lat moherów będzie mniej to zaczną się coś zmieniać na plus.

8. Usługi i pracowitość - poza problemem z terminowością to właściwie można wszystko a nie że nie da się , nie w tym tygodniu itd.

Dlatego Polska daleko zajdzie .

9. Można narzekać na szwajcarską wstrzeźliwość ale polska ostentacyjną nierzyzliwość czy to w urzędach na przystanku w tramwaju naprawdę może być dołująca.

02 lutego 2008

<http://blog.swojak.info>

59. Miejsce stałego zamieszkania.

Ktoś mnie ostatnio zapytał jak to jest z tym polskim meldunkiem i miejscem stałego zamieszkania po powrocie z zagranicy w świetle mienia przesiedleńczego i rejestracji samochodu. Podam tutaj informacje, które przekazałem tamtej osobie, bo mogą się okazać przydatne dla innych reemigrantów.

Sprawa meldunku to jest duży temat. Właśnie jestem w jego trakcie.

Na szczęście mam dostęp do dość dobrych interpretacji prawnych i znam jednego czy dwóch prawników, więc już trochę o tym wiem. Zatem, Polskę od roku 2004 obowiązuje Rozporządzenie Rady Europy (EWG) Nr 918/83 z dnia 28 marca 1983 r. ustanawiające wspólnotowy system zwolnień celnych. Jest tam mowa o “normal place of residence”, co zostało w Polsce przetłumaczone jako “miejsce zamieszkania”, a dosłownie oznacza “zwykłe miejsce zamieszkania”. Ze znanych mi

interpretacji prawnych **należy rozumieć miejsce, które stanowi miejsce normalnego życia osoby przesiedlającej się, miejsce, gdzie koncentrują się jej sprawy życiowe.**

Meldunek lub jego brak nie jest tu decydującym czynnikiem, bo w tych przepisach pojęcie meldunku nie występuje.

Tutaj zaczynają się przepychanki interpretacyjne i sam jestem ich przedmiotem. Bowiem mimo, iż “stały meldunek” nie jest pojęciem, które ma tu zastosowanie to urzędnicy ułatwiają sobie życie i wymuszają interpretację opartą o meldunek na pobyt stały. Nie ma to uzasadnienia ani w literze prawa, ani w wyrokach sądu najwyższego.

Tylko, że na odpowiedź obywatela, który kwestionuje decyzję urzędnika, urząd ma (zgodnie z KPA) miesiąc. Zaś nas, jako osoby przesiedlające mienie, gonią terminy wymagane przez prawo celne. Koniec końców możemy wykazać swoją rację, ale i tak musimy

zrealizować czynności według interpretacji urzędników.

Praktycznie cała sprawa sprowadza się do obowiązku wykazania przez obywatela, że miejsce do którego się sprowadza, jest miejscem, gdzie będzie on przebywał z zamiarem stałego pobytu. Takie wykazanie nie musi mieć nic wspólnego z meldunkiem.

Jak już pisałem pojęcie “meldunek na pobyt stały” nie występuje nigdzie w przepisach regulujących sprawy celne, ani sprawy mienia przesiedleńczego. Zresztą także w polskim prawie o ruchu drogowym (mówiącym o rejestracji samochodów) nie mówi się o meldunku, lecz o miejscu zamieszkania (siedzibie).

Tyle teorii, teraz praktyka.

Rozmawiałem z urzędniczką w wydziale komunikacji właściwym dla mojego nowego miejsca zamieszkania w Polsce (pod Warszawą). Wg jej interpretacji, skoro mam

meldunek na pobyt stały poza jej powiatem to mam robić rejestrację tam, gdzie mam meldunek stały (czyli w miejscowości moich rodziców odległej 300km), bo jest domniemanie, że tam mieszkam na stałe. Po przeanalizowaniu sytuacji doszedłem do wniosku, że nie mam czasu zaskarżyć interpretacji tej urzędniczki. Zatem jako wyjście z sytuacji podpisałem wniosek o wymeldowanie mnie z pobytu stałego w miejscowości moich rodziców. Zdaniem prawników, którzy interpretowali odnośnie przepisy, przebywanie w danym miejscu ponad 2 miesiące bez meldunku stałego jest wykroczeniem, lecz nie ma wpływu na określanie miejsca stałego zamieszkania w rozumieniu kodeksu cywilnego. Inaczej mówiąc, od właściciela mojego mieszkania pod Warszawą zależy czy zamelduje mnie na pobyt czasowy czy na pobyt stały. Jeśli będzie to pobyt stały to urzędnicy

bez szemrania dokonają odprawy i rejestracji mojego auta. Jeśli będzie to meldunek czasowy to będę musiał wykazać, że w miejscu, gdzie zamieszkałem przebywam z zamiarem stałego zamieszkania oraz ewentualnie po 2 miesiącach zapłacić mandat za niedopełnienie obowiązku meldunku na pobyt stały. Wykazanie, że przebywam tam z zamiarem stałego pobytu powinno być wykonalne, bo tam mam wynajęte mieszkanie, tam będę prowadził działalność gospodarczą, tam moje dzieci idą do szkoły i tam mam działkę budowlaną, gdzie planuję budowę swojego domu.

30 maja 2008

60. Polski cyrk meldunkowy c.d.

Stali czytelnicy wiedzą, że jestem w trakcie przygotowań do przeprowadzki do Polski. Wybraliśmy już firmę przeprowadzkową i otrzymałem od niej listę dokumentów, które mam przygotować do przesiedlenia.

Wśród sześciu pozycji pojawiła się także taka: “fotokopia dowodu osobistego (strona ze zdjęciem i stałym zameldowaniem w Polsce)”. Zadzwoiłem do tej, skądinąd sympatycznej, firmy i poinformowałem, że nie mam stałego meldunku w Polsce, lecz to nie powinno być problemem, bo przepisy celne nie mówią o meldunku tylko o miejscu zamieszkania. Oj, ależ się nasłuchałem. Dowiedziałem się, iż bez stałego meldunku Urząd Celny nie odprawi mojego mienia, zatrzyma ciężarówkę z moimi rzeczami, każe mi płacić podatek VAT od wszystkiego co przywiozłem, będę musiał zapłacić depozyt celny oraz będę musiał zapłacić firmie przeprowadzkowej pieniądze za to, że ich ciężarówka zostanie przetrzymana w Urzędzie Celnym kilka dni, aż moja sprawa się wyjaśni. Skąd te wszystkie katorżnicze pomysły? Otóż zdaniem pewnego siebie eksperta tej firmy, Urząd Celny zawsze wymaga meldunku stałego i nie ma na to rady.

Można wprawdzie zaskarżyć ich decyzję, ale wcześniej trzeba ponieść wszystkie powyższe koszty. Brzmi to jak dobry koszmar. Zebrałem siły i przedstawiłem na piśmie i wysłałem do tej firmy mój punkt widzenia:

... Wybór Waszej firmy był dość oczywistym posunięciem po tym jak mój przyjaciel rekomendował, że jego przeprowadzkę zrobiliście po mistrzowsku (dosłownie tak napisał).

Mamy do rozwiązania sprawę miejsca zamieszkania. Jak Pani wie interpretacja jaka wynika z Waszej praktyki z urzędami celnymi w sprawie rozumienia zapisu o “miejscu zamieszkania”, “zwykłym miejscu zamieszkania” oraz “pobytu stałego” odbiega od dość solidnej analizy prawnej jaką dysponuję.

Rozumiem Wasze pragmatyczne podejście, które podpowiada, że zameldowanie na pobyt stały jest jedynym pewnym sposobem

udowodnienia miejsca pobytu stałego. Zgodnie z moją wiedzą takie rozumowanie jest niezgodne z obowiązującym prawem, bowiem meldunek jest tylko jednym z kilku dopuszczalnych sposobów udowodnienia miejsca zamieszkania w Polsce.

Jeśli moja interpretacja prawa jest dla Was wątpliwa to odsyłam także do podręcznika celnego opublikowanego przez Ministerstwo Finansów jest tam poniższe stwierdzenie:

“Osoba przesiedlająca się powinna udowodnić, iż będzie posiadała miejsce zwykłego zamieszkiwania w Polsce przedkładając takie dokumenty, jak np. karta czasowego pobytu, bądź dokument potwierdzający zameldowanie w kraju, umowa o pracę, umowa najmu mieszkania, itp. dokumenty, świadczące o wyborze miejsca zamieszkania w Polsce.”

W moim przypadku umowa najmu mieszkania jest wystarczającym dokumentem,

udowadniającym moje zwykłe miejsce zamieszkania w Polsce.

Jako, że Polski Podręcznik Celny nie jest prawnie wiążącym źródłem prawa, więc celem uniknięcia nieporozumień uprzejmie sugeruję weryfikację Waszych informacji i ewentualne zwrócenie się z pismem do Ministerstwa Finansów o weryfikację Waszych informacji i potwierdzenie czy ta informacja z podręcznika celnego jest aktualna. Podręcznik jest dostępny na stronach Służby Celnej:

<http://bip.mofnet.gov.pl/index.php?const=2>

Natomiast utraciły moc przepisy wykonawcze do ustawy z dnia 9 stycznia 1997 r. - Kodeks celny - a w nich faktycznie był jednoznaczny wymóg przedstawienia dowodu osobistego z meldunkiem stałym w Polsce.

Tak jak dosadnie dzisiaj powiedziałem Państwu zawężona interpretacja przepisów nie powinna utrudniać mojego przesiedlenia.

Reasumując, chcę powiedzieć, że doceniam

Waszą troskę i wiem, że Wasz wymóg meldunku ma na celu szybkie i bezproblemowe dokonanie odprawy mojego mienia.

Tak jak uzgodniłem z Panem X, za kilka dni dam Wam znać czy będę dokonywał odprawy celnej bez meldunku stałego, czy też z meldunkiem stałym.

Mam nadzieję, że moja nieustępliwość i dociekliwość nie zniechęca Państwa do naszej współpracy i serdecznych kontaktów. ...

Nie chcę zdawać się jedynie na aktywność firmy przeprowadzkowej. Zatem wysłałem również e-mail do Informacji Celnej:

Uprzejmie proszę o informacje na temat sposobu określenia pobytu stałego po przesiedleniu się do Polski ze Szwajcarii jakiego będę dokonywał na potrzeby Urzędu Celnego. Jestem Polakiem i po kilku latach zamieszkania w Szwajcarii chcę się przesiedlić do Polski. W Polsce zamieszkać w wynajętym mieszkaniu w miejscowości, gdzie kilka lat

temu kupiłem działkę budowlaną.

Po przeczytaniu aktualnych przepisów obowiązujących w Polsce wnoszę, że muszę wykazać, iż będę przebywał w tej miejscowości z zamiarem stałego pobytu. Wynająłem tam mieszkanie i w przyszłym roku chcę budować w tej miejscowości dom. Nie posiadam stałego meldunku w Polsce, lecz jak rozumiem Urząd Celny odwołuje się do definicji miejsca zamieszkania w kodeksie cywilnym, a meldunek nie jest warunkiem definicji miejsca stałego zamieszkania w polskim prawie.

Czy na potrzeby zwolnienia mojego mienia z opłat celnych i z podatku VAT wystarczy moje pisemne oświadczenie, że przebywam w tej miejscowości z zamiarem stałego pobytu?

Przypuszczam, że sporo osób wracających z długoletniego pobytu za granicą zadaje sobie podobne pytanie i chyba macie Państwo jasną wykładnię tej sytuacji. Będę wdzięczny za jej przesłanie e-mailem.

Do sytuacji podchodzę stosunkowo spokojnie, bo w razie czego tym czy innym sposobem zorganizuję sobie stały meldunek w okolicach Warszawy. Lecz jak wiem, jest dość powszechną sytuacją, gdy wynajmując mieszkanie właściciel nawet nie chce słyszeć o obowiązku zameldowania na pobyt stały (co z tego, że jest ustawa i obowiązek, jak właściciel mówi “nie” to nie ma meldunku stałego i sprawa jest zamknięta).

Zatem co mają robić ludzie, którzy wracają z zagranicy i chcą się osiedlić w Polsce, a nie mają swojego lokum? Rząd może elegancko umyć ręce i powiedzieć, że wystarczy udowodnić swoje miejsce zamieszkania, meldunek nie jest jedynym sposobem, aby to zrobić. Tyle teoria, a praktyka jest taka jak w przytoczonym na wstępie dialogu z pracownikiem firmy przeprowadzkowej: “Meldunek musi być i koniec! “.

Oczywiście poinformuję Was o dalszym

rozwoju wypadków.

04 czerwca 2008

61. Lewy półprofil.

Czas wyrobić nowy dowód osobisty, a do dowodu potrzeba zdjęcia. Dowód będzie ładny, plastikowy i niezniszczalny. Super i światowo! Tylko po co polski rząd upiera się przy komplikowaniu życia obywatelom wymaganiami dziwacznej fotografii lewego półprofilu? Słyszałem teorię, że lewy półprofil jest bardzo charakterystyczny i lepiej identyfikuje posiadacza dokumentu. Tylko, że tego wynalazku sowieckich naukowców nie podziela reszta świata. Po niemal dwudziestu latach od wyjazdu Sowietów z Polski my wciąż wysyłamy obywatela do fotografa z informacją, że fotografia powinna zawierać lewy półprofil z widocznym lewym uchem.

Drogi Ministrze Spraw Wewnętrznych i Administracji, skończmy z komplikowaniem

ludziom życia! Skoro w przypadku paszportów wymagamy taki sam standard zdjęć jak kraje zachodnie to może czas przypomnieć sobie o dowodach osobistych?

20 czerwca 2008

62. Jest metro, ale nie ma biletów.

Zacznijmy od zagadki: czym się różni Polska od Szwajcarii? Tym, że w Szwajcarii nawet zawiłe sprawy znajdują proste rozwiązania, a w Polsce nawet najprostsza sprawa znajduje skomplikowane rozwiązanie. W tym kontekście podzielę się swoimi obserwacjami z warszawskiego metra. Stołeczne metro znam od jego otwarcia – w latach dziewięćdziesiątych dojeżdżałem jego ograniczoną linią do biura na Ursynowie. Od tego czasu metro dotarło na Bielany w północnej części miasta. Jest to doskonałe remedium na zakorkowany ruch uliczny. Odkąd pamiętam, metro jeździło sprawnie. Stacje wyglądają podobnie jak przed

laty, lecz o ile dobrze pamiętam to w ubiegłej dekadzie nie było jeszcze bramek blokujących wejście na stację gapowiczom.

W tym tygodniu miałem przyjemność znowu skorzystać z warszawskiego metra. Jako, że w ostatnich latach zwiedziłem kilkanaście metropolii, gdzie korzystałem z metra- od Seulu i Szanghaju poprzez Kuala Lumpur i Kijów, aż po Londyn - nie sądziłem, że polska wersja podziemnej kolejki będzie mnie w stanie dezorientować.

Jednak nie doceniłem niefrasobliwości szefów Zakładu Transportu Miejskiego (ZTM). Okazuje się, że na Bielanach nie sposób wejść do metra po godzinie 19:00, mimo że wagony kursują do późnej nocy. Na stacji Słodowiec nie ma automatu, ani punktu sprzedaży biletów. Podobno tak samo jest na innych stacjach. Widziałem na stacjach jakieś wynalazki w postaci automatów do doładowywania kart miejskich, widziałem bankomaty, ale nie

widziałem ani jednego automatu do sprzedaży biletów!

Wiem, że polską specjalnością jest sprzedaż biletów w kioskach ruchu. W budynku kilkadziesiąt metrów od stacji znalazłem okienko z napisem „Ruch”, ale był to już dawno zlikwidowany kiosk. Zatem w sąsiednim sklepie poprosiłem o radę. Usłyszałem, że po 19:00 to w zasadzie nie ma szansy kupić biletu, bo wszelkie okoliczne kioski są zamykane przed tą godziną. Zatem wybrałem się na wędrowkę w poszukiwaniu najbliższego czynnego kiosku. Po przejściu ponad kilometra znalazłem takowy na Marymoncie. Wprawdzie nie było tam już zwykłych biletów po dwa złote, więc kupiłem droższe i mogłem wejść do metra.

Jak moi warszawscy krewni usłyszeli, że łąziłem po mieście w poszukiwaniu biletu to powiedzieli, że tu tak jest i oni się tym nie przejmują tylko (wcześnie rano lub późnym

wieczorem) przeskakują bramkę wejściową, a potem jadą bez biletu.

Warszawskie metro nie jest najwidoczniej zaprojektowane dla turystów ani przygodnych pasażerów. Osoby posiadające bilety okresowe nie mają problemu z wejściem na stację o dowolnej godzinie. Zaś takie ofiary bezmyślności ZTM jak ja, niech szukając sobie biletu, albo jadą na gapę. W końcu to nie jest problem szefów ZTM, ani pewno mają bezpłatne przejazdy i nie muszą się martwić o jednorazowe bilety.

Wyślę ten komentarz do ZTM, Pani Prezydent Gronkiewicz-Waltz oraz do Stołecznej Gazety i zobaczymy czy ktoś z nich słyszał o planach wpisania Warszawy do księgi rekordów Guinnessa jako jedynej światowej stolicy, gdzie nie można wejść do kursującego metra po zakończeniu sprzedaży gazet w kioskach ruchu.

26 czerwca 2008

63. Umzug czyli polska przeprowadzka w Szwajcarii.

Ciężarówka z naszymi rzeczami już wyjechała ze Szwajcarii. Za nią pomknęła jeszcze półciężarówka z tym co się nie zmieściło w kontenerze. Podobno każda przeprowadzka to historia sama w sobie. Także nasza na szwajcarskim etapie miała swoje przygody.

Firma przeprowadzkowa przysłała do Szwajcarii podwykonawcę, który miał zapakować nasze rzeczy. Spodobało mi się to rozwiązanie bo mieliśmy polską ekipę, której szef ma też być przy rozpakowywaniu pod Warszawą. Pakowanie szło dobrze i sprawnie. Były jakieś drobne zadrapania na parkiecie. Zwróciłem uwagę, iż za wszelkie szkody trzeba będzie zapłacić właścicielowi mieszkania i potem pakowacze byli bardzo ostrożni. Wprawdzie ich szef sarkastycznie skomentował, że ściany są ważniejsze niż ich poobijane palce, ale muszę przyznać, że

niczego więcej nie zniszczyli.

Po pracy w piątek i w sobotę większość dobytku była już w kartonach, wcześniej wywieźliśmy dzieci na wakacje do Polski, a żona i ja zamieszkaliśmy w sąsiedztwie, w mieszkaniu naszych przyjaciół, którzy byli na urlopie.

W sobotę ekipa skończyła pracę około 17:00, a my z żoną zarezerwowaliśmy stolik w restauracji, aby w spokoju odsapnąć po intensywnym dniu. Już wychodziliśmy z mieszkania, gdy przybiegła sąsiadka z wiadomością, że po osiedlu chodzą jacyś Polacy, którzy nas pilnie szukają. Przed blokiem zobaczyłem dwóch mężczyzn i od razu wiedziałem, że to “nasi”. Obydwaj ubrani w podkoszulki bez rękawów, szorty, a na nogach japonki. To byli kierowcy ciężarówki, która teoretycznie miała dojechać w poniedziałek. Panowie z entuzjazmem oznajmili, że przyspieszyli swój przyjazd i są gotowi do

pakowania. Młodszy z kierowców - Pan M. - którego wyróżniało zamiłowanie do złota (łańcuszek z medalikiem, bransoletka i sygnet) zaczął opowiadać o korkach na trasie. Wtedy zobaczyłem, że brakuje mu kilku zębów w przedniej części szczęki. Złoto i zęby były dość istotnym szczegółem tej historii, bo nazajutrz w ekipie pakującej wywiązała się dyskusja dlaczego Pan M. kupuje złoto zamiast wydać te pieniądze na porcelanowe zęby.

Lecz w sobotni wieczór zęby Pana M. zeszły na drugi plan, bo głównym tematem było pakowanie ciężarówki. Przesunęliśmy rezerwację w restauracji, wsadziłem kierowców do naszego auta i pojechaliśmy do hotelu na spotkanie z szefem pakowaczy. Na spotkanie przyszedł szef: Pan A. oraz jego pomocnik Pan Ł.. Obydwaj to niezwykle ciepłi i sympatyczni ludzie. Lecz ich krótko obcięte włosy, solidna budowa ciała i tatuaże Pana A. przyciągały uwagę Szwajcarów. Zatem po naszym wejściu

do restauracji hotelowej zapadła cisza, a goście przy innych stolikach mniej lub bardziej dyskretnie przyglądali się nam, czyli pięciu facetom i kobiecie, którzy dość głośno rozmawiali w jakimś wschodnioeuropejskim języku. Na twarzach kelnerek pojawiły się zmarszczki napięcia i zaniepokojonym wzrokiem patrzyły na starszego kelnera, który też wyglądał na poddenerwowanego. Jako jedyny mężczyzna z obsługi poczuł się zobowiązany stawienia czoła dziwnym gościom. Jako pierwszy odezwał się do niego Pan A. prosząc po angielsku o piwo, potem moja żona odezwała się po niemiecku i zamówiła typowo szwajcarski napój Rivella. Usłyszawszy język niemiecki i nazwę lokalnego specjału kelner poczuł się pewniej i dopytał, którą Rivellę ma podać. Żona wybrała zieloną, a ja czerwoną. Trochę rozładowało to przyciężką atmosferę i zaczęliśmy uzgadniać szczegóły przeprowadzki. Nie tylko

kierowcom, ale też pakowaczom było na rękę szybsze skończenie roboty, więc umówili się na załadunek w niedzielę. Trzeba się było jeszcze upewnić jak duża jest ciężarówka. Zdaniem kierowców kontener był po prostu “duży”. Może 60, a może 80 metrów sześciennych. Nazajutrz wraz z Panem A. zmierzaliśmy pakę. Miała 51 m³ pojemności. To było mało jak na nasz dobytek szacowany na ok. 50 m³ - bo przecież potrzeba trochę zapasu na niewymiarowe przedmioty. Koniec końców, w niedzielę wieczorem zobaczyliśmy, że zostało trochę półek, fotel, jakieś sprzęty ogrodowe i rower - wszystkie te pozostałości pojechały do Polski samochodem pakowaczy.

Lecz nim samochody wyruszyły do Polski mieliśmy jeszcze przygodę z policją. W niedzielne południe zajechał na osiedle radiowóz i stanął na osiedlowej uliczce tam, gdzie parkowała nasza ciężarówka. Widok kierowców i pakowaczy chyba zaniepokoił

policjantów, bo obywatel położyli dłonie na kolbach pistoletów. Wyjaśniłem, że to przeprowadzka mojego mienia do Polski. Po sprawdzeniu moich dokumentów, spokojnie pospisywali obydwie samochody i wszystkich pracujących przy przeprowadzce. Uśmiechając się łamali sobie języki próbując czytać polskie nazwiska, a potem dopytali o harmonogram przeprowadzki. Jak powiedziałem policjantom, że kierowcy planowali wieczorem jechać na granicę to ci się mocno zdziwili. Bowiem - czego kierowcy nie wiedzieli - w niedzielę obowiązuje bezwzględny zakaz ruchu ciężarówek. Wyjaśnili też, że zostali wezwani przez kogoś z sąsiedztwa, komu przeszkadzało, że ciężarówka zajechała na osiedle w niedzielę mimo ogólnego zakazu. Skończyło się na upomnieniu kierowcy. Musieliśmy niezwłocznie przestawić ciężarówkę na parking poza osiedlem i tam przeładowywać paczki z małej ciężarówki na dużą. Gdy odjechała

policja, jeden z kierowców oznajmił, że on to się w ogóle nie martwi policją, bo i tak nie rozumie co do niego gadają. Zaś jak mu wlepią mandat to jego szef zapłaci.

Wieczorem podpisaliśmy wszelkie dokumenty i przekazali kierowcom. Teraz trzymamy kciuki, aby dokumenty nie zginęły po drodze. Nasz niepokój jest poniekąd uzasadniony, bo kierowca oznajmił z rozbijającą szczerością, że niedawno przewoził ze Szwajcarii Toyotę Yaris i po drodze zgubił dowód rejestracyjny, który “gdzieś się zawieruszył przy odprawie na granicy”.

14 lipca 2008

64. Celnicy, TP SA i działalność gospodarcza.

Mija pierwszy tydzień naszego mieszkania w Polsce. Zdaniem mojej znajomej T., która kilka razy przeprowadzała się pomiędzy kontynentami są trzy etapy reemigracji:

1. radość, że znowu jesteśmy w swoim ukochanym kraju
2. frustracja, że wiele rzeczy nie jest taka jak sobie wymarzyliśmy
3. akceptacja tego co zastaliśmy i życie jak u siebie

Podobno pierwsze dwa etapy to zwykle w sumie kilka miesięcy, a nie więcej niż rok. Ja jestem niewątpliwie na etapie radości z przybycia do Polski. Nawet kilka długich godzin w urzędach celnych wspominam z sympatią, jestem podbudowany założeniem nam telefonu w ciągu jednego dnia i nie straszne mi kilka tygodni czekania na uruchomienie mojej działalności gospodarczej.

Sprawa, którą miałem załatwić u celników wydawała się prosta i szybka. Nasłuchawszy się opowieści o urzędach celnych przygotowałem się na cały dzień zmagania. Miałem rację. Rozpocząłem około dziewiątej rano, a skończyłem około czwartej po południu.

Chodziło o odprawę celną samochodu przywiezionego ze Szwajcarii jako mienie przesiedlenia.

Zgłosiłem się do urzędu celnego właściwego ze względu na moje miejsce zamieszkania. Po kilku godzinach uzupełniania brakujących dokumentów i wycieczek pomiędzy agencją celną, a urzędnikami usłyszałem, że oni nie chcą sobie zawracać głowy moją sprawą. Kazali mi jechać do urzędu celnego przy ulicy F., bo tam odprawiała moje meble i resztę dobytku firma przeprowadzkowa, więc niech tam załatwią także mój samochód. Ulica F. jest ok. 30 km od miejsca, gdzie usiłowałem odprawić samochód. Wiedziałem już od ludzi z agencji celnej, że z kierownikiem urzędu lepiej nie przeciągać struny i skoro on mnie wysyła na F. to lepiej jechać na F. i kropka. Sprawa rozbiła się o moje niedoinformowanie. Wyjeżdżałem ze Szwajcarii z druczkami Eur1 oraz 11.030 podstemplowanymi przez

szwajcarskiego celnika, który kategorycznie twierdził, iż mam jechać prosto do Polski i niczego nie potrzebuję od celników austriackich. Niestety mylił się. Potrzebowałem dokument tranzytowy T1, który mieli podbić Austriacy. Kierownik mojego lokalnego urzędu celnego zgodził się na odprawę bez tego dokumentu, ale jak się zorientował, że firma przeprowadzkowa nie oddała mi innego druku (dokument SAD), gdzie były szczegóły odprawy mebli to już stracił do mnie cierpliwość. Pracownik firmy przeprowadzkowej dowiózł mi dokument w ciągu godziny, ale to nie zmieniło sytuacji. Kierownik bezapelacyjnie pozbył się mojej sprawy, a pracownik agencji celnej przyjaźnie powiedział, że to piątek, a piątki to najgorsze dni na odprawę, bo urzędnicy chcą spokoju przed weekendem. Odparłem, że mam także urlop w poniedziałek. “Oj, poniedziałki to też są kiepskie. Najlepiej jeździć na cło między

wtorkiem, a czwartkiem.”

Nie zraziły mnie te rady i ok. godziny 14:00 zjawiłem się w urzędzie celnym przy ulicy F. Urzędnicy uznali, że mam od razu rozmawiać z kierownikiem to jest piątek po południu, więc oni nie wiedzą czy zająć się moją sprawą. Koniec końców kierownik wyraził zgodę na rejestrację sprawy, ale uprzedził, że odprawa może się skończyć w poniedziałek. W ciągu godziny urzędnicy porzucili formalny ton. Zaczęli dopytywać mnie o Szwajcarię. Plotkowaliśmy o alpejskim życiu. Po jakimś czasie dołączył do nas rozchmurzony kierownik, a odprawa mojego samochodu przebiegła na marginesie naszych pogaduszek. Dostałem wszelkie wymagane pieczątki i formularze. Moje auto było już legalnym użytkownikiem polskich dróg (tzn. czekał mnie jeszcze przegląd i rejestracja).

O TP SA napiszę krótko: bardzo miłe zaskoczenie. Spotkanie z technikiem umówiłem

telefonicznie kilka tygodni wcześniej. Facet przyszedł na czas, sprawdził linię, poprosił moją małżonkę o podpisanie umowy i po kilku minutach telefon był czynny!

Działalność gospodarcza to dłuższa historia. Mam za sobą dopiero jej absolutny początek: złożyłem wniosek w gminie. Wkrótce napiszę o dalszych etapach.

Być może czekacie też na podsumowanie pracy naszej firmy przeprowadzkowej? Nasze mieszkanie jeszcze jest pełne pudeł, więc z wnioskami poczekam do momentu, gdy ogłosimy oficjalny koniec przeprowadzki.

31 lipca 2008

65. Twarde życie, twarde obyczaje.

Po przeprowadzce do Szwajcarii początkowo raziła mnie uprzejmość Szwajcarów. Wydawało się, że jest ona nadmierna, cukierkowa i powierzchowna. Jednak po kilku latach to

wszechobecne “proszę”, “przepraszam”, “czy byłby Pan uprzejmy mi powiedzieć...” stało się dla mnie zupełnie naturalnym elementem codzienności. Każda sprzedawczyni obowiązkowo witała mnie pozdrowieniem “Grüezi”. Niektóre robiły to ze spontanicznym uśmiechem, inne w dość wymuszony i formalny sposób, ale zawsze nawiązywały kontakt wzrokowy i dodawały ludzki pierwiastek to zakupów.

Teraz przechodzę ścieżkę kulturową w przeciwnym kierunku. Widzę, że w wielu przypadkach w Polsce to na kliencie spoczywa obowiązek przełamania napiętej atmosfery jaką na powitanie funduje pochmurny sprzedawca. “Zamykamy drzwi!” - wykrzyknął w moim kierunku warszawski recepcjonista w warsztacie samochodowym Nissana. “Nie blokujcie przejścia do innych stolików!” - wypaliła do nas nadmorska kelnerka w pizzerii bez cienia zwrotu grzecznościowego na

powitanie. Obydwoje to młodzi ludzie, kilkanaście lat młodsi ode mnie - są oni żywym dowodem na to, iż mylili się publicyści piszący w latach dziewięćdziesiątych, że potrzeba, by wymarło pokolenie wychowane w komunizmie, a wtedy polskie obyczaje znormalnieją.

14 sierpnia 2008

66. Usługa przeprowadzkowa.

Po miesiącu od rozpakowania ciężarówki przed naszym domem możemy uznać, że przeprowadzka jest już za nami.

Po przybyciu pod nasz dom pod Warszawą firma przeprowadzkowa miała stosunkowo niewiele do zrobienia (w porównaniu z tym co robili w Szwajcarii). Bowiem rozpakowywanie pudeł wzięliśmy na siebie, zaś oni pownosili kartony i skręcili meble. Przeprowadzkę robiła ponoć jedna z lepszych firm przeprowadzkowych. Jeśli to prawda to jak podły musi być standard tych firm z dolnej

półki?!

Jak już wcześniej pisałem, w Szwajcarii pakowali nas ludzie podnajęci przez firmę przeprowadzkową. Przyjechali z Poznania i w sumie solidnie zrobili swój kawałek przedsięwzięcia. To był fajny kawałek naszego przedsięwzięcia przeprowadzkowego. Tutaj relacjonuję ostatni etap prac. Zobaczyłem, że do rozpakowywania pod Warszawą przysłano facetów, którzy wyglądali jakby nie mieli najmniejszego doświadczenia w przeprowadzkach. Nie wiem jak się odbyło wnoszenie paczek do mieszkania, bo nie było mnie przy tym. Pojawiłem się nazajutrz, gdy miało nastąpić rozpakowanie. Wyglądało to jakby przyjechało trzech amatorów i jeden zawodowiec. Ten profesjonalista to Pan K. Od wielu lat pracował on w branży przeprowadzkowej, miał porządne narzędzia połączone z wolą pracy. Lecz na mój gust miał on więcej talentu do przeprowadzki

niż do kierowania swoimi nieszczęsnymi podwładnymi.

Piątym pracownikiem był Pan A., który był u nas w Szwajcarii i tutaj pojawił się, aby pomóc w przypadku wątpliwości. Faktycznie były wątpliwości, lecz zostały rozwiane dopiero kilka dni, a niektóre kilka tygodni po przeprowadzce.

Na przykład na biurku córki nie było półki, bo zawieruszyły się śruby. Pan A. nakazał poszukiwania w kartonach oznaczonych imieniem mojej córki. Trzej nieszczęśnicy wrócili z informacją, że wszystko sprawdzili, ale śrub nigdzie nie ma. Zostawiliśmy ten temat w spokoju, a nazajutrz sam znalazłem zawiniątko ze śrubami na wierzchu pierwszego kartonu przy drzwiach do pokoju córki. Natomiast w dużym pokoju brakowało klamek od szaf. Pan A. był przekonany, że klamki zostały przyklejone gdzieś do mebli. Poszukiwania zakończyły się klęską. Trzy

tygodnie później żona odkryła klamki wśród swoich skarpet.

Muszę przyznać, że patrząc na nieskładną pracę tej ekipy miałem ochotę pozbyć się ich jak najszybciej. Nic nie zapowiadało, aby z tych trzech straceńców można było wykrzesać motywację do pracy albo kompetencje do jej wykonania.

Zatem poprosiłem, aby powiesili ubrania w szafach i by na tym zakończyli rozpaczliwą misję rozpakowywania. Po jakimś czasie oznajmili, że pudła typu “wardrobe” są rozpakowane. Podziękowałem i z ulgą pożegnałem ten obraz pracowniczej nędzy. Później zauważyłem, że rozpakowali tylko połowę wieszaków. Co więcej, wieszali mieszając ubrania męskie z damskimi.

Czyżby porządni pracownicy opuścili Polskę i na lokalnym rynku pracy pozostały jakieś niedobitki?

Z niniejszego tekstu wyłania się obraz trzech

nieszczęśników, których przerastała praca przy przeprowadzce. Nie chcę zwałać winy na tych trzech przypadkowych młodzieńców. Bowiem moim zdaniem odpowiedzialność spada na osoby, które przyjęły ich do pracy. Może kierownicy firmy byli przyparci do muru brakiem ludzi i wzięli robotników “z łapanki”, albo może sami reprezentowali równie niski poziom kompetencji.

Lecz - jak już wspomniałem - Pan K. był niewątpliwie kompetentny w dziedzinie przeprowadzek. Sprawiał wrażenie solidnego faceta. Brał się do roboty i dobrze ją wykonywał. W zasadzie trzech amatorów było dla niego tylko niepotrzebnym balastem. On chyba nawet szczególnie nie miał ochoty z nimi pracować. Nawet nie zadał sobie wysiłku, aby nauczyć się ich imion i zwracał się do nich bezosobowo typu “Ty, zawołaj z góry tego drugiego”. W którymś momencie zdałem sobie sprawę, że on nie wie czy ma do pomocy trzech

czy czterech ludzi. Zatem oddaję mu należny szacunek za solidność pracy, lecz moim zdaniem wpakowanie go w rolę kierowniczą to nieporozumienie.

Na szczęście etap współpracy z tą znaną i renomowaną firmą przeprowadzkową mam już za sobą.

Ujmując sprawę faktograficznie, mogę skonkludować, że to co miało być przewiezione zostało przewiezione. Nie zanotowaliśmy żadnych poważniejszych strat. Czyli bilans jest pozytywny. Lecz jak pomyślę, że za taką radosną twórczość mój pracodawca zapłacił około 27'000 PLN za przewiezenie moich 60m³ to dochodzę do wniosku, że była to bardzo droga usługa o przeciętnej jakości.

17 sierpnia 2008

67. Jedno okienko Tuska.

Ktoś ze znajomych przysłuchiwał się moim opowieściom o rejestracji działalności

gospodarczej i szyderczo skomentował, że kiepsko wygląda to “jedno okienko Tuska”. Nie wiem dokładnie kiedy i w jaki sposób Premier mówił o uproszczeniu rejestracji. Lecz coś takiego chyba padło, bo kilka osób w podobny sposób reagowało.

Faktycznie rozpoczęcie samozatrudnienia jest trochę skomplikowane. Na szczęście moja pani księgowa przygotowała listę spraw do załatwienia, więc wiedziałem co robić.

Po około trzech tygodniach od pierwszej wizyty w urzędzie gminy jestem “samozatrudniony”.

Pierwszy krok to była rejestracja w gminie.

Etap dość prosty, wymagał wypisania formularza zgłoszeniowego i wpłacenia do kasy 100 złotych.

Lecz jako, że każda przyszła zmiana wpisu to koszt 50 złotych, więc znajoma doradziła mi, abym wypisał wszelkie kategorie w jakich jest szansa na potencjalne realizowanie moich usług. Nie lubię niepotrzebnie wydawać

pieniędzy więc z klasyfikacji GUS wybierałem tak perspektywicznie aż doszedłem do 38 podkategorii!

Skoro tyle wybrałem to musiałem je żmudnie przepisać na druk zgłoszenia.

Po niespełna tygodniu otrzymałem potwierdzenie rejestracji i pojechałem z nim do Urzędu Statystycznego. Teoretycznie ten krok mogła za mnie załatwić gmina, ale wtedy okres rejestracji wydłużyłby się z tygodnia do miesiąca. Wolałem to załatwić osobiście. Dobrze zrobiłem, bo trwa obecnie jakieś zamieszanie związane z nowymi i starymi kategoriami GUS. Klient wpisuje do formularza tylko nową kategorię, a urzędniczka dopisuje także stary odpowiednik. Toteż do mojej kategorii usług związanych z informatyką przypisała “produkcję komputerów”. Jako, że z produkcji komputerów nie będę żył to poprosiłem o znalezienie innej starej kategorii. Pani przestała być miła i z wyraźnie

niezadowoloną miną poszła drukować skorygowany dokument. Był to jedyny zgrzyt w bezbolesnym procesie początków samozatrudnienia.

Po załatwieniu GUSu zrobiłem sobie urlop i pojechałem nad Bałtyk. Przed wyjazdem wszedłem na stronę mBanku i złożyłem wniosek o otwarcie konta firmowego - załatwienie u nich konta miało trwać kilka dni. Tuż po tygodniowym urlopie spotkałem się z kurierem, który przywiózł mi umowę z bankiem. Umowa była konieczna, aby odwiedzić urząd skarbowy. Tam zgłosiłem, że będę prowadził działalność, płacił VAT, założę książkę przychodów i będę odprowadzał do państwa 19% podatek liniowy. W sumie to trzy formularze w dwóch okienkach i opłata za zgłoszenie VAT 170 złotych.

Potem czekała mnie już tylko wizyta w ZUS. Tutaj miałem do wypełnienia trzy druki pełne numerów i rubryk. Jako, że zgłaszałem całą

pięcioosobową rodzinę, więc wyszło tego sporo.

Na tym zakończyłem ścieżkę rejestracyjną. Potrzebowałem na to ok. dwóch dni łożenia po urzędach i 270 złotych opłat oraz trzech tygodni jakie upłynęły od złożenia pierwszych papierów w gminie do wizyty w ZUSie.

Ogólne wrażenie mam dobre. Zawdzięczam to w dużej mierze mojej księgowej dzięki, której dokładnie wiedziałem, gdzie mam załatwiać jakie sprawy. Po drodze spotykałem nieszczęśników, którzy nie wiedzieli co, jak i po co mają wypełnić.

Z ogólnych obserwacji powiem, że zaskoczyło mnie, iż większość urzędniczek, z którymi miałem do czynienia to młodziutkie panie. Z moich poprzednich działalności gospodarczych pamiętałem raczej sporo starsze ode mnie pracownice. Po chwili zreflektowałem się, że poprzednio załatwiałem takie sprawy kilkanaście lat temu i wtedy nawet

trzydziestolatka mogła mi się wydawać kobietą w poważnym wieku. Zaś obecnie, gdy blisko mi do czterdziestki, to nietrudno widzieć wokół masę młodych osób. Nawet te trzydziestolatki gotów jestem uznać za dziewczyny. Zmienił mi się punkt odniesienia, a ja jakoś zignorowałem upływ czasu.

Przypomina mi to historię z dzieciństwa, gdy ojciec wracał z pracy i mówił co tam zrobiły jego koleżanki. Np. oznajmiał, że “dziewczyny przyniosły do biura ciasto”. Znałem te panie z biura taty i to absolutnie nie były dziewczyny! To były zaniedbane panie w średnim wieku. Tak je postrzegałem swoimi chłopięcymi oczętami. Dzisiaj podobnie reagują nasze dzieci, gdy żona mówi o spotkaniu z “dziewczynami ze studiów”. Czyli pozostajemy na zawsze młodzi, tylko dzieci nam za szybko dorośleją!

Może jak już całkiem wydorosłeją to zobaczą prawdziwe “jedno okienko Tuska”, z którego

moi rówieśnicy sobie na razie żartują.

20 sierpnia 2008

68. Szwajcarskie impresje.

Przyjechałem na kilka dni do Szwajcarii. Po raz pierwszy od kilku lat jestem tu gościem. Fajnie być ponownie w miejscach, gdzie spędziłem osiem lat. Z domu przywiozłem listę zakupów. Są tam drobiazgi, które kupuję i zabieram do Polski: ser do fondue, batoniki z otrębami Farmers, gorzkie czekolady, cukierki trochę podobne do karmelowych toffi, odplamiacz do ubrań oraz naklejka na samochód z herbem kantonu.

Miałem też ochotę na dwa dania, które są zupełnie nieszwajcarskie, ale w Polsce są zwykle przyrządzane w kiepski sposób: pizza oraz sałatka (czyli to co w polskich knajpach figuruje pod nazwą “zestaw surówek”).

W centrum wioski jest pizzeria prowadzona

przez Włocha i tam w menu jest kilkanaście rodzajów pizzy z normalnymi składnikami jakich oczekuję od pizzy. Bo ostatnio w polskiej pizzerii przebijałem się przez listę pizzy z pieczarkami, mięsem mielonym oraz pizzy z kebabem! Nie było ani jednej pizzy z rukolą, ani z szynką parmeńską. Inną historią są surówki. W Szwajcarii gdziekolwiek poproszę o surówkę, czy to z zielonej sałaty, czy to mieszaną to zawsze dostaję miskę apetycznych warzyw.

W Polsce już się poddałem. Nawet nie zamawiam sałatki cesarskiej po tym jak ostatnio składniki pływały w sosie nalany okropnym nadmiarze.

Zatem pierwszy szwajcarski wieczór spędziłem zjadając się pizzą z szynką i rukolą. Drugiego wieczora jadłem w restauracji hotelowej i tam rozpocząłem od wyśmienitej surówki. Potem jako główne danie miałem tatar. Moje

podniebienie dużo lepiej czuje się z polską odmianą tataru : takiego z ograniczoną liczbą składników, gdzie dominuje surowe jajko, odrobina posiekanych ogórków kiszonych i cebuli. W Szwajcarii dostałem tataru, gdzie mięso było wymieszane z sosem pomidorowo-oliwkowym. Do tego tosty. Teraz już wiem, że wolę tataru bez sosu pomidorowego. Przy okazji nadmienię, że przed paroma miesiącami ze zdziwieniem odkryłem jak popularny jest tatar w Brukseli. Belgowie jedzą go podobnie jak Polacy nie udziwniając smaku przecierem pomidorowym. Natomiast jedzą swojego tataru bezwarunkowo z frytkami! Mimo, że frytki jadam tylko okazjonalnie to ze smakiem pożarłem belgijską kombinację tatarską.

Podczas pobytu w Szwajcarii dowiedziałem się, że mam uczestniczyć w ślubie kolegi. Miałem w walizce jedynie dżinsy i koszulki polo. Kolega jest Włochem, zaś jak wiedzą Ci, którzy

mają wokół siebie Włochów, dżinsy są uznane za ubranie nieprzystające do żadnej poważniejszej imprezy. Korzystając z faktu, że czwartek jest jedynym dniem, gdy sklepy są wciąż otwarte po 19:00 pojechałem do Lucerny. W ciągu godziny byłem ubrany za równowartość 300 złotych - u ludzie mówią, że Szwajcaria to drogi kraj! Przyznam, że prawie wszystkie kupione produkty pochodziły z końcówki letniej wyprzedaży, czyli były sprzedawane z rabatem 25%-50%.

Aby nie być gołosłownym podam Wam szczegółowe ceny (w przeliczeniu na złotówki):

1. Buty skórzane Bata 60 zł
 2. Spodnie bawełniane Avant Premiere Manor 40 zł
 3. Pasek do spodni 40 zł
 4. Koszula Vinci Manor 40 zł
 5. Krawat C&A 40 zł
 6. Marynarka Iniana Angelo Litrico C&A 80 zł
- Zatem byłem ubrany od stóp do głowy w

ubrania, których z pewnością nie powstydzę się na imprezie. Nie policzyłem skarpet i bielizny. Dodajmy na nie 50 złotych co da nam w sumie 350 złotych. Nie liczę tu paska do zegarka, bo to można było go pominąć i nie zakładać zegarka na uroczystość. Ja jednak chciałem iść z zegarkiem, więc za 60 złotych kupiłem pasek w kolorze butów i paska do spodni, bo nie wyobrażałem sobie iść na ślub z kauczukowym paskiem.

Jak się chwile zastanowię i przypomnę sklepy i ceny jakie widziałem w Polsce to stwierdzam, że za 350 złotych mógłbym się ubrać w hipermarkecie lub na bazarku. W obydwu przypadkach uznałbym, że kupiłem ubrania jednorazowe, które po pierwszym praniu przeznaczę na szmaty.

Kupienie ubrań porównywalnych z tym co właśnie nabyłem to w Warszawie kilkakrotnie wyższy wydatek. Po kilku tygodniach w Polsce widzę, że porządne ubrania są nieprzyzwoicie

drogie w tym dość ubogim kraju. Już nawet nie chce mi się zadawać pytania dlaczego taniej ubiorę się w Szwajcarii niż w Polsce. Bo przecież w Polsce “tak dobre rzeczy muszą tyle kosztować” oraz “jak Pana nie stać to tu za rogiem jest butik z trochę tańszymi ubraniami”. Zatem drodzy rodacy, polecam zakupy w mitycznie drogiej Szwajcarii. To prawda, że Szwajcaria jest droga (np. w porównaniu z USA), ale Polska jest jeszcze droższa!

25 sierpnia 2008

69. Radio.

Lubię słuchać radia: w domu, w samochodzie czy nawet przez słuchawki telefonu komórkowego, gdy jestem poza domem. Mam tak od dawna i dobrze mi z tym.

Po przyjeździe do Polski przeszukałem stacje, które łapało moje samochodowe radio. Sporo tego jest. Lecz niewiele gra taką muzykę, którą mogę dłużej słuchać bez potrzeby zmiany na

inną stację. Dobrym wyjątkiem jest Radio Jazz. Mogę ich z przyjemnością słuchać przez kilkadziesiąt minut w drodze do pracy. Fajnie brzmią też Radio Złote Przeboje i Radio Kolor. Lecz w podwarszawskim mieszkaniu udało mi się złapać tylko RMF, Jedynkę i Trójkę. Kilka lat temu nie miałbym najmniejszych wątpliwości. Prawie bez przerwy słuchałbym Trójki, a czasem zmieniał na RMF. Jedynkę odpuściłbym sobie na dobre jako radio dla emerytów. Lecz w 2008 sprawa wygląda zupełnie inaczej. To właśnie publiczna Jedynka jest stacją, przy której jako tako funkcjonuję. Trójka zwykle gra jakąś tak uduchowioną muzykę, że nie potrafię jej słuchać. Zaś RMF od radia, które uznawałem za popularną rozgłośnię z muzyką dla całej rodziny, przeszło do czegoś co chyba ma trafiać do nastolatków lub ich odrobinę starszych kolegów. Ja się nie nadaję na słuchacza RMF FM. Którejś soboty rano chwilę posłuchałem radia i

po przeskoczeniu tych trzech stacji poddałem się.

Włączyłem komputer, wszedłem na stronę www.radiopilatus.ch i wybrałem link “Online Hören”. Nareszcie z głośników popłynęła muzyka, przy której mogłem się spokojnie krzątać po domu (nie notowałem tego sam - już po wysłuchaniu skopiowałem ze strony rozgłośni):

9:22 Celine Dion - Tout L'or Des Hommes

9:25 Bryan Adams - I Thought I've Seen Everything

9:30 Paul Simon - You Can Call Me Al

9:33 Jennifer Lopez - Que Hiciste

9:39 Counting Crows - Big Yellow Taxi

9:42 Desree – Life

9:48 James Blunt - Carry You Home

9:52 Stacie Orrico - I Could Be The One

9:56 Janet Jackson - That's The Way Love Goes

Nie wierzyłem, że nie ma rozgłośni, której mógłbym słuchać.

Pojechałem do supermarketu elektronicznego Saturn, kupiłem antenę ze wzmacniaczem i po kilku ewolucjach z jej ustawianiem mogłem już złapać Jazz i Złote Przeboje.

Dodam, że skutecznie izoluję się od większości audycji słownych. Po kilku podejściach już wiem, że słuchanie programów publicystycznych to strata mojego czasu i ładowanie się negatywnymi emocjami. Ponoć media są produktem rynkowym jak każdy inny i serwują to na co jest zapotrzebowanie. Widać, że w Polsce jest wielkie zapotrzebowanie na złe wiadomości, na krytykę i samobioczowanie. W fotel wbiła mnie sprawa olimpiady. Nie interesowałem się igrzyskami i nie oglądałem transmisji. W Szwajcarii jeden ze znajomych (nie-Polak) poinformował mnie, że jesteśmy w pierwszej dwudziestce krajów medalowych i obydwaj uznaliśmy, że to całkiem niezła pozycja. Po przyjeździe do Polski usłyszałem, że jest jakaś ogólnonarodowa debata i szukanie

winnych polskiej klęski w Pekinie. Cóż, jak ktoś lubi się martwić to znajdzie sobie powód do trosk.

Wracając z pracy włączyłem na chwilę radiową Jedynekę. Trwała tam wymiana zdań o podziale bolesnej odpowiedzialności za “Pekin” pomiędzy działaczy, sportowców i władze państwa. Dziennikarka prowadząca audycję zakończyła entuzjastycznym stwierdzeniem “Może nie warto się tak martwić igrzyskami, jest tyle innych spraw, którymi powinniśmy się martwić w Polsce”. Moim zdaniem to podsumowało podejście do rzeczywistości jakie słyszę w większości rozgłośni. Wydaje się, iż polski słuchacz wstaje rano, włącza radio i zadaje sobie pytanie: czym będziemy się dzisiaj martwić?!

Dziennikarze w pocie czoła wyszukują wszelkich śladów nieszczęść w naszym otoczeniu, a potem dumnie donoszą: “Skandal w Brukseli! Brakło jednego krzesła przy stole

obrad.” Jak to usłyszałem, iż z takiej bzdury robi się “news” to skutecznie przestałem słuchać wszelkich wiadomości.

Mimo, że nic nie łączy mnie z Kościołem to czasem trafiam na fajne programy w katolickim Radiu Puls Józef - na przykład kiedyś z przyjemnością trafiłem na uroczą wieczorną audycję o Aleksandrze Dumas. Prowadzący program opowiadali o Dumas z pasją i masą anegdot. Program był przeplatany fajną muzyką. To był piękny wyjątek na mapie medialnego gładzenia.

Podsumowując powiem, że widziałem na Ziemi wiele miejsc, gdzie ludziom żyje się niewyobrażalnie gorzej niż w Polsce. Lecz tyko w Polsce słyszę o tym, że ludzie żyją w najpodlejszym, najbiedniejszym, najbardziej skorumpowanym, nieprzyjaznym, brzydkim i beznadziejnym miejscu na globie!

06 września 2008

70. Jestem, żyję, mam się dobrze.

Kochani Czytelnicy,
Uprzejmie Was informuję, że wciąż żyję i mam się całkiem dobrze. Jednak czuję nieubłagany brak wolnego czasu. Sporo się dzieje, lecz widzę, że serdeczność kruszy w wielu sytuacjach lody napięcia, poddenerwowania czy jesiennej depresji.

Odsetek malkontentów w Polsce zdecydowanie przewyższa to co obserwowałem w Szwajcarii i kilku innych miejscach na Ziemi. Skąd to się bierze? Bez względu na genezę obowiązującego w Stolicy narzekania widzę, że ze swoim optymizmem bywam traktowany jak stosunkowo niegroźny wariat. Zatem moje kontakty towarzyskie koncentruję na znajomych, którzy też potrafią cieszyć się tym, że mamy kolejny ciekawy dzień.

W tym tygodniu mija dwa miesiące od naszej

przeprowadzki do Polski. Dzieci mają już czwarty tydzień szkoły. Żona czwarty tydzień pracy. Syn poszedł do przedszkola. Rozpoczęliśmy robotę papierkową związaną z pozwoleniem na budowę.

Do usłyszenia!

25 września 2008

71. Słońce.

Po kilku dniach deszczu i chłodu mieliśmy piękny słoneczny dzień. Z radością konstatowałem, że piękny dzień jest głównym tematem rozmów. W radiu dziennikarze cieszyli się, że za oknem słońce. W biurze koledzy mówili o ładnym dniu. Jak miło słyszeć ludzi, którzy radują się z powodu codziennego, elementarnego zjawiska. Moim zdaniem umiejętność zwracania uwagi i cieszenia się z prostych codziennych rzeczy to miły objaw równowagi jaka zagościła w polskim życiu.

<http://blog.swojak.info>

25 września 2008

72. Komunikacyjne lamigłówki.

Dzień po dniu coraz bardziej czuję się w Polsce “u siebie”.

Ostatnio spotkałem się ze znajomymi, którzy wrócili ze Szwajcarii przed rokiem. Przez pierwsze miesiące mieszkania w Polsce mój kolega dużo podróżował. Stwierdził, że zderzenie z polską rzeczywistością przeżył dopiero w ostatnich dwóch miesiącach, gdy zmienił mu się charakter pracy. Zamiast w Paryżu spędza teraz więcej czasu w Warszawie, częściej bywa w sklepach i ma kontakt z ludźmi.

Cieężko to znosi. Ja też trochę podróżuję, więc może to moje zetknięcie z codziennością jest częściowe.

Jednak żyję w przekonaniu, że moje lądowanie w Polsce jest rzeczywiste, a poczucie osvajania rzeczywistości prawdziwe i ostateczne.

Nadal notuję swoich spostrzeżenia nim zatrze je pamięć.

Jest trochę drobiazgów, które można by usprawnić przy niewielkich nakładach. Chcę ustrzec się przed etykietką krytykanta.

Uważam, że życie wśród Polaków może być sympatyczne. Lecz tym bardziej chcę podkreślić to co razi i zniechęca.

Dzisiaj zastanawiałem się nad sprawą informacji. Wydaje mi się, że w Polsce jest to wyzwanie, które już w rozmaitych publikacjach wytykali obcokrajowcy zwiedzający nasz kraj. Chodzi głównie o informację wizualną na drogach, dworcach czy w biurach. Mimo coraz lepszych obwodnic, coraz czystszych przystanków oraz nowoczesnych biur wciąż widać kolosalne zacofanie w sferze informacji. Widzę to szczególnie wyraźnie, gdy przypominam sobie podejście do informacji w Szwajcarii. Tam nawet drobna zmiana w sytuacji drogowej powoduje ustawienie nowych

oznaczeń, dopasowanie pasów ruchu itp.

W Polsce widzę raz na jakiś czas akcje poprawiania rzeczywistości. Pamiętam jak wiele lat temu w Warszawie wprowadzono nowy system tablic informacyjnych z nazwami ulic i wyraźnymi numerami budynków. Potem miasto zastygło w przekonaniu, że sprawa informacji jest zamknięta.

Od tego czasu przybyło trochę dwupasmówek, mamy nowe wiadukty usprawniające ruch w mieście lecz pozostał bałaganiarski system oznaczania kierunków ruchu.

Warszawa jest naturalnym punktem tranzytowym dla podróżnych z wszelkich zakątków kraju. Miasto jest zatłoczone i pełne samochodów. Podobny obraz jest w wielu metropoliach. To naturalne, że trzeba jechać w skupieniu poszukując właściwego skrzyżowania lub zjazdu z obwodnicy. Warszawa dodatkowo funduje kierowcom komunikacyjną łamigłówkę.

Tutaj dwupasmówka nagle zmienia się w cztery pasy - dwa jadą w lewo, a dwa prosto - i trzeba z wyprzedzeniem zająć odpowiedni pas. Lecz próżno szukać o tym informacji na tablicach informacyjnych. Lokalni kierowcy wiedzą, jak jechać, zaś goście nie są najwyraźniej zmartwieniem zarządcy warszawskich dróg (vide: Aleje Jerozolimski od centrum tuż przy skrócie w Łopuszańska).

Innym wynalazkiem jest nagle dodanie dodatkowego pasa ruchu, który bez uprzedzenia kończy się po kilkuset metrach. Taki wykwit komunikacyjnej bezmyślności widziałem przy tych samych Alejach Jerozolimskich, lecz w przeciwnym kierunku na wysokości Leroi Merlin. Przy drodze stoi tablica informacyjna z trzema strzałkami skierowanymi do przodu. Faktycznie w tym miejscu dwupasmówka przechodzi w trzy pasy, ale za kilkaset metrów prawy pas nagle się kończy. Zatem po co tam ambitna tablica z trzema pasami? Być może w

przyszłości będzie tam dłuższy trzeci pas, a obecnie stoi tam optymistyczna tablica, bo od niej rozpoczęto budowę drogi? Kilka razy rano widziałem zamieszanie spowodowane taką organizacją ruchu. Zdarza się, że kierowcy sumiennie jadą w korku dwoma środkowymi pasami nie korzystając z kilkuset metrów prawego pasa. Nagle jeden kierowca chce być sprytniejszy od pozostałych, przeskakuje na prawy pas i pędzi kilkaset metrów, aby z przodu wbić się do ruchu. Natychmiast pojawia się kilkunastu naśladowców "spryciarza" i korek staje. Wtedy kierowcy ciężarówek wysyłają jednego ze swoich kolegów, aby blokował ślepy pas i pozwolił korkowi ruszyć do przodu. Zupełnie niepotrzebne zamieszanie spowodowane dziwołagiem informacyjnym. Do tego dochodzi problem informacji w autobusach, tramwajach i pociągach. Czasem są pojazdy z elektronicznym wyświetlaczem nazwy następnego przystanku. W niektórych

pociągach (chyba tylko wIC ?) obsługa zapowiada nazwę stacji przez głośniki. Lecz mimo, że pozostały tabor transportowy ma zainstalowane głośniki to nie ma zwyczaju, aby prowadzący pojazd zapowiadał nazwę następnego przystanku. Szczególnie jesienią i zimą, gdy wieczory są ciemne ciężko jest się zorientować jak daleko jesteśmy od celu. Pozostaje dopytywanie współpasażerów o najbliższy przystanek.

Myślę, że może to być nośny temat, gdy przygotowania do Euro2012 nabiorą większego tempa. Wtedy - mam nadzieję - Polacy zastanowią się jak przetrwać w polskich miastach polegając na informacja na drogach i w środkach komunikacji publicznej.

09 października 2008

73. [Swiss Army Girls.](#)

Polskie dziewczyny poruszają się z gracją. To był mój pierwszy wniosek jaki dzisiaj wpadł mi

do głowy po wylądowaniu w Zurychu. Czekając na pociąg włóczyłem się po galerii handlowej. Gapiłem się na ludzi. Lubię przyglądać się ludziom. W Szwajcarii mogę bez skrepowania patrzeć na przechodniów, a jak skrzyżuje się nasz wzrok to następuje rytualna wymiana serdecznych uśmiechów. Pamiętam jak kiedyś N., znajomy Szwajcar, powiedział mi, że to co go wkurza w jego narodzie to nachalne gapienie się na obcych. Nie wiem na ile krytyczna opinia N. jest podzielana przez jego rodaków. Chyba jednak lubią obserwować innych. Widać to wyraźnie w pociągach w niemieckojęzycznej Szwajcarii. Sporo ludzi czyta gazety, a drugie tyle obserwuje innych. Po kilku latach mieszkania w Alpach przestałem na to zwracać uwagę. Jak widzę utkwiony we mnie wzrok to odruchowo spoglądam na widza i uśmiecham się. Jak wiesz, drogi Czytelniku, w Polsce skrzyżowanie wzroku ze spojrzeniem

nieznajomego rzadko wiąże się z uśmiechem. Nie wiem jak jest w innych krajach europejskich, bo nie przywiązywałem do tego wagi. Natomiast w Azji (w każdym kraju, który odwiedziłem) w metrze i w sklepach prawie zawsze czuję badawcze spojrzenia lokalnych mieszkańców. Tam jest zupełnie inna sprawa, bo oni studiują moją dziwną fizjonomię. Jestem od nich wyższy, mam bladą twarz, jasne włosy i jakoś tak inaczej osadzone oczy. Mimo, że w miastach, które odwiedzam bywają Europejczycy to wciąż widać jest tam niezaspokojona potrzeba dokładnego zlustrowania wielkoluda z centralnej Europy. Konkludując mogę powiedzieć, wszędzie na Ziemi ktoś tam kogoś obserwuje, a po jego mózgu krążą badawcze lub zupełnie bezmyślne impulsy elektryczne. Byłem w tym samym “klubie oglądaczy” snując się wśród szwajcarskich sklepów. Chwilę patrzyłem na młode małżeństwo.

Mężczyzna niósł na rękach dziecko, a kobieta pchała wózek. Wyglądali na zadowolonych, rozmawiali energicznie, ich twarze były pogodne. On przystojny, ona zgrabna. Tylko ten jej chód; w Polsce kobiety tak nie chodzą. Ona szła jak facet. Takie ciężkie kroki praktycznie bez ruchu bioder. Straciłem ich z oczu jadąc w dół ruchomymi schodami. Właśnie zamyśliłem się nad tym jak chodzą dziewczyny w Polsce, gdy usłyszałem, że poniżej otwierają się drzwi łazienki. Wymaszerowała z nich młodziutka kobieta o typowo alpejskich kształtach (tzn. stosunkowo szczupły korpus i olbrzymie biodra). Miała na sobie spodnie w stylu militarnym i szła krokiem doskonale pasującym do stroju: stawiała szerokie kroki i posuwała się do przodu kiwając się z boku na bok. Pamiętam, że mieszkając od jakiegoś czasu w Szwajcarii poszedłem na niedzielny spacer. Na popularnym deptaku nad jeziorem chodziło sporo rodzin. Wtedy zwróciłem uwagę, że

kobiety w średnim wieku i starsze zwykle chodzą dość lekko i miło dla oka. Pozostałe, niemal bez wyjątku, stawiały ciężkie niezgrabne kroki. Potem przyzwyczałem się do tego zjawiska tak jak przyzwyczałem się do widoku Alp, do szarej jesieni i smaku raclette. Dopiero teraz po codziennym widoku ślicznych polskich dziewczyn zdałem sobie sprawę jak fatalnie chodzi przeciętna Szwajcarka. Mam nadzieję, że styl Swiss Army Girl nie zrobi kariery w naszych stronach. Swiss Army Knife? Bardzo chętnie! Swiss Army Watch? Od biedy może być. Ale uchronijcie nas od Swiss Army Girls!

27 października 2008

74. Starsza córka.

Starsza córka pojechała na dłuższy weekend do Szwajcarii. Tęskni za koleżankami, za znajomą okolicą i za szwajcarskim stylem życia. W piątek wieczorem żaliła się, że odlicza dni do

styczniowego wyjazdu do Szwajcarii i do spotkania z tamtejszymi przyjaciółkami. Dla podniesienia na duchu zaproponowałem jej natychmiastowy trzydniowy wypad do Helwecji. S. ma dopiero trzynaście lat i nigdy nie leciała samolotem bez opieki dorosłego. Wahala się czy skorzystać z okazji. Pobiegnęła do swojego pokoju, pogadała ze szwajcarską kumpelą przez MSN i wróciła z decyzją, że leci. Następnego dnia o tej samej porze była już w Bazylei, gdzie przenocowała u naszych przyjaciół, aby następnego dnia wyruszyć do swojej alpejskiej wioski. Jeszcze przed wylotem pogadaliśmy o tym co jej tak utrudnia aklimatyzację w Polsce. Rzecz jasna najważniejszy był brak starych przyjaciół. Lecz zwróciła też uwagę na różnice w stylu bycia młodzieży. Doskwiera jej to, że większość tutejszych rówieśników ma problemy z wymianą poglądów i akceptacją odmiennego zdania na poruszany temat.

Zdaniem S. młodzi Szwajcarzy za naturalne przyjmowali istnienie odmiennych opinii na rozmaite tematy. Wymieniali opinie, przekazywali swoje racje i częstokroć pozostawali przy swoich poglądach akceptując fakt innego zdania rozmówcy. Tutaj często za wszelką cenę ta czy inna koleżanka chce przekonać S. do swojej racji, a gdy S. obstaje przy swoim zdaniu to robi się z tego problem, koleżanka jest urażona i niejednokrotnie przechodzi do ataku personalnego zarzucając S. brak wiedzy lub naiwność. Muszę przyznać, że znam dorosłych, którzy mają podobny schemat działania. Na szczęście nie chodzę już do szkoły, więc mam sporą swobodę w wybieraniu z kim spędzam czas i kto jest moim dyskutantem. Z daleka omijam dogmatyków, którzy poznali już wszelkie zasady rządzące światem i wymagają przejęcia ich poglądów przez otoczenie. Podobnie jak moja córka uważam, że w Polsce dużo częściej trafiają się

ci co uważają, że jest jedna niepodważalna odpowiedź na każde pytanie. Potem S. skarżyła się, że ma problem z funkcjonowaniem wśród ludzi, którzy wyznają bardzo różne zasady moralne. Spotyka ludzi, którzy są uczciwi i prawdomówni. Tuż obok ma też takich, których większość słów to półprawdy lub fantazje. Oszukiwanie i brak szacunku do cudzej własności sąsiaduje z dobrocią i lojalnością. Ta mieszanka postaw moralnych powoduje u S. problemy ze zrozumieniem tego komu można ufać i czego oczekiwać od poszczególnych osób. Szwajcarskie społeczeństwo mimo swojego kolorytu religijno-etnicznego nie ma takich zawirowań. Tam większość ludzi żyje prostolinijnie. Wypowiedziane słowo ma moc zobowiązania. Jednostki kłamujące, oszukujące lub kradnące są marginalizowane jako nieprzystosowane do życia. S. zeszła też na temat ubrań i mody. Jej

zdaniem szwajcarska młodzież ma dużo więcej fantazji w komponowaniu stroju. Jej zdaniem mimo niemal chorobliwego wyczulenia na to kto jaki ciuch ubrał, jest też spora sztafpowość w stylu ubierania. Trudno mi komentować tą część osądu. Mało wiem na ten temat.

Ponoć jest też przepaść w stylu słuchanej muzyki. Tu jest techno i polski rap. Ale nie dopytywałem jakie są ulubione gatunki szwajcarskich trzynastolatek.

Zainteresowała mnie dalsza część wypowiedzi, gdy S. mówiła o relacjach międzyludzkich. W jej odczuciu Szwajcarzy bardziej sobie nawzajem ufają i są dla siebie mili. W Polsce S. postrzega ludzi jako sztywnych i w swej większości myślących negatywnie.

Widzę, że moje dziecko ciężko przeżywa pierwsze miesiące w Polsce. Ona patrzy na nasz kraj w zupełnie innej perspektywie niż ja. Ja żyłem tu 30 lat, a potem kilka lat w Szwajcarii. Ona większość swojego życia spędziła w

szwajcarskiej wiosce. Wiedziała, że jest Polką, a jednocześnie mocno wrosła w tamtejszą społeczność. Tutaj jest w obcym kraju. Zna język, zna historię, lecz tutejsi ludzie są dla niej odkryciem. Często niestety przykrym odkryciem.

Póki co S. uczęszcza do najbliższego publicznego gimnazjum. Lecz z tygodnia na tydzień jesteśmy coraz bliżej myśli, aby przenieść S. do prywatnej szkoły. Coś we mnie krzyczy przeciwko dzieleniu naszego społeczeństwa na tych co mają pieniądze i lepsze szkoły od tych co mają niskie dochody i dostają mniejsze szanse na normalny rozwój. Miałem nadzieję, że moje dzieci będą dorastać wśród rówieśników z najbliższego otoczenia obcując z wszelkimi możliwymi klasami społecznymi. Z bólem serca widzę, że tutejsze publiczne gimnazjum to zbieranina młodzieży, która uznaje, że Ci którym w głowie nauka powinni trzymać się z daleka od ich

towarzystwa. Ostatnio jeden z kolegów oznajmił S., że i tak ma szczęście, bo w jego poprzedniej szkole nie gadało się z takimi co chcieli się uczyć, a tutaj nawet rozmawiają z moją córką.

Pod koniec miesiąca ich koleżanka z klasy organizuje imprezę urodzinową. Po imprezie dziewczyny mogą spać u organizatorki spotkania. Spragnieni wrażeń będą szczęśliwi, bo z mamą organizatorki da się załatwić żeby na imprezie było trochę alkoholu. Mówimy o trzynastych urodzinach. S. patrzy na to i trudno jej to pojąć.

Ja patrzę na S. i trzymam kciuki za jej wytrwałość w życiu zgodnie ze sobą, ze swoimi marzeniami i z wolą ich realizacji. Zaczynam starania, aby od przyszłego semestru trafiła do innej szkoły.

12 listopada 2008

75. O dzieciach reemigrantów w Dzienniku.

Z radością odnotowuję, że Dziennik opublikował artykuł o sytuacji szkolnej dzieci powracających z zagranicy. W wersji papierowej publikacja ma wymowny tytuł: “Dziecko było w angielskiej szkole? To znaczy, że nie uczyło się wcale” Tekst jest też dostępny w sieci:

http://www.dziennik.pl/wydarzenia/article295224/Szkoly_nie_sa_gotowe_na_powrot_Polako_w_z_Wysp.html

Poza aspektem samochwalstwa (tj. są tam moje wypowiedzi oraz komentarz Joanny opublikowany na [blog.swojak.info](http://blog.swojak.info/?p=13#comment-71): <http://blog.swojak.info/?p=13#comment-71>), chcę zwrócić Waszą uwagę na słowa wiceministra Krzysztofa Stanowskiego: *“To dzieci o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Dlatego nowa ustawa o oświacie, która obecnie jest w Sejmie, przewiduje, że uczniowie*

wracający z emigracji mają prawo przez 12 miesięcy korzystać z dodatkowych zajęć wyrównawczych. Wspieramy także sieć polskich szkół za granicą” Pana Stanowskiego pamiętam z dawnych, studenckich czasów i wiem, że to porządny facet. (Pamiętam, że uczył mnie procedur dyskusji parlamentarnej w ramach szkoleń dla działaczy lokalnych.) Zatem liczę, że starczy mu sił i wsparcia, aby realizować program dla małych reemigrantów.

Rzecz jasna moje wypowiedzi zostały skrócone przez redaktor Klarę Klinger na potrzeby niewielkiego materiału prasowego. Zatem poniżej przedstawiam to co powiedziałem Dziennikowi zapytany w jaki sposób szkoły radzą sobie z problemami polskich dzieci, które wracają do kraju, i czy jest możliwość wprowadzenia jakichś systemowych rozwiązań.

Dzień dobry,

Chętnie podzielę się swoimi doświadczeniami i obserwacjami. Podczas naszych rodzinnych

rozmów o polskiej szkole dominują dwie sprawy:

- 1. niszczący kręgosłupy ciężar polskich tornistrów*
- 2. brak jakichkolwiek rozwiązań dla dzieci przybywających z innych krajów*

ad 1. Gdy zapytałem moje córki co jest głównym i najpilniejszym problemem w polskiej szkole, w porównaniu ze szwajcarską, to obie zgodnie wykrzyknęły: ciężki tornister! Moje córki nie mogą zrozumieć dlaczego w szkołach nie ma szafek, w których uczniowie mogliby zostawiać książki. One wiele rozumieją i są w stanie wiele zaakceptować mimo odczuwalnej przepaści cywilizacyjnej między Szwajcarią i Polską. Lecz codzienne wrzucanie na plecy wielu kilogramów makulatury uznają za jakiś dziki absurd, który nie ma racjonalnego wytłumaczenia.

ad 2. Zaś w temacie rozwiązań systemowych dla przybyszy z zagranicy do zrobienia jest

praktycznie wszystko od samych podstaw. W tej chwili nie ma nic, absolutnie nic, nawet załączka programu działań. Jak szkoły sobie radzą? Dyrektorzy improwizują na miarę swojej wyobraźni i chęci. Na improwizacji się zaczyna i na niej się kończy. Premier Tusk co kilka miesięcy ogłasza start programów dla reemigrantów, ale pod słowami i broszurkami brak działań. Wiedząc o kompletnym braku przygotowania polskiego systemu do przyjęcia moich dzieci wyręczyłem szkoły, kuratorium i ministra edukacji. Sam zorganizowałem program adaptacyjny dla swoich córek. Pół roku przed przyjazdem do Polski żona i ja pracowaliśmy z dziećmi korzystając z polskich podręczników. Chodziło głównie o historię i język polski. Następnie latem dziewczyny spędziły kilka tygodni zaprzyjaźnionego polonisty, który zorganizował im wakacyjny kurs języka polskiego. Czyli podjąłem dokładnie te działania, które mógłby

wprowadzić rząd jako program dla dzieci reemigrantów. Kilka miesięcy przed powrotem rodzice mogliby dostawać korespondencyjne materiały do przerobienia z dziećmi. Zaś po powrocie do kraju dzieci powinny być poddane specjalnym zajęciom adaptacyjno-edukacyjnym. Rozmawiałem z nauczycielami w podstawówkach i w gimnazjach. Nawet przy dobrych chęciach oni obecnie nie mają się gdzie zwrócić o pomoc w metodyce pracy z dziećmi z zagranicy. Ani kuratorium, ani ministerstwo nic im nie pomoże poza wskazaniem ustaw o uznaniu zagranicznych świadectw. To jest narastający problem. Poza powrotami z dziećmi nieznanymi polskiego mamy coraz więcej emigrantów przybywających do polski. W obydwu przypadkach chodzi w gruncie rzeczy o brak tego samego programu.

Mam nadzieję, że moje doświadczenia ubarwią Państwa materiał. Przeprowadzka i

aklimatyzacja kosztują moją rodzinę masę energii, sporo emocji. Potrzebujemy spokoju i niezakłóconej integracji w naszej lokalnej społeczności. Jak rozumiem ani wizerunek, ani imiona i nazwiska moich bliskich nie będą publikowane w ramach Państwa materiału. Pozdrawiam serdecznie, Łukasz Swojak

Potem dodałem jeszcze kilka zdań oto fragmenty tej drugiej wypowiedzi:

... Czy znam inne rodziny, które wrocily z zagranicy? Tak, znam. Czy miały problemy w szkole? Nie, nie miały, bo podobnie jak ja brały sprawy w swoje ręce. Jako odpowiedzialni rodzice nie mogli sobie pozwolić na problemy w edukacji dzieci. Gdy po rozpoznaniu sytuacji wywnioskowali, że nikt im nie pomoże, to sami pracowali z dziećmi i sami opłacali prywatnych nauczycieli. W zasadzie wystarczy rozmowa z nauczycielem w dowolnej szkole i zapytanie o szczegóły co zrobią z dzieckiem, które nie chodziło do polskiej szkoły. Zwykle słyszałem

odpowiedzi, że szkoła zapisze takie dzieci na zajęcia wyrównawcze. Dobrze, pytałem wtedy jaką metodą będą prowadzili zajęcia wyrównawcze. Odpowiedź? Nikt nie ma metody na dzieci z zagranicy. Wsadza się je do grup z nieukami, którzy chodzą na reedukację. Jak zagraniczne dziecko sobie poradzi to dobrze, jak sobie nie poradzi to przesuną do niższej klasy. Innymi słowy niewerbalny przekaz brzmi: "Drogi rodzicu rób do potrafisz, aby Twoje dziecko nie repetowało." Czyli pozostają prywatne korepetycje lub prywatne szkoły. Mnie na to stać. Stać na to moich znajomych. Lecz jest to skandaliczne podejście w obliczu rodziców, których pensja to zaledwie średnia krajowa. Nota bene, moja żona jest pedagogiem szkolnym i pracuje w wiejskiej szkole. Ona wie z pierwszej ręki, że brak programu jest równie bolesny dla nauczycieli co i dla rodziców. ...

11 stycznia 2009

76. Ferie w Szwajcarii.

Wczoraj w nocy dotarliśmy do Szwajcarii. Córki są szczęśliwe i zachwycają się drobiazgami, których nie dostrzegały, gdy tu mieszkały. Już nawet słyszałem okrzyki na cześć tutejszych sieci handlowych Migros i Coop 😊

18 stycznia 2009

77. Samochód, kurs franka, kredyty i morale mechaników.

Muszę zrobić poważniejszą naprawę samochodu. Będzie ona kosztować 1300 franków, co w przeliczeniu daje 3800 złotych. Gdyby ta sama reperacja przydarzyła się w ubiegłym roku to wychodziłoby 2690 złotych. Czyli obecnie płacę ponad tysiąc sto złotych więcej niż kilka miesięcy temu. Do ubiegłorocznej ceny dopłacam 40%!

Wiem, że podobne konstatacje padają w wielu polskich domach. Bynajmniej nie chodzi tu o

ekscentryków, którzy serwisują samochody w najdroższym kraju świata. Mam na myśli polskie rodziny, które zaciągnęły kredyt hipoteczny we frankach szwajcarskich. U nich wahania kursu franka przekładają się na gorzką codzienność.

Jeśli są to osoby, które zaciągały kredyt kilka lat temu, gdy frank był w okolicach 2,5 PLN, to pewno obecne zawirowania kursowe są dla nich przykre, ale do przeżycia. Serdecznie współczuję tym, którzy zaciągali kredyt w ubiegłym roku. Jeśli ich pensje są wypłacane w złotych, a skorzystali z kredytu we frankach przy rekordowo niskim kursie franka (ok. 2 PLN za 1 CHF) to mają problem.

Zawsze miałem trudności ze zrozumieniem tej ogromnej mody na kredyty we frankach. Rzesze polskich znajomych wyjaśniały mi, w racjonalny sposób, ogromne korzyści z kredytów we frankach. Ja jednak z uporem maniaka powtarzałem swój zachowawczy

pogląd, że wolę brać kredyt w walucie, w której otrzymuję wynagrodzenie.

Pewno czeka nas rok czy dwa kryzysu, potem sytuacja się unormuje. Patrząc na kursy walut w szerszej perspektywie warto wspomnieć, że gdy przeprowadzałem się z Polski do Szwajcarii (latem 2000 roku) frank kosztował 2,53 PLN, euro 3,95, a dolar 4,34. Gdy wracałem do Polski w 2008 frank był po 2,07 PLN, euro po 3,33, a dolar 2,26. Obecnie frank jest po 2,94, euro po 4,33, a dolar po 3,35.

Z mojej osobistej perspektywy kurs dolara traktuję jako ważną ciekawostkę, która ma tylko pośredni wpływ na mój budżet domowy. Interesuje mnie frank i euro. Frank jest istotny z racji naszych związków ze Szwajcarią; spędzamy tam sporo czasu i siłą rzeczy wydajemy tam pieniądze. Euro jest naszą podstawową walutą, bo moje wynagrodzenie jest wypłacane właśnie w euro.

Wracając do przytoczonej na wstępie naprawy

samochodu. Jako ciekawostkę powiem, że gdyby usługa miała miejsce tuż po moim przyjeździe do Szwajcarii w 2000 to w przeliczeniu kosztowałyby 3290 PLN, zaś gdyby awaria miała miejsce w połowie kwietnia 2004 to w naszej walucie byłoby to 4040 PLN.

Czas odpowiedzieć na podstawowe pytanie dlaczego serwisuję samochód w Szwajcarii. Tak lubię swoje auto i mam takie zaufanie do mechanika, który je zna, że oszczędności na serwisie odchodzą na dalszy plan.

Doświadczenia polskich kolegów pokazują, że są to pozorne oszczędności. Sama robocizna w Polsce jest dużo tańsza. Lecz dochodzi do tego koszt czasu jaki moi znajomi spędzają stojąc nad mechanikami, pilnując czy czynności serwisowe są faktycznie wykonywane oraz czy - przy okazji - z auta nie znikają oryginalne sprawne części. Zaś w sytuacji tych, którzy nie spędzają czasu na pilnowaniu mechaników

często kończyło się stratą czasu na reklamację rozmaitych dziwnych zjawisk, które wychodziły po przeglądzie. Trudno mi się powstrzymać od rzucania cienia na całe środowisko polskich mechaników samochodowych. Wiem, że są też porządni i uczciwi specjaliści od samochodów. Tylko podobno jest dużym wysiłkiem utrzymać swoją pryncypialność w zdegenerowanych, dużych stacjach serwisowych, zaś w małych warsztatach trudno o dostęp do pełnej informacji i doświadczenia z konkretną marką.

Kiedyś naprawiałem samochód w małym krakowskim warsztacie poleconym przez znajomego. Wymagana była wymiana łożyska przy jednym z kół. Naprawę wykonano sprawnie i dość tanio. Po kilku tygodniach od tej naprawy przy tym samym kole trzeba było wymienić instalację hamulcową, bo okazała się uszkodzona. Mechanik, który wymieniał łożysko narzekał, że było trudno i że sporo się

nasilił. Nie wiem czy podczas tych zapasów uszkodził hamulec, czy też był to czysty zbieg okoliczności. Lecz z tego co wiem nigdy wcześniej nie mieli doświadczenia z wymianą łożyska w aucie takim jak moje.

Dużo podróżuję. Często jeżdżę wraz z całą rodziną. Wielokrotnie przemierzamy szybkie niemieckie autostrady. Świadomość, że moje auto przeszło solidny przegląd i jest w dobrym stanie technicznym wydatnie pomaga mi w spokojnym podejściu do naszych wyjazdów.

22 stycznia 2009

78. Kochane brzydactwo.

Po dwóch tygodniach w Szwajcarii jechałem dzisiaj ulicami Warszawy i miałem mocne rozdwojenie emocji. Z jednej strony cieszyłem się, że znowu jestem wśród Polaków. Z drugiej krzywiłem się myśląc: “jak tu jest potwornie brzydko!”.

W tych wrażeniach zamyka się kwintesencja

mojego postrzegania Polski i Polaków. Po reemigracji napawam się polskim podejściem do życia ludzi, których widzę wokół siebie. Słowem, które jest dla mnie kluczem do polskości jest: improwizacja - czyli działania podejmowane bez przygotowania i planu. Przed dziewięciu laty pomstowałem no to, co dzisiaj mnie tak cieszy. Lubiłem planować i porządnie przygotowywać swoje przedsięwzięcia. Niektórzy znajomi wręcz uznali, że emigracja do Szwajcarii to dobre wyjście dla mnie, bo nie pasowałem do polskiej rzeczywistości. Teraz jestem tu znowu. Realizuję rozmaite inicjatywy i dzięki wszechobecnej improwizacji udaje mi się skutecznie załatwiać swoje sprawy. Gdy organizowałem przeprowadzkę biura, to mogłem swobodnie zmieniać termin kiedy znaleziony na Allegro "Pan od Ducato" mógł przyjechać, aby przewieźć nasze meble. Kiedy potrzebowaliśmy przerzucić sto metrów naszego kabla komputerowego przez

supermarket w sąsiedztwie biura to polecony przez innego podwykonawcę Pan Adam przyjechał z trzema kolegami, powiadomiony kilka dni wcześniej, że tej nocy będzie "towarowanie" i możemy pracować po godzinie 22:00. Zaś metody ich pracy przypominały akrobacje cyrkowe połączone z grą w okręty (tzn. wspinali się na meble sklepowe i metodą prób i błędów poszukiwali kanałów na kable). Niniejszym oddaję uszanowanie polskiej improwizacji, dzięki niej w ciągu miesiąca od podpisania umowy na wynajem biura byłem w stanie zorganizować masę spraw, które pozwoliły rozpocząć pracę kilkunastu informatyków. Planowe zarządzanie improwizacją sprawiało mi przy tej okazji masę frajdy i dało miłą satysfakcję. Takie doświadczenia przyczyniają się do tego, że cieszę się z bycia wśród Polaków. Drugą stroną medalu jest brzydota otoczenia.

Jazda samochodem po podwarszawskich miasteczkach i wioskach jest spektaklem szpetoty, brudu i bałaganiarstwa. W tym wymiarze Mazowsze jest moim zdaniem dość reprezentatywne dla naszego sympatycznego kraju. Bywają zakątki nieco lepiej utrzymane (np. Śląsk), bywają regiony jeszcze bardziej zapuszczone (np. ziemie odzyskane), lecz średnia krajowa to Mazowsze. W Polsce “przewróciło się to niech leży” wydaje się codzienną dewizą. Uważam, że to bałaganiarstwo tak mocno w nas siedzi, iż pozostaje się pogodzić z jego istnieniem. Akcetuuję, że tak tu jest, lecz pozwalam sobie pozostać przy odczuciu, że nasz kraj mimo piękna gór, jezior, lasów i morza jest raczej szpetnym okazem cywilizacji europejskiej.

03 lutego 2009

79. [Naiwna tajność danych osobowych.](#)

Widzę, że Polacy są światowymi liderami w

chronieniu przed otoczeniem swoich numerów telefonów i adresów. Może mają powody, może dzięki takiej postawie czują się bezpieczniej, może ta adresowa paranoja ma jakieś realne przesłanki.

Jednocześnie rekordy popularności bije “Nasza Klasa”, gdzie wirtualny ekshibicjonizm przekracza granice bezpiecznego korzystania z sieci internetowej.

Sam tego doświadczyłem po drobnym incydencie na drodze. Odwożąc córkę do szkoły jechałem wąziutką drogą, gdzie wyminięcie innego auta wymaga zjechania na pobocze. Tego feralnego poranka, tak ja, jak i jadąca z przeciwka osoba zostaliśmy na drodze.auta były bardzo blisko siebie i urwaliśmy lusterka. Uznaliśmy, że wina była obopólna, więc po wymianie numerów telefonów komórkowych rozstaliśmy się postanawiając załatwić naprawę na własny rachunek.

Tego samego dnia, wieczorem, zadzwonił do

mnie małżonek pani, której Toyota miała uszkodzone lusterko. Pan dziarsko oznajmił, że jest dla niego jasne, iż ja byłem sprawcą wypadku i oczekuje pokrycia przeze mnie kosztów naprawy jego auta. Ustawiłem jegomościa do pionu wyjaśniając moją ocenę sytuacji. Po tej rozmowie byłem ciekaw z kim miałem do czynienia. W końcu mieszkamy w wiosce, gdzie ludzie dobrze się znają.

Wejście na Naszą Klasę od razu dało mi doskonały obraz tych nowopoznanych sąsiadów. Pani Beata (33 lata) i Pan Mariusz (34 lata) pochodzą z Chełma. Po zdaniu matur w swoim rodzinnym mieście oboje udali się na studia do Radomia, gdzie obydwójce zrobili dzienne licencjaty z ekonomii, a potem zaocznie uzyskali tytuły magistra. Ich synek Rafał ma 9 lat i chodzi do klasy 3B w tutejszej szkole publicznej.

Do naszej wioski wprowadzili się niedawno: na zdjęciach sprzed kilku miesięcy widać

niewykończony duży pokój w ich domku przy ulicy M. na działce nr xxx/x (informacje o danych działki zostały opublikowane przez powiat, który opublikował w sieci komu pozwolono na przyłącze wody do działki).

Po wyczytaniu tych wszystkich informacji sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do Pani Beaty. Wyraziłem ubolewanie z powodu uszkodzonego lusterka, podkreśliłem, że zdaję sobie sprawę, iż jej musi być równie przykro jak mi z powodu tego nieumyślnego zdarzenia. Jednocześnie podałem jej adres wioskowego lakiernika, który może naprawić lusterko. “To blisko od ulicy M., gdzie mieszkacie” - dodałem. “Zresztą Rafałek chodzi do sąsiedniej klasy w tej samej szkole co moja córka, więc po co się awanturować”. Pani Beata była wyraźnie zaskoczona tą sytuacją. Nie podawała mi adresu, ani imienia dziecka, a ja to wiedziałem. Serdecznie podziękowała za informacje o lakierniku i pożegnaliśmy się w miły sposób.

W Szwajcarii pewno miałbym informacje o adresie i telefonie domowym Pani Beaty i Pana Mariusza, lecz wejście tak głęboko w ich życie rodzinne byłoby trudne. W Polsce telefon jest super tajny, lecz osobiste szczegóły o życiu rodzinnych są dostępne na wyciągnięcie ręki. Ot, taka Polska specyfika 😊

12 lutego 2009

80. Niech żyje wolność!

“Niech żyje wolność!” - takiej treści SMS-a dostałem dzisiaj rano z numeru, którego w pierwszej chwili zupełnie nie kojarzyłem. Autorem okazała się moja koleżanka z roku. Oboje mieliśmy w 1989 po dziewiętnaście lat. Pamiętam głosowanie w starym blaszanym budynku osiedlowej administracji na naszym blokowisku.

Ten SMS oddaje sens tego czym dla mnie był 4 czerwca 1989. Przed tą datą było sowieckie zniewolenie, po tej dacie jesteśmy u siebie!

Zatem: niech żyje wolność!

04 czerwca 2009

81. Tour de Suisse

Po roku mieszkania w Polsce niemal zapomniałem, że Szwajcaria to mały kraj, który w jeden wieczór można przemierzyć od końca do końca.

W piątek miałem spotkanie w Lugano (tj. niedaleko Włoch), potem wsiadłem do pociągu i po kilku godzinach byłem w Heerbrugg na drugim końcu kraju, przy granicy szwajcarsko-niemiecko-austriackiej. Odwiedziłem przyjaciół, którzy przed rokiem opuścili Warszawę i osiedli w okolicach Jeziora Bodeńskiego. Sobotę spędziliśmy spacerując wzdłuż brzegu jeziora. Okazało się, że w miasteczku Rorschach trwa właśnie międzynarodowa wystawa rzeźb w piasku. Byłem pełen podziwu dla artystów, którzy włożyli wiele pracy w dzieła, których trwałość

jest ulotna jak piasek użyty do rzeźb.

Wieczorem pojechałem do Centralnej Szwajcarii. Na kolacji byłem już u Ch. - przyjaciela mieszkającego nad jeziorem lucerneńskim. W ubiegłym roku usłyszał, że ktoś sprzedaje kawałek ziemi na zboczu góry, kilkaset metrów nad taflą jeziora w malowniczej wiosce z pocztówkowo pięknym widokiem. Załatwił formalności, znalazł firmę budowlaną i od początku tego lata mieszka w miejscu, które samo w sobie jest atrakcją turystyczną. Będąc w górach oczywistym pomysłem na weekend jest wędrowka. Zatem w niedzielę poszliśmy na wycieczkę po stromych szlakach kantonu Uri. Dla mojego znajomego był to element treningu przed pielgrzymką trasą świętego Jakuba. Przed paroma laty wyszedł ze swojego domu w Szwajcarii w kierunku Santiago de Compostela. Przeszedł kilkaset kilometrów i pojechał do domu. W kolejnym roku dojechał do miejsca, gdzie poprzednio

przerwał i powędrował kolejne kilkanaście dni. Zgodnie ze swoim planem, w przyszłym roku dojdzie do celu. Podobnie jak u wielu innych samotnych pielgrzymów, jego wędrowka wiąże się z przeżyciami duchowymi i najwyraźniej jest dla niego bardzo ważna. Ch. jest kolejną osobą, która zwróciła moją uwagę na drogę świętego Jakuba. Chyba czas, abym zainteresował się tym tematem.

Po zakończonym weekendzie, w poniedziałek rano, koleżanka zabrała mnie samochodem spowrotem do Lugano. Tu jest kolejne jezioro i - po pracy - kolejna okazja do wędrowki w jeszcze innym, równie pięknym krajobrazie.

Cieszę się, że mieszkam w Polsce, ale jestem (chyba nieuleczalnie) zakochany w pięknych szwajcarskich krajobrazach. Kolejne przyjazdy dostarczają mi wiele radości.

09 września 2009

82. Swojak przebadany naukowo.

W przypadku blogu blog.swojak.info i jego autora były bez wątpienia transnacionalne socjalne miejsce i transnacionalne tożsamości na pierwszym planie. Hybrydowe tożsamości są specyficzne dla całej jego rodziny i jego transnacionalny styl życia prowadził w początku razem z indywidualnym rachunkiem koszty-korzyści do decyzji reemigracji. Życie po powrocie jest w tym przykładu przede wszystkim kształtowane przez transnacionalizm.

Powyższe słowa napisała po polsku Karima Aziz w streszczeniu swojej pracy dyplomowej na Uniwersytecie Wiedeńskim. Praca nosi tytuł “Reemigracja – nowa polska migracja? Kwalitatywna analiza polskich blogów o reemigracji” (oryg. “Remigration – die neue polnische Migration? Eine qualitative Inhaltsanalyse polnischer Remigrations-Weblogs”). Znającym język niemiecki polecam

jej pełną wersję w formacie PDF:

http://othes.univie.ac.at/3827/1/2009-03-02_0406032.pdf

Dość pobieżnie przeczytałem ponad sto stron opracowanych przez Panią Aziz i miło mi, że mój blog mógł zilustrować opracowanie naukowe. Moim zdaniem autorka trafnie odczytała motywy mojej decyzji o powrocie. Mimo, że pracy jej nie ułatwiałem, bo zamiast wpisów emocjonalnych przepełniłem blog dość długimi artykułami faktograficznymi.

Cytat ze wstępu może brzmieć zbyt naukowo i karkołomnie dla większości moich czytelników. Zatem pozwolę sobie na osobiste wariacje na temat powyższej charakterystyki.

Z pracy wynika, iż wróciłem do Polski, bo mimo pobytu w Szwajcarii czułem silny związek z Polską i uważałem się za Polaka. Jednocześnie, mimo deklarowanego przeze mnie przywiązaniu do naszego kraju, Aziz pokazała, że w zasadzie wszyscy członkowie

mojej rodziny mają hybrydowe dusze - jesteśmy przesiąknięci naszym związkiem z obydwoma kulturami: polską i szwajcarską. Przed opuszczeniem Szwajcarii nasza rodzina dokonała bilansu możliwych zysków i strat związanych z zamieszkaniem w Polsce, a ja byłem podekscytowany perspektywami zawodowymi - to wszystko stało się podłożem decyzji o powrocie. Lecz zdaniem badaczki było to jedynie konsekwencją wewnętrznej potrzeby zamieszkania w Polsce leżącej u podłoża naszej reemigracji. No i chyba ma rację.

Przy okazji dziękuję Karimie Aziz za zajęcie się tematem powrotu Polaków do kraju. Opisanie zjawiska z perspektywy Wiednia daje powiew świeżości, a praca w języku niemieckim może być pomocna - poza Austriakami - także Niemcom i Szwajcarom, których politycy co rusz wpadają w histerię obaw, że otwarcie ich rynków pracy spowoduje bezpowrotny,

masowy najazd Polaków na ich zaciszne wioski i miasteczka. Opracowanie naukowe Aziz pokazuje, że motywy materialne są tylko jednym, czasem wtórnym, elementem skomplikowanej układanki w głowie emigrującego Polaka. Po przeczytaniu tej pracy niemieckojęzyczny czytelnik może odkryć prawdę poznaną już przez Brytyjczyków: Polacy przyjadą wypełnić lukę na ich rynku pracy, ale wielu, po zrobieniu swojej roboty, spakuje walizki i wróci nad Wisłę, aby popijając "transnacionalną" wódkę narzekać na beznadziejność tutejszej egzystencji. Do czasu, aż "rachunek koszty-korzyści" skłoni ich do kolejnego wyjazdu, aby zarobić na otynkowanie domu lub na urządzenie kolejnej wielkiej popijawy. Zaś inni będą reemigrować, bo Polska to fajne miejsce i tu będą czuć, że u ramion rosną im skrzydła - czego życzę sobie i Wam mili czytelnicy.

10 października 2009